

ZBIGNIEW NIENACKI

**PAN SAMOCHODZIK I
TESTAMENT RYCERZA
JĘDRZEJA**

1997

ROZDZIAŁ PIERWSZY

**UPIORY LISTOPADOWEJ NOCY W SULEJOWSKIM KLASZTORZE •
CZY RYCERZ JĘDRZEJ BALDARICH-BALDRZYCH UMARŁ
BEZPOTOMNIE • KTO CZAI SIĘ W GRUZACH OPACTWA • TRZY
URWISY • FAŁSZYWI BRACIA ZAKONNI • PO RADĘ DO PRZYJACIELA**

Stary człowiek zadrżał dostrzegłszy odblask światła w okolicach piwnicy dawnego refektarza klasztornego.

Obcy!

Miejscowi nie przychodzili tu o tej porze. Nie przychodzili tutaj wcale.

Najszybciej jak mógł, przyświecając sobie rachityczną latarką, zszedł po trzeszczących schodach baszty.

Noc była słotna i wietrzna, ciemna tak bardzo, że nie było widać wyciągniętej dłoni. Latarka zgasła. Ale on znał tu każdy kamień, każdą nierówność. Spiesznie dreptał w stronę refektarza. A gdy był już blisko, rozbłysło światło latarni, oświetlając dwie sylwetki w białych cysterskich habitach, o kapturach nasuniętych na czoła. Stały nieruchomo u wejścia do zawalonych gruzem piwnic.

Zimny pot zrosił czoło starca. Mimo to szedł dalej ku mnichom, którzy pojawili się w półtora wieku po dniu, kiedy odszedł stąd ostatni cysters.

Byli już na tyle blisko, że w cieniu kapturów dostrzegał twarze tak blade, że wydawały się nie z tego świata.

I wtedy, w napięciu chwili, słabe serce odmówiło mu posłuszeństwa. Zemdlny upadł na wyszczerbione cegły.

Chłód nocy i deszczu przywróciły mu wkrótce przytomność. Zaświeciła nawet latareczka, ale w ruinach refektarza nie było już nikogo...

Trzy dni leżał w łóżku, odchorowując nocną przygodę; aż tu na czwarty dzień ktoś zapukał do drzwi komnatki. Na wezwanie starca otworzyły się i stanęła w nich młoda, wysoka

kobieta, której urody nie szpeciła mała blizna nad brwią.

– Przepraszam, że pana nachodzę, ale powiedziano mi, że jest pan największym ze znawców historii opactwa i samego Sulejowa... Posiada pan też rzadki zbiór dokumentów...

Uśmiechnął się:

– Owszem, od lat zajmuję się badaniem dziejów tych stron. A i dokumentów, i zwykłych papierzysk, nagromadziło się przez ten czas sporo... Wybacz pani, że ze starczej ciekawości spytam, skąd u pani to zainteresowanie opactwem i osadą?

Odpowiedziała z uśmiechem:

– Właściwie interesuje mnie jeden dokument, na który być może trafił pan w swych poszukiwaniach. Chodzi mi o testament rycerza Jędrzeja Baldaricha-Bałdrzycha...

– A czemuż to właśnie ten dokument panią interesuje?

Opuściła oczy jakby w nagłym odruchu żalu:

– Jestem ostatnią z rodu Bałdrzychów... – szepnęła.

Starzec milczał długą chwilę przyglądając się uważnie swemu gościowi. Wreszcie odezwał się również zniżając głos:

– To dziwne, co pani mówi, rycerz, Jędrzej Baldarich-Bałdrzych umarł bowiem bezpotomnie...

Mimo opanowania ogień uderzył jej na policzki. Wybiegła trzasnąwszy drzwiami.

Stary człowiek patrzył za nią ze smutnym uśmiechem.

I długo w noc, która nadeszła, leżał bezsennie, wpatrzony w płomyk naftowej lampy.

Następny dzień minął w spokojnej samotności. Dopiero późnym wieczorem, gdy gospodarz izdebki ukończył szkic o opacie Ottonie Schenkingu i miał już zdmuchnąć lampę przed snem, zauważył, że wolno porusza się klamka u drzwi. Tym razem na szczęście zamkniętych. Znowu serce skurczył mu strach, a pot wystąpił na czoło. Podreptał ku drzwiom wołając:

– Kto tam?!

Milczenie.

A potem łoskot nóg zbiegających po drewnianych schodach wieży. Rzucił się do okna:

– Boże!

W mroku pod murem białe sylwetki w cysterskich habitach...

Chwiejnym krokiem wrócił do stołu i pojaśnwszy lampę sięgnął po papier i pióro. Zaczął kreślić litery drżącą ręką:

Tomaszu! Proszę cię o pomoc...

I tak oto w bezpiecznym cieple mego mieszkania na warszawskim Starym Mieście ukazały mi się przeżycia profesora Herakliusza Pronobisa w smaganych listopadowym

wichrem ruinach sulejowskiego opactwa. Miejsce to było bliskie memu sercu, bo korzystając ze zdrowotnego urlopu w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a raczej jemu na przekór, pracowałem teraz nad od dawna odkładanym dziełkiem o opatach sulejowskich.

Na szczęście profesor nie stracił nic ze swego ducha badacza i po opisie „tajemnicy mnichów” i „nieznajomej” powrócił do informowania mnie o swych pracach:

Znalazłem w kościele miejsce, gdzie spoczęły doczesne szczątki opata Ottona Schenkinga, godnego jak najbardziej poczesnego miejsca w Twoim dziele.

Jakże dzieje Schenkinga, biskupa wygnanego z Inflant, który w Sulejowie znalazł schronienie, przypominają mi mój własny los tułacza! I ja przecież skryłem się w opactwie, aby uniknąć prześladowań. A choć ono jest już tylko smutną ruiną – czyż i ja nie jestem już tylko ruiną człowieka?

Od pół roku nie miałem w ręku gazety. Czy jeszcze trwają ataki na moją książeczkę o ekslibrisach polskich? Nie wiem i jestem szczęśliwy, a Tobie dozgonnie wdzięczny za pomoc w uzyskaniu „zakwaterowania” w mauretańskiej wieży opactwa! Podziękuj też w moim imieniu mistrzowi Natanielowi. Już ja dobrze wiem, od kogo pochodzą te bezimienne przekazy, zapewniające mi spokojny byt!

Lecz nie mógłby on być taki spokojny, gdyby nie pomoc owych trzech harcerzy, których mi przedstawiłeś! Przynoszą mi zakupy ze sklepiku i opał z komórki, pomagają w uprzątnięciu komnatki. Dbają też, bym miał zawsze świeżą wodę, papier i atrament, a moja lampa – naftę.

Nazwałem ich Trzema Urwisami, zwierzają mi się bowiem niefrasobliwie ze swych, dokonywanych na mieszkańcach Sulejowa, licznych figli tak pozbawionych prawdziwego zła, które zaraża naszą młodzież. Chyba mnie, staremu, wybaczą to określenie.

Chciałbym Cię jeszcze raz zobaczyć koniecznie! A nie wiem, czy serce moje przetrzyma jeszcze raz podobne do niedawnych przeżycia. Na samo wspomnienie białych twarzy mnichów doznaję okropnego strachu. To nie są ludzie żywi! Czemu się zresztą nie dziwię, bo czyż całe opactwo nie jest jednym wielkim cmentarzyskiem cystersów?

Wybacz, chora jest moja wyobraźnia, a w sercu coraz częściej kluje złamana szpileczka lęku. Portret opata Barnarda patrzy na mnie ze ściany gorejącymi oczyma, a twarz opata jest taka blada... I znów wydaje mi się, że ktoś – może śmierć – porusza klamką mojej komnatki.

*Zawsze Twój
Herakliusz Pronobis*

PS Lecz jeśli to wszystko jest tylko grą wyobraźni? Przecież duchy czy upiory nie muszą używać klamek.

H.P.

Ciężko zrobiło mi się na sercu po przeczytaniu listu starego profesora. Postanowiłem, że jak będę mógł najszybciej pojadę z mistrzem Natanielem do Sulejowa i ruin jego opactwa, Tej położonej nad Pilicą ozdoby Równiny Piotrkowskiej, gdzie znalazł schronienie profesor Herakliusz Pronobis, dawny asystent na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, któremu wojna przerwała świetnie zapowiadającą się karierę naukową i zabrała rodzinę. Cudem ocalał tylko zbiór ekslibrisów, o których to ostatnio, przy pomocy swego dawnego ucznia i przyjaciela, mistrza Nataniela, wydał książeczkę. Ta jednak miast radości przysporzyła mu tylko zmartwień z powodu prasowej nagonki. Przed nią to zamknął się w swym ukochanym Sulejowie, który zawdzięczał mu wiele, bo i wnikliwe badania historii osiadłych tu cystersów, i założenie izby regionalnej z naprawdę unikatowymi zbiorami, prawdziwej dumy miasteczka.

Z Sulejowa nadszedł też drugi list, już samym widokiem przywołujący uśmiech, jego nadawcami byli bowiem, jak napisano na odwrocie koperty nieco kulfonowatym pismem: „Harcerze – Urwisy z Sulejowa”.

Czołem, druhu Tomaszu!

Oto kolejny raport:

Naprawdę z radością odwiedzamy Profesora, który nazwał nas – zasłużenie – Urwisami. Pomagamy mu trochę, ho ciężko mu się wspinać po stromych schodach baszty. Ale przed kilkoma dniami zszedł i pofatygował się, dla nas oczywiście, do Izby Regionalnej, gdzie starał się – i to skutecznie – obudzić w nas miłość do naszej ziemi sulejowskiej.

Może kiedyś będę studiować etnografię? A już na pewno opatrzę swój księgozbiór ekslibrisami, których zbiór pokazał nam przedwczoraj Profesor. Jarek i Marek też to planują, ale na razie tylko sprzeczą się, czyj projekt ekslibrisu lepszy.

Ale to, druhu, nieważne! Ważne, że po okolicy kręcą się jacyś faceci, którzy mówią, że są zakonnikami, i żeby im ludzie oddawali różne stare rzeczy, bo to święta własność zakonu. Czasem też kupują te rzeczy. Jeżdżą też często obce wozy, a najwięcej ich z Łodzi i jej okolic, bo taką mają rejestrację – to mówił Jarek, który zna się na tym; dziwak, bo sobie obce numery zapisuje do zbioru.

O tym wszystkim chcieliśmy powiedzieć Panu Profesorowi, ale leży

chory, piszemy więc do druha, a Jemu powiemy później. Bo staranie o Niego musi być naprawdę prima, żeby zasłużyć na tę wycieczkę do Nieborowa, którą nam druh obiecał. I tak byśmy dbali o Profesora, bo jest tego wart!

Właśnie przyszedł Marek i powiedział, że widział jakąś obcą damulkę na klasztorным wzgórzu, przy ruinach. Dziwne to, bo teraz nie sezon na turystów. Zaraz wsiadła do samochodu, chyba volvo, i odjechała. Numeru auta jednak zapisać nie zdążył!

Kończę, bo idziemy do Profesora, a list pisaliśmy u mnie w domu, czyli u Urwisa Piotra.

Czuwaj, druha Tomaszu!

Uśmiechnąłem się raz jeszcze:

– Dobrze, że profesor ma tych chłopców przy sobie!

Bo coś dziwnego zaczęło się w Sulejowie dziać. Dziwnego i niebezpiecznego dla starszego pana, czuwającego w swej samotni na wieży.

Postanowiłem udać się do mistrza Nataniela, który był i moim, choć dużo starszym ode mnie, przyjacielem.

Już my wspólnie coś wymyślimy!

ROZDZIAŁ DRUGI

CZY MISTRZ NATANIEL UDZIELI POMOCY • KRÓLEWICZ I ŻEBRAK • KIM JESTEŚ HERAKLIUSZU • DZIENNIKARSKIE HIENY • ZŁE WIEŚCI PRZYCHODZĄ NAGLE

Przyznam, bijąc się w wąż pierś skromnego urzędnika Ministerstwa Kultury i Sztuki, że mistrzowi Natanielowi zazdrościłem nie tyle talentu, co niezależności, jaką dawało mu nazwisko i tytuł jednego z największych współczesnych polskich poetów. Jako właściciel budzącego śmiech wehikułu zazdrościłem mu piękna linii jego najnowszego cadillaca; jako mieszkaniec kawalerki zazdrościłem wspaniałości willi; jako piorący sobie codziennie skarpetki zazdrościłem kamerdynera. Poza tym jednak byliśmy serdecznymi przyjaciółmi!

W strzyżonym na sposób francuski ogrodzie Nataniela szklila się opleciona bluszczem altana, gdzie ukryta dyskretnie pośród ciemnozielonego listowia tabliczka głosiła: „Świątynia dumania królewicza i żebraka”.

Gdy przed laty zapytałem, jak należy ten napis rozumieć, mistrz burknął opryskliwie:

– W życiu, drogi Tomaszu, raz się jest królewiczem, raz żebrakiem. Czyżbyś nie czytał Marka Twaina?

Cóż mogłem odpowiedzieć na takie dictum? Cóż mogłem odpowiedzieć na nurtujące mnie pytanie: dlaczego świątynia dumania wielkiego poety pełna jest pięknie oprawionych baśni, legend i powieści dla dzieci i młodzieży?

Na to pytanie odpowiedział mi sam mistrz po kilku spotkaniach:

– Tak, Tomaszu. Nie ma nic cudowniejszego, niż mieć doświadczenie dorosłego, a wyobraźnię dziecka...

– A kto jest królewiczem: dorosły czy dziecko? – podjąłem wyzwanie.

Mistrz odwrócił się bez słowa.

I teraz oto stałem przed misternie kutą w metalu furtką jego willi... Trzy razy zastukałem mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy, która, połączona z elektrycznym dzwonkiem, dała

znać mieszkańcowi willi o moim przybyciu. Furtka otworzyła się bezdźwięcznie... I oto już wstępowałem na marmurowe schody, otwierałem przeszkolone drzwi i w obszernym holu oddawałem zwyczajowy hołd kolekcji lasek i regałom, gdzie wypiętrzały się oprawne – może nawet w półskórek? – roczniki przedwojennych i starszych pism literackich.

U stóp mahoniowych schodów wyścielonych purpurowym chodnikiem czekał na mnie ogrodnik, kamerdyner, stróż spokoju domu – jednym słowem totumfacki mistrza – Konstanty (dla mnie: wuj Konstanty). Ubrany w nienaganną czerń i o równie nienagannie przygładzonych, siwych aż do bieli, włosach.

Odbierając ode mnie kurtkę, bez słowa podniósł palec ku górze. Był to znak dla wtajemniczonych, że mistrz pracuje „u siebie”.

Wspiąłem się na schody i cicho stąpając przez wyłożony ciemną boazerią korytarz o tajemniczych reliefach stanąłem wreszcie przed drzwiami pracowni. Zastukałem trzy razy.

– Wlazł! – ozwał się gromki głos mistrza, tak przerażający dla stawiających tu pierwsze kroki. Na szczęście nie zaliczałem się do nich, więc wlałem.

Nataniel poderwał się zza stołu, przy którym pracował i, jak zwykle, zastosował wobec mnie swoją ulubioną sztuczkę, dzięki której wchodzący czuł się jako gość jedyny i oczekiwany, o którym mistrz myślał cały czas od ostatniego spotkania. Bez słowa wstępu kontynuował ostatnią rozmowę z gościem (a pamięć miał wyśmienitą!):

– Tomasz, Sulejów został założony u przeprawy przez Pilicę już w pierwszej połowie XII wieku! A w latach 1176-1177 założono na niedalekim Przyklasztorzu opactwo cystersów! Rację masz mówiąc, że dopiero w XIII wieku uzyskał prawa miejskie, ale utracił je w 1870 roku, by odzyskać je dopiero w 1927 roku! Tak ważne dla ciebie opactwo cystersów ufundował książę Kazimierz Sprawiedliwy, najmłodszy syn Bolesława Krzywoustego! Co do opatów sulejowskich, to poddaję się, ty wiesz o nich wszystko!

Po chwili zasiadłem w jednym z ogromnych skórzanych foteli przy stoliku w rogu pracowni. A mistrz już wyciągał ulubionego popularnego i przypalał go nie poczęstowawszy mnie nawet. Zaprawdę ten wielki człowiek umiał zdumiewać!

Teraz należało odczekać, aż Nataniel udelektuje gardło i płuca smrodliwym dymem. Rozejrzałem się nie wiedzieć po raz już który wokół: gabinet mistrza równał się swą prostotą z celami opatów cysterskich. Regały pod sufit z księgami i książkami. Ogromny stół zarzucony papierami pod światłem lampy z metalową osłoną. Na parapecie wpół przysłoniętego brązową pluszową kotarą okna stało samotne drzewko szczęścia za stołem nowoczesne, ale raczej używane przez maszynistki niż poetów, krzesło; obok pulpit ze staroświecką maszyną. Jak zawsze zadziwiał mnie brak telefonu, faksu czy komputera z drukarką. A wiedziałem, że gdzieś w tej ogromnej willi są!

Na ścianie naprzeciw stołu gotycki krucyfiks, wciąż przerażający mnie swym bólem i krzykiem. Ale obok tania kopia „Skrzypiec” Picassa. O tym obrazie mistrz mawiał, że jego nieład barw i elementów cudownie oddaje nieład naszego świata.

Wyjąłem z kieszeni list profesora.

Im dłużej go czytał, tym większy lęk widziałem w jego mądrych oczach. Rzucił list na stół i sięgnął po nowego papierosa. (Tym razem mnie poczęstował – ale odmówiłem.) A więc sprawa wyglądała poważnie...

– Oni czegoś od niego chcą. A chcąc tak bardzo, nie zawahają się zabić! – wykrztusił wreszcie.

Podąłem mu list Urwisów.

Czytając go uśmiechnął się mimo woli:

– Przepyszny! Takiego listu dawno nie miałem w ręku!

Spowaźniał:

– Dobrze, że choć tych Urwisów ma przy sobie, zanim do niego dotrzemy!

– Jedziesz więc?

Wzruszył z lekka pogardliwie ramionami

– A ty myślałeś, że jak postąpię?

I znów pograżył się w myślach:

– Ta trójka może jest w jakiś sposób rekompensatą zesłaną przez los za synów, zabitych wraz z jego ukochaną żoną przez Sowietów. Bo dotychczas los grał z nim w kotka i myszke... Patrz on, Żyd zakochuje się w katoliczce. Najprawdopodobniej z miłości do niej zmienia wyznanie. Staje się wyklętym przez swoich i niechętnie przyjmowanym przez środowisko żony. Rodzi mu się trzech synów; kariera naukowa też rozwija się pomyślnie. Przychodzi wojna: śmierć żony i dzieci. Nawet nie wie, gdzie są ich groby... Ale po wojnie próbuje zacząć jeszcze raz – choć już bez marzeń o życiu rodzinnym. Podejmuje pracę naukowca, wykładowcy. Zaczyna, piąć się w górę... i wtedy stalinizm bierze się za takich jak on: uczonych ze Lwowa, z Wilna, za katolików z wyboru. Jeszcze, z rozpędu czy przypadku, dostaje profesurę... i zaraz traci wszystko. Wdzięczny może być tylko, że nie kończy za kratami! Lata mijają w ubóstwie i zapomnieniu. Wreszcie może wydać swą książeczkę o ekslibrisach polskich – skromny owoc tylu lat pracy. Ale okazuje się, że choć wszystko się zmieniło, że mamy już trzecią Rzeczpospolitą, to czerwoni wciąż jeszcze mają długie ręce. Rozpoczyna się nagonka, warta nie wiedzieć jakiego dzieła, a nie tej prawie broszury! Łatwo domyśleć się, że była ona tylko wygodnym dla kogoś pretekstem, ale ofiarą padł właśnie on. Stary, nie wadzący nikomu, mądry. A teraz? Gdy próbował się wyleczyć z tej chyba ostatniej już rany? Teraz zaczynają się jakieś niezrozumiałe napaści, zastraszania! Czy tego jeszcze trzeba temu nieszczęśliwemu staremu człowiekowi?!

Wyciągnąłem z kieszeni spodni wycinek z gazety:

– „Rodowód zbierania ekslibrisów sięga czasów feudalnych. Zwyczaj ich nalepiania i zbierania jest pełnym wyrazem owego charakterystycznego dla posiadaczy silnego poczucia własności... Nalepianie ekslibrisów, owo znaczenie książek piętnem prywatnej własności wymaga potępienia!”

– Tomaszu! – wzdrygnął się mistrz. – To jeszcze dzisiaj tak się pisze?...

Wzruszyłem ramionami:

– Tak. I jeszcze „ciekawiej”.

Nataniel przez chwilę oddychał ciężko, wreszcie odezwał się przerywanym głosem:

– Pamiętasz obraz Piotra Bruegla „Ślepcy”?

– Jak go nie pamiętać, gdy się choć raz widziało?

– Otóż zbliżamy się do klęski... Jak tych sześciu ślepców napotykamy na swej drodze strumień, przed którym nie mogą ostrzec nas niewidzące oczy... Pierwszy ślepiec wpada w strugę, następny upada na niego, a chcąc odzyskać równowagę szarpie za laskę trzeciego, który też upada... Czwarty w przeczuciu niebezpieczeństwa wypuszcza z ręki kij, jego jedyne oparcie i rozwiera usta w krzyku rozpacz, a może przerażenia... Dwaj następni idą spokojnie nieświadomi tego, co spotka ich za chwilę... Oto tajemnica otaczającego nas świata!... Jak ślepcy zbliżający się do strumienia! Oto potyka się o ludzi jeden z największych polskich bibliografów i znawców ekslibrisów, Herakliusz Pronobis. Oto poeta Nataniel rozwiera usta w krzyku rozpacz... A dalsi idą spokojnie...

– A ja kim jestem? – wtrąciłem cicho.

– Tomaszu... – zaczął po dłuższej chwili mistrz – zostań przy swojej historii, przy antykach, dziejach opatów sulejowskich. Zaś w najtrudniejszych chwilach czytaj *Królewicza i żebraka* Marka Twaina. Raz się jest bowiem królewiczem, a raz żebrakiem. Ty jeszcze możesz pozostać królewiczem swojej pracy...

– A Herakliusz...

Przerwałem, bo do pracowni wszedł bez pukania – co było jego przywilejem – wuj Konstancy i podał mistrzowi blankiet telegramu.

Ten przeczytał go i poderwał się z fotela, upuszczając papier. Schyliłem się i podniosłem go. Wiadomość brzmiała:

W nocy zmarł nagle Herakliusz Pronobis. Zawał serca. Pozostawił prośbę, by zawiadomić. Gmina w Sulejowie.

ROZDZIAŁ TRZECI

**RUINY OPACTWA • POGRZEB HERAKLIUSZA PRONOBISA • CZY KTOŚ
MÓGŁ ZABIĆ NASZEGO NAUCZYCIELA • OSTATNIA WOLA
PROFESORA • CZY ISTNIEJE TESTAMENT RYCERZA JĘDRZEJA
BALDARICHA-BALDRZYCHA • VOLVO I CZARNA DAMA • MUSIMY
LICZYĆ TYLKO NA SIEBIE**

Sulejowskie opactwo cystersów rozpościera się w zakolu Pilicy, na tarasie prawego brzegu, skłaniającego się łagodnie ku rzece. Jest to wiekowa budowla, której początki sięgają 1176 roku. Podczas trwającej stulecia rozbudowy przybrała kształt nieregularnego wieloboku murów obronnych i przyrosłych doń domostw oraz wieżyc i baszt. Dziś, przemieniona w bezkształtne rumowisko, obejmuje szeroki plac porośły trawą na gruzach i wiekowymi drzewami, przy których trwa romański kościółek z przytuloną pozostałością zabudowań klasztornych – kapitularem i krużgankiem. Reszta klasztoru rozsypała się w ruinę. To tutaj, w pseudomauretańskiej baszcie dopełniał swych dni profesor Herakliusz Pronobis.

Ja zaś skierowałem swój wehikuł bezpośrednio do położonego na drugim brzegu rzeki Sulejowa.

Należy chyba nadmienić, że mistrz Nataniel gorąco nalegał, abyśmy w podróż nad Pilicę wyruszyli jego cadillakiem i dopiero po opisaniu przeze mnie wybojów tamtejszych szos ustąpił, nie bez pewnej niechęci sadowiąc swe godne kształty w moim odrapanym pojeździe.

W Urzędzie Gminy poinformowano nas o okolicznościach zgonu profesora, przedstawiając stosowne świadectwo, wystawione przez miejscowego lekarza. Opinię o naturalnej śmierci naszego przyjaciela podzielano również w sulejowskiej siedzibie policji.

Nasze prośby o sekcję zwłok czy dodatkowe oględziny miejsca śmierci Pronobisa traktowano wszędzie jako dziwactwa gości ze stolicy.

– Brak podstaw – mówiono.

Pozostało nam tylko wybrać miejsce pochówku przyjaciela.

Pamiętając o jego napomknieniach, odszukaliśmy z Natanielem w północno-zachodnim

narożu murów cmentarz dawnych mnichów.

Władze Sulejowa, których przedstawicielem był ojciec jednego z Urwisów – Piotra, nie stawiały przeszkód. Również tamtejszy proboszcz poparł ten wybór.

Tak więc na ostatni spoczynek udawał się starzec w naprawdę godne miejsce, nad którym górowała wieża attycka, czworoboczna i kształtna, ze zwieńczeniem attykowym i fragmentami kamiennych kroksztynów. Jej szczyt zdobiły półkoliste grzebienie kute w kamieniu na przemian z trójkątnymi zębami.

Wysoka po kolana trawa kryła resztki płyt nagrobnych i krzyży, między którymi brzozy o gibkich pniach pokrywały ruń ochrą, złotem i czerwonawą rdzą opadłych listków...

Kupiliśmy czarną dębową trumnę, gładką i bez ozdób. Wydało się nam, że taka właśnie najlepiej odpowiada skromnemu życiu profesora i klarownej prostocie jego dzieł. Przebrano Herakliusza w jego odświętny, staroświecki surdut i sztuczkowe spodnie oraz koszulę ze sztywnym gorsem.

Wykopano dół pod wiszarem pochylonej brzozy.

Słoneczny, ale chłodny dzień przechylił się już ku wieczorowi, gdy postawiono trumnę nad krawędzią grobu. Jeszcze na chwilę unieśliśmy wieko, by spojrzeć na twarz przyjaciela i by on sam mógł po raz ostatni unieść wzrok ku niebu...

Niski i drobny ginął w przestronnej trumnie. Siwe włosy rozsypały się na poduszce, a cienie wieczoru pogłębiły zmarszczki. Mrok zdawał się odbierać twarzy przyjaciela jej znajomy wyraz.

Nad głowami zniżało się posiniałe niebo, a ostatnie listki brzozy ni to szemrały, ni to podzwaniały. Wynajęci do kopania grobu ludzie obojętnie i w milczeniu patrzyli na zmarłego, na Nataniela, na mnie i na Trzech Urwisów. Oto jeszcze jeden liść, jeszcze jedna chwila i ziemia zamknie się nad tym wspaniałym człowiekiem!

Jakże jednak nędzny zgotowaliśmy mu pochówek!

I wtedy rozległ się potężniejący głos Nataniela:

Spadł na wielkie jezioro

Motyl nakłuty niedoskonałością świata.

Kto ośmieli się zapłakać?

Kto odważy się opiewać jego śmierć?

„Kiedy zdążył to napisać?” – pomyślałem. – „Czyżby dzisiejszej nocy?”

To nie był wiersz. To pieśń! Rozpacзлиwa i tragiczna. Oskarżenie. Nataniel stał z głową odrzuconą do tyłu, jakby się modlił. W patosie jego postawy i głosu wyrażała się cała jego pogarda dla codzienności i spraw przyziemnych, nawet jeśli graniczyła ze śmiesznością.

Umarł Herakliusz Pronobis,

*Bibliograf, miłośnik ekslibrisów,
Motyl nakluty niedoskonałością świata.*

*Gdy każdy wiersz jest donosem
Jutro poeta Nataniel
Położy głowę na szafot.*

*Poeci – psy łańcuchowe strachu
Sędziowie o nazwiskach zdrajców
Skazańcy dziękujący katom.*

*Umarł Herakliusz Pronobis
Przebity marnością świata!*

A kiedy mistrz Nataniel skończył swój tren, nad grobem stanął jeden z Urwisów, Marek, i spod harcerskiej peleryny wydobył trąbkę... Nad otwartą mogiłą, nad pogrążającymi się w mroku ruinami rozbrzmiały dźwięki *Ciszy*. Nawet najęci grabarze opuścili ręce, stając niezdarnie na baczność...

Stuk młotka zabijającego wieko trumny poderwał z dachu attyckiej wieży stado kawek. Zniżyły swój lot i zginęły za ostrym kolcem baszty opackiej. Zgiełk ich jękliwych głosów zagłuszył łoskot rzucanych na trumnę garści piachu. Tyle więc tylko mieliśmy do ofiarowania Herakliuszowi Pronobisowi, naszemu przyjacielowi i nauczycielowi?

Mrok zapadł. Z otwartych drzwi romańskiego kościółka sączył się nikły blask świec i ściszony śpiew.

Przechodziliśmy mimo mauretańskiej baszty – schronienia profesora. Jakby ją ktoś tu przeniósł ze starych sztychów – półokrągłą, uwieńczoną szpiczastym kołpakiem podobnym do papierowego hełmu z dzieciństwa. O krok na lewo zionęła czeluść sklepionej piwnicy, porosłej kolczastymi krzewami i zawalonej gruzem. Na granacie nieba szarzały puste okna ocalałej ściany refektarza...

To tutaj Herakliusz natknął się na białych mnichów. Tu zemdłał porażony strachem.

I już wieża. Przyświecając sobie zapalkami dobrnęliśmy do półokrągłej komnatki na piętrze. Zapaliliśmy lampę.

Tego należało się spodziewać! Skrupulatni urzędnicy gminni przywrócili ład, jak tylko umieli! A że zatarli przy tym ewentualne ślady zabójców? Przecież nikt w nich nie wierzył!

Testament Pronobisa czynił mnie właścicielem jego książek i notatek, natomiast Nataniela obdarowywał zbiorem ekslibrisów. Aha, dostał mi się jeszcze w spadku portret opata Bernarda.

Właśnie Nataniel objaśnił knot lampy i oczy Bernarda zaślniły wilgotnym blaskiem... To one prześladowały profesora, to one widziały jego ostatnie chwile... Gdybyż umiały mówić!

Jak nam opowiedziano, pierwszy dostrzegł śmierć profesora mleczarz z Podklasztorza. Wczesnym rankiem, jak zwykle, niosąc na górę dzbanek z mlekiem zastał drzwi otwarte, a gdy wszedł do komnatki, natknął się na rozciągniętego na podłodze trupa o nogach nakrytych przewróconym stołem, jak gdyby Herakliusz padając chwycił się jego krawędzi. Wszędzie wałały się papiery i książki, ale przybyła policja złożyła to na karb bałaganiarstwa profesora. Lekarz stwierdził zgon na skutek zawaha serca. Nic – jak sądzono – z komnatki nie zginęło, powszechnie znane było ubóstwo Pronobisa, wykluczono więc możliwość napadu rabunkowego.

Natomiast my mieliśmy przedśmiertny list naszego przyjaciela! Nigdy też nie uważaliśmy Pronobisa za bałaganiarza, dla nas był wręcz pedantem! Jaką rolę w ostatnich chwilach starego uczonego odegrali dwaj „mnisi”? Jaką zaś tajemnicza „spadkobierczyni”?

Przeglądałem papiery zmarłego. Oto niedokończony szkic o opacie Ottonie Schenkingu. W 1607 roku, podczas wojny o Inflanty, unikając prześladowań Karola Sudermańskiego, uszedł do Polski. Zygmunt III Waza, pomny jego zasług dla naszego kraju i katolicyzmu, oddał wygnańcowi Sulejów, gdzie Schenking był aż do swej śmierci w 1637 roku komendatariuszem opactwa. On pierwszy zbudował tu pałac opacki... Oto pergaminy dyplomów fundacyjnych sulejowskiego klasztoru... Oto przywieszzone do nich pieczęcie Kazimierza Sprawiedliwego, Konrada Mazowieckiego, Leszka Białego...

Gdy w 1819 roku nastąpiła kasata zakonu, część dokumentów przejęły archiwa kościelne, ale wiele z nich trafiło do okolicznych dworów, a z nich i do chałup. Gdy pod przemożnym wpływem profesora podjąłem się w końcu napisania dziejów opatów sulejowskich, Pronobis robił wszystko, aby dostarczyć mi możliwie najwięcej dokumentów. W poszukiwaniu ich, przybrany w kapelusz o wielkim rondzie, od którego chłopci nazywali go „kłapouchym królem”, wędrował od chaty do chaty. Nazywano go też „szaleńcem bożym”, „mądralą”, ale nie było skrzyni czy strychu, których nie otwarto by przed nim. I tak gromadził skarby klasztornej biblioteki. Teraz należały one do mnie!

– Czyżby jednak nie napisał szkicu o opacie Bernardzie? – powiedziałem zawiedziony, składając na kupki papiery profesora. – Informował mnie, że szkic jest już gotowy. A tu go nie znalazłem. Oczywiście brakuje również testamentu Jędrzeja Baldaricha-Bałdrzycha, o ile w ogóle istniał... Ale szkic?...

Nataniel przerwał wędrówkę po komnatce:

– Znałem Herakliusza jako człowieka niesłychanie dosłownego. Możesz być pewien, że napisał o tym Bernardzie!

– To właśnie opat Bernard – wskazałem portret na ścianie.

Nataniel przyświecił sobie lampą:

– Malował Jan Aleksander Tertko. To malarz nadworny króla Jana III Sobieskiego... Ale co z tego wynika dla naszej sprawy?

Jeszcze raz zajrzałem do przedśmiertnego listu profesora:

– Nie wynika z niego, że był w posiadaniu testamentu, który przyciągnął tutaj tę damę z bliźną. Ale musiał go widzieć, nieobce było mu bowiem nazwisko Baldarich-Baldrzych, no i wiedział, że Jędrzej umarł bezpotomnie... Cóż, jedno jest pewne: nie ma testamentu, nie ma szkicu!

– Czyżby coś łączyło te dwa dokumenty? – zainteresował się Nataniel.

– Tak sędzę. I myślę, że należy dołączyć do nich upiornych mnichów i piękną damę...

Skrzypnęły drzwi i do komnatki weszły Urwisy, nieśmiało i zakłopotane.

– Poznajcie najznakomitszego... – zacząłem, ale przerwał mi najchudszy z nich, Jarek.

– My bardzo dobrze znamy pana, to znaczy pana poezję. Profesor czytał ją nam i tłumaczył, bo taka trudna...

Nataniel chrząknął. Nie wiem, z zadowoleniem czy wstydem.

– Ale teraz to chciałem powiedzieć coś, co może panom się przyda. Kiedy wczoraj wieczorem szedłem od profesora, to zobaczyłem, że z boczem od ruin idzie jakaś kobieta ubrana na czarno. Więc ja za nią, a ona do tego samego volvo, co pisaliśmy. Tylko że teraz zapamiętałem numer rejestracyjny: LDA 1230!

Nataniel podszedł do chłopców z wyciągniętymi rękoma:

– Naprawdę nie wiem, jak mam wam dziękować za pomoc! – uściśnął drobne dłonie.

– Ale my zawsze, my dalej!... – wybąkał speszony Jarek.

– Jasne! – przerwał mu Nataniel. – A w nagrodę zapraszam was na wycieczkę do Nieborowa!

– Hurra! – odrzyknęły Urwisy, choć usłyszałem i ciche: – Pan Tomasz też nas tam zaprasza, umówili się czy co?

– Gdybyście dostrzegli coś podejrzanego, meldujcie! – wtrąciłem się. – A na razie: czuwaj!

– Czuj-czuj-czuj! – odrzyknęła dziarsko trójka i popędziła na złamanie karku po ciemnych schodach.

– Czy myślisz, że ich pomoc może się na coś przydać? – spytał mistrz.

– Oczywiście. Jeszcze nigdy nie zawiodłem się na harcerzach.

Nataniel powątpiewająco zmrużył oko.

Stała teraz przed nami zasadnicza kwestia: czy powiadomić policję o niepokojach profesora i obserwacjach Urwisów. Odrzuciliśmy tę myśl. Ostatecznie profesor sam w liście nazywał urojeniami to, co zobaczył i przeżył. A że chłopcy spotkali kobietę z volvo? W końcu każdy ma prawo uprawiać turystykę wtedy, kiedy będzie uważał za stosowne. Tajemniczej a fałszywej spadkobierczyni nieżyjący już profesor nie rozpozna. Musieliśmy więc

zrezygnować z projektu współpracy z organami ścigania... Przez chwilę siedzieliśmy z ponuro zwieszonymi głowami. Podniosłem się wreszcie:

– Mistrzu, czy nie zachowujemy się jak ludzie małoduszni i bez serc?

– Nie, Tomaszu. Jak ludzie rozsądni usłyszałem cichą odpowiedź.

Stanęliśmy przed okienkiem Herakliuszowego schronienia. Widać było oświetlony księżycem rozległy podwórzec klasztorny, stare drzewa wśród gruzów i romańską fasadę kościoła. Jasnymi smugami świeciły pnie brzoź przy attyckiej wieży, gdzie na zawsze spoczął nasz przyjaciel. Jego śmierć przeszła niepostrzeżenie dla świata jak śmierć motyla. W tym porównaniu Nataniel miał rację. Teraz wsparł rękę na moim ramieniu:

– Jesteśmy zmuszeni, Tomaszu, sami odnaleźć zabójców mego nauczyciela. Jemu się to już na nic nie przyda. Ale może przyda się nam, żywym.

I po chwili dodał:

– Obrażę się, jeśli mniemasz, że poeta ma mniej inteligencji niż policjant. Zresztą, tylko w powieściach kryminalnych demaskuje się mordercę drogą logicznego rozumowania. W życiu wiele zależy od przypadku. Zdajmy się więc na niego, drogi Tomaszu! Na przykład spójrz teraz na widoczną za murami szosę... Co widzisz?

– Światła jadącego samochodu! – odburknąłem.

– A ja przypadkiem wiem, że są to światła amerykańskiego wozu i to nie najnowszej marki...

– Skąd?...

– Podwójne reflektory o bardzo szerokim rozstawie. I te ogoniaste światła tylne. Dziewięć na dziesięć, że to stary amerykan! Pędźmy więc do twego, tak zachwalanego, wehikułu, a nim za owym autem.

– Ale to nie volvo wypatrzone przez harcerzy! A może wóz miejscowy?

– Z volva można się przesiąść, a co do tubylczej motoryzacji, to nie wydaje mi się, aby przechowała ona tak pożerającą benzynę krążownik szos! W pościg, Tomaszu, w pościg!

ROZDZIAŁ CZWARTY

KARCZMA W WINODAJU • MISTRZ I CYSTERSI • POŻEGNANIE Z BABIM LATEM • TRÓJKA Z CHEVROLETA • NOCNY POŚCIG • ROZTERKA DO NIEBOROWA CZY DO PRZEKŁĘTNIA? • NOCLEG W CHAŁUPIE DRWAŁA

Nie musieliśmy aż tak pędzić, jak tego domagał się mistrz. Intrygujący nas samochód jechał powoli. Widocznie jego kierowca nie był pewien drogi, którą zdążał. I tak zaprowadził nas do podleśnego przysiółka Winodaj, który zapewne nazwę swą wziął od okrzyku „Wina daj, karczmarzu!”, wznoszonego przez przybywających do sporej niegdyś jak na przysiółek karczmy, a obecnie wioskowej spelunki.

– A nie mówiłem, że amerykan! – triumfalnie zawołał Nataniel, gdy śledzony samochód ukazał się w swej mocno podniszczonej krasie w świetle okienek knajpy, przed którą stanął. – Chevrolet i to co najmniej dwudziestoletni.

– Rzeczywiście wiekowy – potwierdziłem.

– Zatrzymaj się, Tomaszu – raz jeszcze krzyknął mistrz.

– Dlaczego? Nie wejdziemy tam za nimi? – spytałem widząc, że pasażerowie chevroleta wchodzą do budynku. – Przecież musimy się im przyjrzeć, a taka okazja po nocy może się już nie trafić...

– Musimy, musimy... – zachichotał Nataniel. – Dwójka z psychologii, Tomaszu. Niech oni spokojnie wejdą, niech się rozgospczą! Jeśli mają coś na sumieniu, to niech się przestaną oglądać na drzwi!

Zgasilem więc silnik, wyłączyłem światła i zapaliliśmy po ulubionym przez mistrza smrodliwcu. Przyglądałem się mroczniejącej przed nami knajpie, która z zewnątrz zachowała swój styl dawnej karczmy – rozległej wiejskiej chałupy, krytej bodajże nawet kopiastym, upozowanym na strzechę dachem. Z frontu pod szerokim okapem w świetle niskich okienek pobłyskiwały tuż nad ziemią koniowiązy.

Dopaliwszy popularne wolniutko zajechaliśmy przed dom i stanęliśmy grzecznie

możliwie najdalej od leciwego amerykana.

Z wąskiej sionki weszliśmy w piwno-papierosowy smród rozległej, niskiej izby przegrodzonej szynkwasem, na którym za szkłem tkwiły trzy talerzyki ze śledziami, serem i kiełbasą. Obok połsniewały mosiężne kurki do nalewania piwa, którego beczki piętrzyły się pod ścianą w zgodzie z transporterami piwa butelkowego. Półki za szynkwasem imponowały ilością butelek najtańszych wódek.

O dziwo, w knajpie było pusto. Tylko przy jednym ze stolików chwiało się nad piwem dwóch, zapewne miejscowych, dżentelmenów. Drugi stolik, jak najdalej od lekko kołyszących się na drutach nagich żarówek, zajmowały trzy osoby: kobieta i dwóch mężczyzn.

Mistrz pozdrowiwszy to mroczne wnętrze gromkim „Dobry wieczór!” swobodnym krokiem podszedł do ziewającego za bufetem starszego mężczyzny w kitlu i już po chwili wracał do zajętego przeze mnie stolika z cyrkową zręcznością unosząc ćwiartkę wódki, butelkę oranżady, dwa kieliszki i talerzyk z dwoma kawałkami kiełbasy.

– Pić nie musimy! – szepnęła widząc mój spłoszony wzrok. – Ale zamówić coś musiałem, bo jakbyśmy wyglądali?!

Jak zawsze miał rację.

Wylewaliśmy więc wódkę dyskretnie pod stolik i pochyleni ku sobie staraliśmy się wyglądać na pogrążonych w rozmowie. Mdły wieczór sączył się mrokiem przez zaparowane szybki. Na dworzu dał wiatr, napierał na spróchniałe ściany karczmy, wdzierał się na strych i szparami sypał z sufitu kurz i plewy. Pojękiwały zręby i krokwie. Żarówki tańczyły raz wolniej, raz szybciej. Milczałem przytłoczony myślami o niedawnym pogrzebie przyjaciela, natomiast mistrz mówił i mówił, widocznie w ten sposób starając się zagłuszyć smutek:

– Zapewne nigdy, Tomaszu, nie będzie mi dane zrozumieć, jaka siła skłoniła cystersów do zamiany słonecznej i bogatej w winną latorośl Burgundii na chłodną Polskę; Citeaux i Morimond na Sulejów skryty w ostępach leśnych. Czy zadecydowały o tym względy ludzkie czy boskie? Nie śpij, Tomaszu; mnisi sulejowscy z XII i XIII wieku czuwali! Wzorowali się na pięknym życiu świętych Alberyka i Stefana Hardinga. I tak w służbie Bożej – tu mistrz dyskretnie łyknął z kieliszka – przeszli przez życie niezauważeni, bezimienni, jak pierwszy opat sulejowskiego klasztoru. Lecz, drogi Tomaszu, wypadło im żyć bardzo daleko od macierzystego Morimond, zabrakło kontroli... A z braku kontroli paczą się najpiękniejsze idee...

Ukołysał mnie rytm słów mistrza, chwiejba chaty i pomruk wietrzyska. Gdzieś w ich falach zatonął dzień pogrzebu przyjaciela, a wypłynęły chwile o dzień wcześniejsze...

Tego dnia w południe przysłała ta, którą nazywałem Babim Latem...

– Wyjeżdżam. Jutro wyjeżdżam w góry – powiedziała, starannie dobierając słowa, w czym złośliwie naśladowała Nataniela. – Pożegnanie i pamięć o tobie jest wszystkim, co potrafię ci ofiarować. Podziwiam twoją pracę... Tak. Chcę cię podziwiać, ale nie kochać. Zarzuciłeś swą nową powieść dla dziejów opatów sulejowskich. Nie każdy by się na to

zdobył. Ty potrafiłeś i swą decyzją budzisz we mnie podziw. Inna nazwałaby cię wzruszająco uroczym Ja tylko powtórzę: pragnę cię podziwiać, ale nie chcę kochać – miała smutek w kącikach warg...

Wichura na dobre trzęsła już chałupą. Cienie na spróchniałych ścianach zwierzały się z jakichś ponurych czy też komicznych historii. Potakiwały wielkimi głowami, kurczyły się z przerażenia. Cztery karaluchy przebiegły strefę światła i umknęły pod szynkwias...

– Zalega Willerm z opłatą na wsparcie Ziemi Świętej, choć kiesa klasztorna pełna jest brzęczącej monety, choć nabywa wioski... – nagle przykrym zgrzytem ozwały się w mych uszach słowa Nataniela.

– Mistrzu, proszę przestać! – uderzyłem dłonią w stół.

Nad naszym stolikiem zapanowała cisza.

– Proszę mówić o kobietach. O ich dwoistej naturze... – dodałem cicho.

Uniół pałąki grubych brwi, przydając twarzy sowi wyraz zdziwienia. Milczał.

Wiatr uderzył w szybki drobnym deszczem, po knajpie przeszło jakby ciężkie westchnienie podmuchu. Od stolika w kącie dobiegł nagle piskliwy głos:

– Bałdrzych, to jest coś! Ale nam forsiaki na wczoraj potrzebne! Bierzemy się za meble, a potem do Nieborowa!

Pisk przeszedł w szept, w pomruk słyszalny tylko przez kamratów. Nataniel nastroszył się jak czujny ptak.

Ostrożnie obejrzałem się ku trójce z chevroleta. Przede wszystkim uwagę zwracała kobieta. Wysoka brunetka lat około dwudziestu pięciu, o gładko zaczesanych czarnych włosach, związanych z tyłu w węzeł. Na jej bladej twarzy wąskie brwi schodziły się nad nosem, nadając rysom wyraz surowości. W powolnych ruchach głowy i rąk wyczuwało się powagę, pogardę i wyniosłość. Czy miała bliźnę nad brwią nie mogłem dostrzec. Ale jej płaszcz o najmodniejszym kroju, z głębokim kapturem, zdawał się potwierdzać, z kim mamy do czynienia.

Jej towarzysze ze wszystkich sił starali się jej przypodobać. Szczególnie ów o piskliwym głosie. Drobnny i ruchliwy, z długą twarzą i promieniście rozchodzącymi się od ust zmarszczkami, które przypominały wąsiki szczura. I te szczurze oczy, ukryte głęboko w wąskich oczodołach.

Drugi mężczyzna był krótki, gruby, beczułkowaty. Z nosem jak kluska. Łysinę na wielkiej głowie obrzeżał wianuszek zlepionych potem włosów. Gdy patrzyłem na niego narzuciło mi się zdanie: „Ty z Indyi Bachu majonosy”, czyli umajony liśćmi – jak to wyjaśniał słownik Bogumiła Samuela Lindego.

Szczurek tłumaczył coś uniżenie czarnej damie, gestykulując przy tym. Mówił ostrożnie i szeptem. Wzrok kobiety obojętnie ślizgał się po okopconych ścianach. Nagle wstała i, podnosząc ze stołu zamszowe rękawiczki, ucięła:

– Dobrze. Do Przeklętnika!

Bach Majonosy zerwał się chyżo z ławki i pobiegł do szynkwasu, by zapłacić knajpiarzowi. Kobieta i Szczurek przeszli mimo nas. W rozchyleniu płaszcza kobiety dostrzegłem ostry profil piersi opiętych czarnym swetrem.

Powiedziałem zimno do Nataniela:

– To zabójcy profesora.

Potakująco skinął głową. Zimno, jakby już wydał wyrok.

Zataczając się na krótkich nóżkach Bach Majonosy wytoczył się pośpiesznie na dwór.

– Za nimi! Nie możemy spuścić ich z oka! – krzyknąłem.

– Tym razem masz rację! – poderwał się z krzesła Nataniel.

Rzuciłem knajpiarzowi pięćdziesięciozłotowy banknot i skoczyliśmy przez sionkę na dwór.

Wiatr smagnał nasze twarze, zerwał Natanielowi kapelusz z głowy, zmuszając właściciela do pogoni za utraconym nakryciem głowy...

A tymczasem w dali mknęły światła chevroleta.

Dopadliśmy mego wehikułu i ruszyliśmy całą mocą ośmiu cylindrów. Pozwoliłem sobie na złośliwość:

– A jednak to nie volvo...

Mistrz prychnął:

– A przesiąść się to już nie mogą? Poza tym, że jeszcze raz powołam się na przypadek, dostrzegłem, że chevroleta prowadził Szczurek. W volvo natomiast widziano samotną kobietę...

– Masz racje, mistrzu – pochylilem głowę. – Domyślam się też, że odebrali profesorowi testament Jędrzeja albo odszukali go w papierach Pronobisa po jego śmierci. Jaki jest związek z tą sprawą szkicu o opacie Bernardzie, nadal nie wiem. Wiem tylko, że mają zamiar zająć się teraz jakimiś meblami, a to znaczy w ich języku nowe przestępstwo, o ile nie zbrodnie. Niech cię nie myli, mistrzu Nalaniem, piękność owej osobki – czarnej damy. Literatura zna wiele podobnych przypadków... Pamiętasz postać Milady z *Trzech muszkieterów* Aleksandra Dumasa? To połączenie niebiańskiej piękności z szatańską zbrodniczością? Ścigamy Czarną Milady! Blichtr urody często pokrywa przewrotność i zło!

– O tak, w twoim wieku ma się w tym względzie bogate doświadczenie! – teraz mistrz był złośliwy.

Drzewa po obu stronach drogi przebiegały z jednostajnym rytmem, a szum motoru przyciszał uderzenia wiatru. Nagle błysnęły przed nami ostrzegawcze ogniki „stopu”.

– Zgaś światła! – krzyknął mistrz. Niepotrzebnie, bo uprzedziłem jego polecenie o ułamek sekundy.

Wóz Czarnej Milady skręcił w boczną żwirówkę i pomknął w noc, chybotając się na wybojach.

– No, to niech twój sławetny pojazd pokaże, co umie! – sapnął mistrz.

– Proszę bardzo – odpowiedziałem, przełączając napęd na cztery koła...

Dogoniliśmy ich w lesie i odtąd towarzyszyliśmy oddaleni na niewielką odległość. Zbyt małą, jak się okazało, bo pomimo zgaszonych reflektorów wehikułu dostrzegli nas... Chevrolet ostro skręcił w polną drogę, wpadł w bramę wiejskiego podwórka i ocierając się o stodołę pomknął, wyjąc silnikiem, przez bagnisty dojazd do przesieki w pobliskim lesie. Przegradzała ją błotnista kałuża, ale oni pędzili wprost na nią, by dopiero w ostatniej sekundzie dokonać półobrotu, dosłownie przeciskając się między drzewami!

Ale czymże była ta kałuża dla mego wehikułu? Tylko mocniej ująłem kierownicę, dodałem odrobinę gazu i już siedzieliśmy na ogonie chevroleta.

Ten skręcił ostro raz jeszcze wypadając poślizgiem na żwirówkę.

– Oni już są nasi! – z satysfakcją mruknął mistrz.

Ale właśnie w tej chwili, gdy dochodziliśmy ścigany wóz, z przeciwka błysnęło światło. Zza zakrętu wyskoczył motocykl, odbił się od drzwiczek chevroleta i bokiem runął nam pod koła. Nad nim koziółkowała bezwładna sylwetka motocyklisty...

Krótko wdepnąłem hamulec i rzuciłem wóz nagłym skrętem na pobocze. Poślizg i stanęliśmy dosłownie o metr od padającego w błoto człowieka.

– Gońmy! Gońmy! – krzyczał mistrz.

– Pouczałeś mnie, że przede wszystkim człowiek – powiedziałem, ocierając pot z czoła i wyłączając stacyjkę. Otworzyłem drzwiczki i, nie bez lęku, ruszyłem w stronę niemrawo poruszającej się w błocie sylwetki. Mistrz drobił za mną.

Pochyliłem się nad leżącym. W nozdrza uderzył odór wódki, a w uszy bełkot przekleństw.

Wreszcie motocyklista stanął na czworakach, nie przestając kłąć.

– I masz swego człowieka! – zaśmiał się mistrz. – Tymczasem po ściganych ślad w błocie i ciemności zaginął...

Potulnie zawróciłem do wehikułu.

– Może tak poszukać Przekłętника? – odezwałem się nieśmiało.

Mistrz nasrożył się, ale na moje szczęście zaraz spotkaliśmy leśnika, który wskazał nam drogę do Przekłętника.

Wiatr rozdarł chmury i woda w pobliskim rowie błyszcząca księżycową poświatą u stóp kilkunastu starych dębów. Dalej rozpoczynała się aleja niewiele młodszych grabów, prowadząca na małe wzgórze, gdzie białe resztki zgruchotanego pałacu, odziomki marmurowych kolumn.

– I co dalej, Tomaszu? – spytał mistrz, gdy wysiedliśmy z auta. – Gdzie Czarna Milady?

– Może nadjedzie – siłęm się na beztróskę. – A tak zupełnie z pustymi rękoma nie zostaliśmy. Mamy numer jej volvo.

Nataniel aż zakrztusił się ze śmiechu:

– Co ty mi tu opowiadasz w czasach, gdy komplet numerów wraz z dowodem rejestracyjnym kosztuje na Kiercelaku trzy bańki!

I znów miał rację!

Wiatr szarpnął ciszę nocy dalekim naszczekiwaniami psa. W ciemności błyszczało światelko samotnej zagrody. Mistrz zdecydował:

– Milady to my się tu nie doczekamy. Jedź pod zagrodę, poprosimy o nocleg. Przecież jutro musimy spakować rzeczy po naszym przyjacielu i zabrać je wedle jego woli.

Zagroda stała tuż pod lasem i należała do drwala, który – jak się okazało – był wdowcem i mieszkał tutaj z dorosłą córką. Przyjął nas raczej niechętnie, burkliwie; skusiła go jednak obietnica sowitego wynagrodzenia, które zaproponował mu mistrz.

– Będzieta sypiać w świątecznej izbie. Roboków tam ni ma. Jedni sypiali i dobrze im było. Tyż Przeklętnik przyjechali obejrzyć.

Zainteresowałem się:

– A kiedy to przyjechali? Znacie ich?

Odpowiedział powściągliwie:

– Już z niedziela minie, jak tu byli. Jo wim, co za jedni? Ni opowiadali się.

– Młoda, czarna kobieta? Grubas? I taki o twarzy szczura?

Wzruszył ramionami:

– Jak pan wiesz, to czego się pytasz?

I rozniewany krzyknął na córkę:

– A ty czego się guzdrasz? Panowie tyż pewnie zjedzo!

– Tak, tak... – mistrz Nataniel z zadowoleniem zatarł ręce i zerknął do perkocącego na kuchni sagana.

Drwal był wysoki, rozrosły, kudłaty. Brwi gęste i siwe, podobne do zeszcłego mchu, zasłaniały mu oczy. Poruszał się ociężale; mówił wolno, z trudnością. Córka była jego przeciwieństwem: drobna, zagubiona w fałdach białej chusty. Jej czarne oczy biegły ku nam ciekawie.

Pod ścianami stały ni to ławy, ni fotele pokryte samodziałowymi narzutami. Nataniel rzucił na jedną z nich płaszcz, kapelusz i jedwabny szal. Dziewczyna natychmiast chwyciła go w palce, zarzuciła na głowę i poczęła się krygować przed nieco zmatowiałym lustrem:

– Galanty! – zachichotała.

– Ładny? – zdziwił się lub udał zdziwienie mistrz.

Ale chłop krzyknął na córkę, furknął szal na ławę, dziewczyna zakrzętnęła się przy garnkach, a mistrz, spokojny jak zwykle, usiadł na stołeczku przy piecu. Między kolana wziął pień i siekierą drobił na nim chrust...

Z drzemki ocknęło mnie szuranie sprzętów. Drwal dosuwał do stołu ławy. Dziewczyna odcedziła ziemniaki w saganie, nasypała je do wielkiej miski i ubiła, po czym zaskwarzyła z wierzchu złotą cebulą ze słoninką. Postawiła przed każdym z nas fajansowe talerze, w które naląła aż po brzegi zabielanego śmietaną barszczu,

Trochę raził mnie ten niespotykany archaizm z sięganiem łyżką do wspólnej miski z

ziemniakami, ale spostrzegłem, że mój wyrafinowany mistrz czuje się w owych ziemniakach jak ryba w wodzie! Coraz to zgrabnym sięgnięciem łyżki porywał skwarę spod łyżki drwala, co wprawiało tego ostatniego w coraz to gorszy humor. W ponurym milczeniu siorbał barszcz.

Gdy skończyliśmy jeść, drwał skinął na córkę:

– A weź z komory jeszcze dwie poduszki. I obleczenie daj nowe. Miastowe lubią miętko...

Pościel tchnęła świeżością, ale była wilgotna. Rozespany drzemką pośpiesznie zrzuciłem z siebie ubranie. Mistrz krążył wokół stołu niczym ćma. Słyszeliśmy przez ścianę, jak w kuchennej izbie drwał łajał córkę, każąc jej przynieść wody. Potem w sieni zabrzczały wiadra.

– Przepraszam cię, Tomaszu – szepnął Nataniel i wybiegł z izby otuliwszy szyję swym jedwabnym szalem.

Okno gościnnej izby wychodziło na ogród. Tam była i studnia. Rozbierając się widziałem cień dziewczyny, pochylającej się nad nią. Później obok dziewczyny zamajaczył kształt mężczyzny...

Odwrociłem się od okna i wślizgnąłem w zimną pościel. Po chwili wrócił Nataniel. Rozsznurowując buty recytował półgłosem wiersz Goethego:

*Poznałem ją, schwyciłem ją, przy mnie została...
Do ofiar cię zmusi i powiesz jej: Prowadź!
I będzie twym mieniem i wiedzą szafować.*

Upadł na podłogę but. Nataniel podjął nową strofę i drugą nogę:

*Zstępuje na ziemię wieloma zjawami,
Na wodach unosi się, stąpa polami,
I miara ją święta blaskami uświetnia,
I tylko przez formę się treść uszlachetnia
Potęga najwyższa nią, przez nią się płaci
W młodości ją ujrział w kobiecej postaci...*

Stuknął drugi but. Teraz mistrz bosopo podszedł do kontaktu i zgasił światło. Wracając do łóżka spytał cicho:

– Czy naprawę już śpisz, Tomaszu?

Milczałem. Rano czekał nas powrót do ruin opactwa i niedokończonych prac Herakliusza Pronobisa...

ROZDZIAŁ PIĄTY

**SPOJRZENIE OPATA BERNARDA • CO MOŻNA ZNALEŹĆ W CZYTELNI
• ŚLAD PROWADZI DO NIEBOROWA • WIECZÓR NIEOCZEKIWANYCH
SPOTKAŃ • PRAWDZIWE OBLCICZE OPATA BERNARDA • PRZEKLĘTYŚ
TY I ZIEMIA TWOJA • PIOTR I NEFRYTOWA BROSZKA**

Odziane w białe habity korowody mnichów o płonących oczach bezszelestnie wylaniały się i ginęły w ciemności otaczających mnie krużganków. Smukłe kobiety w czerni zrywały się nagle, niczym wypuszczone z cięciwy i zmienione w srebrzyste groty mierzyły w moje odsłonięte serce. Klejnoty, stosy klejnotów... Zanurzałem w nie dłonie i chwytalem pełne garście, by obudzić się z palcami zaciśniętymi na rogu poduszki, wilgotnym od potu...

A on patrzył... on to widział; spokojny i nieporuszony. On pobudzał do życia te widziadła. On. Opat Bernard.

I za dnia, ilekroć podniosłem oczy znad pracy, napotykałem jego zimny, odejmujący siły i płaczący myśli wzrok. W moim maleńkim mieszkaniu robiło się nagle ciasno, jakby o jedną osobę za dużo. I tą osobą byłem ja. Nagle zdałem sobie sprawę, że wraz z całym mieszkaniem podporządkowuję się ciężkiemu spojrzeniu starego mnicha.

Przerażony tym zdjąłem malowany na bukowej desce portret ze ściany i, odwrócony licem do niej, ustawiłem na podłodze.

Nie pomogło. Ostry wzrok zakonnika sprzed wieków z łatwością przenikał drewno i dosięgał mnie, gdziekolwiek poruszyłem się w mej kawalerce. Wreszcie – przyznaję to ze wstydem – zacząłem z niej uciekać, aby móc w spokoju dokończyć moje dziełko o opatach sulejowskich.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, zdecydowawszy pracować cały wieczór w Bibliotece Publicznej, poprosiłem bibliotekarza o *Przyczynek do działalności opata Piotra* – książkę znaną mi dotąd jedynie z tytułu wyszczególnionego w bibliografii przygotowanej przez Pronobisa. Wręczając mi niepokazaną, żółtawą książeczkę bibliotekarz zerknął na jej

konto wypożyczeń i zażartował uprzejmie:

– Dwadzieścia lat leży u nas na półce. Przez ten czas nikt nawet do niej nie zajrzał. A dziś, co za urodzaj na czytelników! Pan jesteś drugim, który ją wypożycza.

Drgnąłem zaciskając palce na okładzinie, ale spytałem obojętnie:

– Któż był jej pierwszym czytelnikiem?

– Zdaje mi się, że jakaś kobieta.

– Młoda?

– Nie pamiętam. Tylu tu ludzi przychodzi...

Spojrzał na karton, gdzie pod numerami miejsc w czytelni notował wypożyczane książki.

– Zajmowała dwudziesty ósmy stolik. Oprócz tej książki czytała A 21 989.

Rzekłem bez chwili wahania:

– Czy może mi pan pożyczyć również A 21 989?

Aż usta otworzył. Na moment podejrzliwie przymrużył oczy, potem wzruszył ramionami i jednak podał żadaną książkę.

– Dać panu też dwudziesty ósmy stolik? – spytał z niepokojem.

Rzuciłem niedbale odchodząc w głąb czytelni:

– Już wcześniej wyznaczył mi pan dziesiąty.

Odetchnął z ulgą.

Pośpiesznie zapaliłem zielonkawą lampę na swym stoliku i drżącymi z niecierpliwości palcami odchyliłem okładkę A 21 989. Były to *Pamiętniki* Kazimierza Chłędowskiego, historyka, wydane przez Ossolineum.

Rozsiadłem się wygodnie, wyciągnąłem swobodnie nogi. Zdarzenie wydało mi się poważne, wymagało namysłu. Dwadzieścia lat *Przyczynek do działalności opata Piotra* przeleżał na bibliotecnej półce i raptem po dwudziestu latach, tego samego dnia znalazł aż dwóch czytelników. Czyżby, oprócz mnie, ktoś jeszcze studiował dzieje opatów sulejowskich? Jakby powiedział Herakliusz Pronobis: „Nader rzadkie zainteresowanie w wieku rozbitcia atomu”. I już choćby dlatego warto było poznać tę kobietę, jeśli bibliotekarza nie zawiodła pamięć...

Dobrze jest rozmyślać w czytelni. Zielonkawe lampy na stolikach napelniają rozległą salę barwą płytkiego jeziora, wielkie okna zasłaniają sztory. Cisza, spokój, miarowo tyka zegar ścienny, ktoś kaszlnie, ktoś zaszeleści kartką, ktoś westchnie. „Silentium” przestrzega napis nad drzwiami.

Przed kilkoma godzinami chłoneła ten spokój tajemnicza czytelniczka *Przyczynku do działalności opata Piotra*. Czego w nim szukała?

Czytała też *Pamiętniki* Chłędowskiego. Kartkowałem książkę bez nadziei, że odkryję powód zainteresowania czytelniczki. Zegar tykał równo, krawędzie kartek przyjemnie laskotały skórę palców. Nagle mój palec powstrzymał kartki. Kilkanaście zdań oznaczonych wykrzyknikiem. I malutka, wyrwana z notesu karteczka, a na niej słowa:

„DWÓR W ŁĘKACH – MEBLE. 28 GRUDNIA. POTEW NIEBORÓW”.

Zajrzałem do zaznaczonych wykrzyknikiem zdań *Pamiętników*. Ależ tak, opowiadały one o dworze w Łękach!

– „Dojeżdżało się tam ze Skierniewic do stacji kolejowej w Pniewie, stamtąd drogą – nie poprawioną jeszcze od czasów Księstwa Warszawskiego – w błotnistą okolicę Bzury, okólne karasi, rybitw, febry i komarów. Błota, stawy, moczary, a na podwyższeniu pszenica, powietrze miękkie, jakby ugotowane, a od czasu do czasu powiew wiatru przynosi odór obrzydliwej zgnilizny, tak że aż w nosie kreci. Dworek w Łękach stary, modrzewiowy, stoi na wysepce okolonej stawami; pamięta może kilkanaście rodów Czarnowskich, którzy tam całą okolicę obsiedli. Pokoje niskie, pełne starych obrazów. Na suficie w salonie wielka plama, jakby od jakiejś na strychu rozlanej tłustości. Ale to dzikie pszczoły znalazły sobie pomieszczenie pomiędzy sufitem a belkami strychu i miód do salonu przecieka...”

„Dwudziesty ósmy grudnia”. To już za kilka dni!

„Dwór w Łękach”. Co stanie się tego dnia w dworze w Łękach? A co potem w Nieborowie?

„Meble... meble...” – zastanawiałem się wysilając pamięć i wyobraźnię.

Wiedziałem już na pewno, że nie tylko ja, Nataniel i Pronobis interesowaliśmy się dziejami opatów sulejowskich. Istniała jakaś młoda kobieta poszukująca testamentu Baldaricha-Bałdrzycha, najprawdopodobniej Czarna Milady z dwójką dziwnych przyjaciół. Byli też jacyś dwaj tajemniczy i groźni mnisi w białych cysterskich habitach.

Interesowała nas ta sama sprawa – dzieje opatów, choć każdego z nas zapewne z innych powodów. Czy może dziwić, że nasze tropy krzyżowały się, że braliśmy do ręki te same książki i – nie znając się wzajemnie – natykaliśmy się na siebie?

Był to wieczór nieoczekiwanych spotkań. Wychodząc z biblioteki napotkałem Babie Lato. Towarzyszył jej niski brunet z artystycznie bujną, czarną czupryną, nawet utalentowany malarz, Bogumił. Zazdrościłem Bogumiłowi jego wrodzonej elegancji, która sprawiała, że nosił się bardzo wytwornie, a każda szmatka wisiała na nim przyjemnie i ujmująco. Zazdrościłem mu łatwości, z jaką dobijał się sukcesów. Bogumił przewyższał mnie pod każdym względem. Czyżby teraz zabrał mi dziewczynę?

Na dworze padał śnieg, pierwszy śnieg w tym roku. Babie Lato podała mi drobniutką dłoń i uśmiechnęła się czule. Bogumił skłonił się nisko, milcząco.

– Wróciłaś z gór – stwierdziłem cicho.

– O tak. Wróciłam wcześniej, niż zamierzałam. Bogumił – to moja góraska znajomość. Wyznacie się, zdaje się, od dawna?

– O tak.

– Z lat szkolnych. Górnych i chmurnych – rzekł Bogumił. – Piękne to były czasy!

Bąknąłem coś, że nie dla wszystkich lata szkolne były piękne. Babie Lato zwierzyła się z kłopotów związanych ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem. Pobyt w górach postanowiła przerwać, ponieważ chciała pozostawić sobie większą część urlopu na lipiec. Z drugiej strony praca w muzeum bardzo ją ostatnio nudziła i chyba źle zrobiła studiując archeologię, po której większą część pracy stanowi żmudne i mało zajmujące – jej zdaniem – klasyfikowanie eksponatów.

Wróciłem do domu i do spojrzenia opata Bernarda...

– No, czcigodny ojczy – powiedziałem tknięty nagłą myślą znalazłem dla ciebie godnego przeciwnika!

Opakowałem portret i zaniósłem do wehikułu, którym czym prędzej – jakby w obawie, że spojrzenie mnicha każe mi zawrócić – ruszyłem w stronę willi Nataniela.

– Mam nadzieję – rzekłem do mistrza – że przekazując ci ten portret nie sprzeciwię się woli profesora Pronobisa...

– Hm – chrząknął Nataniel. – Sądzę, Tomaszu, że pragniesz zbeczczyć mą pamięć o przyjacielu tym strasznym malunkiem.

Wyjąłem obraz z opakowania. Postawiłem go na stole, zapaliłem wszystkie światła w pracowni. Lęk, że mogę być znowu skazany na portret Bernarda podsuwał mi słowa, jakie dotąd nie przychodziły mi nawet na myśl:

– Straszny malunek? Natanielu, co stało się z twoją wrażliwością? Twoja wyobraźnia uschła, jak grusza w szczerym polu. Jan Aleksander Tretko nie był wielkim malarzem, to prawda, lecz, jego portret Jana III Sobieskiego należy do trwałych dzieł w albumach naszego malarstwa. W moim zaś przekonaniu portret Bernarda stoi o całe niebo wyżej od tamtego obrazu. Tretko ma tu znacznie ciekawszą paletę, a przede wszystkim głębię psychologiczną. Prawie nic nie czytałem o Bernardzie, ale wystarczy uważniej wpatrzeć się w ten obraz, aby wiedzieć wszystko. Zwróć uwagę na zestawienie barw. Jakże wspaniale dzięki nim oddał malarz charakter i osobowość portretowanej postaci... Przyprószone szarością zmierzchu biały – cysterski habit i bielsza od niego twarz. Brunatny szkaplerz na piersi. I co za tło! Soczysta czerwień zakrzepłej krwi. Malarz specjalnie chyba wybrał porę wieczoru, aby w promieniach zachodzącego słońca najpełniej wyrazić charakter Bernarda. Być może ta czerwień jest metaforą, przy pomocy której chciał ukazać jego duszę i marzenia, aby ogień oczyścił świat z grzechu.

– Wspaniale! Wspaniale! – szepnął mistrz Nataniel, patrząc na mnie życzliwie. – Zaczynam wierzyć w piękno tego obrazu. Dobrze, Tomaszu, powieszę go w swej bibliotece, a będzie mi przywodził na pamięć chwile twego uniesienia. Związany ze śmiercią Pronobisa, tym bardziej wyda mi się drogi i cenny.

Zwilżyłem kawą zaschnięte gardło. Nataniel sięgnął ręką na stół po otwartą książkę.

– A propos Pronobisa, kochany przyjacielu – powiedział mistrz. – Gdybym nie wiedział,

że Herakliusz pochodził z rodu Machabeuszów, mógłbym przypuszczać, że jego pradziad był organistą. Wyobraź sobie, że w publikacji *Nazwiska polskie* Jana Stanisława Bystronia wyczytałem na stronie osiemnastej: „Jesteśmy zapewne na dobrej drodze, jeśli uważamy takie nazwiska, jak Angelus, Oremus, Sekunda, Domino, Pronobis, jako oznaczające ludzi, którzy zetknąwszy się powierzchownie z łaciną kościelną, z dumą powtarzali poszczególne wyrazy, z czasem ustalone jako ich nazwiska. Tyczy to w szczególności nazwisk organistowskich i kleszych...”

Wydało mi się, że nadeszła najsposobniejsza chwila, aby opowiedzieć Natanielowi o dziwnym zdarzeniu w bibliotece, o tajemniczej kartce: „DWÓR W ŁĘKACH – MEBLE. 28 GRUDNIA. POTE M NIEBORÓW.”

Mistrz przyjął opowiadanie jako zarzut pod jego adresem i począł się usprawiedliwiać.

– Nie sądz, Tomaszu, że tylko ty jeden poszukujesz zabójców Herakliusza. I ja także nie zaniedbuję naszej sprawy. Przedwczoraj odbyłem samochodowy rekonesans do Przekłętника, aby nieco szerzej ustalić związek między tą miejscowością a osobą nie znanej ci bliżej czarnej kobiety. Niestety, podróż moja nie okazała się owocna. Przywiozłem jedynie legendę o właścicielu pięknego parku starych dębów, alei grabowej i ruin pałacu na wzgórk. Był to ponoć szlachcic bardzo zamożny, samotnik, nieżonaty, bezdzietny dziwak. Wiele lat przesiedział w swym domu studiując księgi, które doprowadziły go do utraty wiary w Boga. Kler chcąc przywłaszczyć sobie majątek ponurego szlachcica, wytoczył mu proces o ateizm. Ciało szlachcica złożono na stosie i spalono, prochy zaś, jak w sławnej sprawie Łyszczyńskiego, nabito w działa i „ku Tartarii wystrzelono”. Dwór i pałac zrównano z ziemią, jako miejsce przez Boga i ludzi przekłete – stąd na pewno i nazwa Przekłętник. Zakazano na nim budować, orać i siać po wsze czasy. Lecz, jak powiada legenda, niewiele zyskano na śmierci ateusza. Był on bowiem na tyle sprytny, że domyślając się oczekującego go końca, ukrył gdzieś skarby przez wierne sługi i do dziś nikt ich nie odnalazł...

– Co jest motywem wielu legend – dokończyłem.

Mistrz Nataniel niecierpliwie rozgarnął dłonią powietrze, odpędzając dym z papierosów.

Chcesz poznać nazwisko przekłętego szlachcica? Nazywał się on... Baldarich-Bałdrzych. Oniemiałem.

Już nazajutrz późnym wieczorem niespodziewanie odwiedził mnie sam mistrz. Co go skłoniło do tak nieoczekiwanej rewizyty?

Wszedł do pokoju, położył na stole kapelusz, ale nie rozebrał się z futra. Nie tłumaczył swego przybycia. Nie chciał spocząć na krześle. Stał przy półkach z książkami i formułując w myślach jakieś zdania, bezwiednie przesuwiał dłonią po grzbietach tomów.

Nagle odwrócił do mnie uśmiechniętą twarz i zapytał przeciągle:

– Dlaczego to podarowałeś mi portret opata Bernarda?

– Przeszkadza ci we śnie? Mąci uwagę i utrudnia pracę, denerwuje? – niepokoiłem się.

– Nie, nie to – lekceważąco strzepnął palcami. – Po prostu na zebraniu poetów, gdzie byłem przed chwilą, doszedłem do wniosku, że darowując portret chciałeś mi milcząco wyrazić pewną myśl lub tylko tę myśl podsunąć. Jest w opacie Bernardzie coś dobrze mi znanego i nienawistnego. Te fanatyczne oczy wlepione w jeden punkt i jakby pragnące innym narzucić swą wolę i wiarę. Te chciwe palce gotowe zdławić każdą cudzą myśl i uczucie. Ludzkość, drogi Tomaszu, powinna przede wszystkim strzec się tych, którzy ją pragną uszczęśliwić.

Pomedytował krótką chwilę, a potem rzekł:

– Chciałbym, abyś uwzględnił i tę kwestię, kreśląc opatów sulejowskich sylwetkę świątobliwego Bernarda. Przyszedłem to powiedzieć tobie, który również należysz do potomków nowych uszczęśliwaczy ludzkości. Pamiętam, byli niedawno w Europie budowniczości szczęśliwego, ich zdaniem, ładu...

Nie była to jedyna wizyta tego wieczora. Myślałem wciąż jeszcze nad słowami Nataniela, gdy załomotano do drzwi. Otworzyłem je czym prędzej i oczom moim ukazała się dorodna postać Piotra. Od fioletowozółtego punkczubu poprzez napuchającą kurtę Rangersów po haftowane kowbojki.

– Druhowi cześć! – dziarsko zakrzyknął Piotr pakując się do środka. – Akurat byłem w stolicy, pomyślałem więc, że dobrze będzie do druha wpaść. Tym bardziej że kilka dni temu Marek znalazł tę błyskotkę koło wieży świętej pamięci profesora.

Tu sięgnął do przepastnej kieszeni i na jego dłoni zabłysła brosza, której srebrne oksydowane pasemka misternie oplatały nacięty w kształt krzyża ciemny nefryt.

– Pomyśleliśmy, że druhowi bardziej się ona przyda niż nam...

Że się przyda – nie wątpiłem. Tylko nie bardzo jeszcze wiedziałem do czego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

**BROSZA Z NEFRYTEM • JAK POZNAŁEM PROFESORA PRONOBISA •
STRZAŁ Z UKRYCIA • WYRUSZAMY DO ŁĘK • O ZWYCZAJACH
CHIŃSKICH GANGSTERÓW • POCZĄTKI ZAKONU CYSTERSÓW •
ROZMÓWKI PRZESTĘPCÓW • WPADKA MISTRZA NATANIELA •
WEHIKUŁ W ROLI AMFIBII**

Niosąc ze sobą niespodziewaną odwilż nadszedł wieczór drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Położyłem przed sobą na stole broszę przywiezioną przez Piotra i jąłem wpatrywać się w nią uważnie, jakby sam jej wygląd mógł odpowiedzieć mi na pytanie, do kogo należała. Ale brosza milczała i na nic się zdały oględziny nawet przez lupę. Wiedziałem o niej tyle co i na początku, a podsunęło mi to moje wykształcenie: że pochodzi z przełomu XVII i XVIII wieku i że wykonano ją według tak zwanego stylu szkoły wiedeńskiej. Dlaczego jednak niezbyt drogi nefryt, półszlachetny kamień z rodziny aktynolitów, oprawiono z taką pieczołowitością i kunsztem?

Moim zdaniem, w grę mogły wchodzić dwie okoliczności: albo jest to pamiątka rodzinna, której wartości nie sposób mierzyć ceną klejnotu, albo – talizman... Zaraz, przecież nefryt opiekuje się szczególnie ludźmi urodzonymi pod znakiem Panny! Tak więc brosza jest czymś talizmanem. Ma mu przynosić szczęście! No jasne! Przecież raczej należy wykluczyć, aby ktoś zabierał ze sobą na włóczęgę po ruinach rodzinne pamiątki! Co innego zabrać talizman na ryzykowną wyprawę!

Tak więc mogłem założyć, że właścicielem, a raczej właścicielką broszy – bo to damska ozdoba – była kobieta spod znaku Panny. Jeśli skojarzyć nieznajomą z knajpy pod Sulejowem i informację Urwisów o damie w płaszczu z kapturem, pasażerce volvo, to całkiem prawdopodobne, że wróciła co najmniej raz jeszcze do komnatki profesora. Ale czego mogła tam szukać po jego śmierci? Co tak cennego mógł zostawić w mauretańskiej wieży biedny stary człowiek?

Przypomniały mi się chwile sprzed dwóch lat, gdy tak jak dziś z dachów skapywał

roztajały śnieg. Poznałem Pronobisa w Wiedniu, mieszkaliśmy w staroświeckim hotelu przy Hauptstrasse 7. „Zwei Minuten von der Staatsoper” – jak głosiła nalepka, którą tu ozdabiano walizki gości. Hotel nazywał się „Goldenes Lamm” i chlubił się tym, że niegdyś raczył tu zamieszkiwać czeski kompozytor Antonin Dwořak.

Pronobis całe dni spędzał w Tajnym Archiwum Policji Austriackiej, z niezwykłą drobiazgowością poszukując tropów dwóch największych alchemików Odrodzenia: Johna Dee i Edwarda Kelleya, których podejrzewał, że byli szpiegami królowej angielskiej, Elżbiety I, sprowadzonymi do Polski w 1585 roku przez Olbrachta Łaskiego, wojewodę sieradzkiego, w celu zamachu na życie króla Stefanii Batorego.

Profesor długie godziny opowiadał o tajemniczym kryształowym zwierciadle Johna Dee, o wywoływaniu zjaw i straszliwych prorocत्वach. Z Wiednia zamierzał Pronobis pojechać do Wielkiej Brytanii, aby tam przeczytać oryginał prowadzonego przez Dee dziennika jego pobytu w Polsce. Ale właśnie wtedy cofnięto mu zagraniczne stypendium naukowe...

Teraz nie było go już między żywymi... Odszedł zostawiając mi portret opata Bernarda... Dlaczego właśnie podobiznę tego człowieka, będącego tak jaskrawym przeciwieństwem jego osoby podarował mi profesor? Chciał ze mnie zakpić? Znałem go jako człowieka bardzo serio! Może więc portret opata był niedopowiedzianym przesłaniem dla mnie? A ja tak łatwo się go pozbyłem! Zrobiło mi się przykro i jak zawsze w takich sytuacjach nabrałem ochoty na papierosa. Ale wiedziałem, jak sobie z tą pokusą poradzić. Wstałem od stołu, odsunąłem zasłonę i otworzyłem szeroko okno. Nie ma to jak łyk świeżego powietrza! W oknach domów naprzeciw jarzyły się choinkowe światełka, słychać było cichą melodię kolędy. I wtedy w ciemnym oknie klatki schodowej po drugiej stronie ulicy błysnęło rubinowe oko. Jednocześnie usłyszałem świst nad głową i cichy stuk za plecami. Odwróciłem się. Jeszcze drżąc od uderzenia tkwił, wbity we wspornik regału, metalowy belt...

Szarpnąłem zasłonę przysłaniając okno i opadłem na fotel. Na plecach czułem zimną strużkę potu. Sporo czasu minęło, nim podniosłem się i podszedłem do regału. Belt wbity był głęboko i sporo wysiłku kosztowało mnie wydobyć go z drewna. Wykonano go z aluminium i z jednej strony opatrzone w trójkątny stalowy grot, z drugiej zaś w plastikowe trzy wąskie lotki. Na jednej z nich wyraźnie znaczyły się cztery nacięcia.

Zgasilem światło i ostrożnie wyjrzałem zza zasłony. Okno klatki schodowej, w którym ujrzałem błysk, było zamknięte i ciemne... Położyłem belt obok broszy:

– Wiem, że coś was łączy. I dowiem się, co!

Zadzwoił telefon:

– Wesołych świąt, Tomaszu! – usłyszałem głos Nataniela. – O której wyruszamy?

– Wesołych! – odpowiedziałem ponuro. – A dokąd to mamy wyruszyć?

– Jak to „dokąd”? – głos mistrza brzmiał szczerym zdumieniem. – Pojutrze do Łęk! Co się z tobą dzieje?! Czyżbyś zapomniał dwudziestym ósmym, zapisanym na kartce bandziorów?

– Nie dzieje się ze mną nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że strzelano do mnie...

– Strzelano? Na Boga! – przeraził się Nataniel. – Kto? Z czego?

– Sam chciałbym wiedzieć kto. A strzelano z kuszy.

– Z kuszy?... – słuchawka zabulgotała śmiechem. – No tak, na historyka historyczna broń!

– Nie taka znów historyczna jak twoje wiadomości o niej przyciętem mistrzowi. – Nowoczesna kusza, wyposażona w laserowy celownik jest równie groźna jak karabin, choć na nieco mniejszą odległość, i nie wymaga tłumika. Ponoć kusze są „na wyposażeniu” wszystkich szanujących się gangów... A co do wyjazdu do Łęk, to nie sądzisz, że możemy spłoszyć naszych milusińskich?

– Absolutnie! – odzyskał rezon Nataniel. – Bylebyśmy tylko przyjechali rano, raniutko. Może nie znam się na broni, ale nie jest mi obca psychika ludzka: czy sądzisz, że bandyci zabiorą się do roboty przed południem? Taki kawał drogi od Warszawy?

Nie sądziłem. A raczej nie chciałem wdawać się w jałowe spory z mistrzem. Uzgodniliśmy, że wyruszymy na tyle wcześniej, by być w Łękach około dziewiątej. Oczywiście wyruszyć mieliśmy moim wehikułem, ponieważ wrażliwy jak mimoza cadillac Nataniela mógł niemile odczuć wyboje bocznych dróg, no i przybrudzić się. Mistrz przykazał mi jeszcze odziać się w najgrubszy kozuch i wziąć bełt oraz broszkę, aby mógł im się przyjrzeć.

Wycieraczki z trudem oczyszczały szyby z topniejącego śniegu, który, zmieszany z marznącym deszczem, walił wielkimi płatami z niskich chmur, gdy dwudziestego ósmego grudnia przed świtem wyruszyliśmy z Natanielem w kierunku tajemniczych Łęk

– Szkoda, że nie ma z nami któregoś z Urwisów... – odezwał się do mistrza.

Ten jeszcze bardziej nastroszył bobrowy kołnierz:

– Dorosłym też się należy jakaś przygoda od czasu do czasu – oświadczył raźnie. – A teraz pokaż strzałę i klejnocik. Jest już dosyć widno, bym mógł się im przyjrzeć...

– Proszę – podałem mu oba przedmioty.

– Taaak – powiedział po długiej chwili, odkładając broszkę do pudełeczka, w którym ją przechowywałem – czarny klejnot i czarna Panna. Tu rzeczywiście pasowałaby Czarna Milady. Mam tylko nadzieję, że jej charakter jest nieco jaśniejszy, bo szkoda byłoby tej pięknej kobiety... Przyjrzyjmy się teraz strzale... Otóż, drogi Tomaszu, nie chcąc wysłuchiwać już więcej twoich naigrywań z mojej „historycznej” znajomości współczesnej broni, zasięgnąłem informacji u mego przyjaciela z Komendy Głównej Policji... Mogę ci teraz powiedzieć, że strzała., która – biorąc pod uwagę odległość, z jakiej strzelano i tak wychwalany przez ciebie laserowy celownik nie miała cię zabić, a tylko nastraszyć, jest produkcji południowokoreańskiej, o czym świadczy opisany mi przez ciebie, a tu widoczny, kształt grotu. Natomiast cztery nacięcia na lotce znaczą w języku triad, czyli gangów chińskich, że jeśli nie zaprzestasz zajmować się daną sprawą, będziesz jeszcze cztery razy

ostrzeżony. Piąty zaś strzał będzie, niestety, drogi Tomaszu celny... Ponieważ wiem, że z żadnej z zaczętych spraw wycofywać się nigdy nie miałeś zamiaru, życia widzę przed tobą na cztery strzelania z kuszy... Ten, kto do ciebie strzelał, musi być nieźle obyty w swym rzemiośle!

To powiedziawszy mój drogi mistrz wtulił nos w futro i zachrapał.

Niedostrzeżeni w śnieżycy przez, nikogo dojechaliśmy do Łęk tuż po dziesiątej. Dwór stał na niewielkim wzniesieniu, otoczonym fosą wypełnioną wodą, którą krótkotrwały mróz pokrył cieniutką tylko tafelką lodu. Do dworu można było przedostać się przez rachityczny mostek, którego najmocniejszy punkt stanowiły dwie dość grube – ale wątpię, czy przybite gwoździami – dechy.

– Tylko jedź uważnie, a ja będę pilotował! – poderwał się mistrz i ani się spostrzegłem, a już stał na mostku i zachęcająco kiwał na mnie palcem.

– Ale po co się tam pchać?! – krzyknąłem, otwierając okienko.

– Przecież musimy gdzieś schować samochód! – odkrzyknął Nataniel.

– Ale ślady opon!

– Śnieg w minutę je zasypie!

– A nie można we wsi?

– Oni mogą mieć tam swoich ludzi! A tu za dworem widzę stertę siana. Zajedziesz za nią, przysypimy grata sianem i nikt go nie zobaczy! No, ruszaj!

Ruszyłem. Dechy zatrzęszczały, ale nie pękły. Otarłem pot z czoła.

Ukryliśmy wehikuł w sianie i rozejrzeliśmy się po okolicy.

Najpierw dokładnie zwiedziliśmy cały teren – park i wysepkę. Wydawały się nam puste i bezludne – nic nie wzbudzało podejrzeń. Brudne, ciemne, zabite deskami pokoje dworu podziały na nas odstrasżająco. Po szczerbatej drabinie dostaliśmy się na strych, gdzie było równie brudno jak w pokojach, lecz więcej świeżego powietrza i światła, które wpadało tu przez dziury w dachu. Wynaleźliśmy zaciszny kącik na rozwalonej skrzyni obok komina i czekaliśmy.

Dwór był stary, z drugiej połowy XVII wieku, drewniany, parterowy, o konstrukcji zrębowej. Zbudowano go na planie prostokąta, z jednopiętrowymi ryzalitami na osi poprzecznej, zwieńczonymi trójkątnymi szczytami. Dach był dwuspadowy, łamany, ze świetlikami. Układ wnętrza dwutraktowy, na osi sień i długi salon. Kiedyś na pewno dwór był ładny – teraz stał się nie zamieszkaną rudera uznana za zabytek i przeznaczoną do rekonstrukcji, na którą miejscowe władze nie miały pieniędzy. Modrzewiowe belki spróchniały, dach i sufity groziły zawaleniem. Okna zabito deskami, w zakurzonych pokojach wały się połamane, staroświeckie sprzęty, śmierdziało szczurami i stęchlizną.

Powoli mijały godziny. Mróz tężał.

– Nie, Natanielu. Nie ma sensu bezskutecznie wyczekiwać. Spójrz, ile tu pajęczyn!

- Pająki przynoszą szczęście – zauważył mistrz.
- Boże, tylko nie mów aforyzmów – jęknąłem.
- No cóż? Jestem człowiekiem starej daty – rzekł cierpko.

Chwyciłem go za rękę:

- Pssst! Cicho! Słyszysz!...

Ale to tylko myszy chrobotąły za kominem. Strych wypełniał się ciemnością, w parku drzewa szumiały głośno i niemuzykalnie.

– Wszystko furda, Tomaszu. Masz rację, nic nie ma sensu. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, na przykład, skąd wzięli się na świecie cystersi? – ni stąd ni zowąd zapytał wesoło mistrz.

- Cystersi? Z ochotą – uchwyciłem się tego tematu. Byle jakoś zabić tę ciszę i chłód.

– Ordo Cisterciensis po łacinie, po francusku Citeaux, drogi Natanielu, jest gałęzią benedyktynów ściślejszej reguły Zakon ten wziął swą nazwę od opactwa położonego w Burgundii, w diecezji Chalons, na odludziu wśród lasów i skał niedaleko miasta Dijon, w miejscu zwanym Cistercium, z powodu licznych cystern, które się tam znajdują. Opat benedyktynów, Robert z Molesme, widząc rozprężenie pomiędzy zakonnikami, wybrał spośród nich sześciu towarzyszy i w 1098 roku schronił się w tym bezludnym miejscu, aby tam prowadzić żywot bogobojny i surowy. Ale już w roku następnym złożył swój urząd i powrócił do żałujących go zakonników w Molesme. Rządy opactwem objął po nim święty Alberyk, który wyjednał u papieża Paschalisa II zatwierdzenie klasztoru według reguły świętego Benedykta i zaprojektował nowe ustawy, utrzymujące powyższą reguły i przypisujące zakonnikom habit brunatny, później zamieniony na biały ze szkaplerzem brunatnym. Po śmierci Alberyka nastąpił święty Stefan Harding, którego osoba jest ci znana z historii Kościoła. Harding szczególnie przestrzegał zachowania ślubu ubóstwa. Prowadził żywot tak surowy, tak dopiekał zakonnikom, że nikt więcej nie odważył się wstąpić do jego klasztoru. Pobożny opat uciekał się do modłów, które ponoć zostały wysłuchane w 1113 roku, gdy przybył do niego święty Bernard z trzydziestu towarzyszami. Bernard wkrótce zyskał ogromną sławę, był gorliwy w krzewieniu reguły zakonu, założył około sześćdziesięciu opactw, a od jego imienia poczęto cystersów nazywać bernardynami. Rzecz szczególna, że chociaż w zakonie cystersów trzymano się rzymskiego obrządku...

Ktoś kaszlnął w pobliżu? A może znowu myszy chrobocą? Nie. Wyraźnie słyhać kaszel. Ktoś idąc tutaj rozkaszał się nagle... Teraz słyhać szmer rozmowy. Szmer ten narastał. Nadchodzący zbliżali się.

Ująłem dłoń Nataniela.

- Nadchodzą!

Drzwi wejściowe do dworu – trzymające się na jednym przerdzewiałym zawiasie – przeraźliwie zapiały jak zarzynany kogut. Potem na drewnianej podłodze w sieni załomotały kroki. W szparach sufitu zamigotało światło latarki. Tajemniczy przybysze weszli najpierw do sieni, a stąd do pierwszego pokoju po lewej stronie i obchodzili wolno całe domostwo. Strych

nasz był pusty, przestronny. Szlak ich wędrówki rozpoznawaliśmy po ruchu światła latarki, które coraz to w innej szparze sufitu migotało żółtym blaskiem. Sądziłem oczywiście, że są we dworze zupełnie sami, zachowywali się swobodnie, hałaśliwie, przesuwali jakieś sprzęty, tupali nogami, rozmawiali głośno, ale słowa rozmowy potrafiliśmy rozróżnić dopiero, gdy znaleźli się w salonie przylegającym do kuchni, nad którą ukryliśmy się z Natanielem. Głosy ich wydały mi się dziwnie znajome.

– Bach Majonosy!? Jak Boga kocham, Bach Majonosy! Grzmi jak trąby archanielskie – mruknąłem uradowany do Nataniela. – Rozpoznajesz i ten drugi głosik, cienki, piskliwy? To Szczurek.

Nataniel zszedł ostrożnie ze skrzyni i przyklęknąwszy, zasiadł jak kot nad szparą.

– Jeśli upadłego chcesz podźwignąć – rzekł cicho zaglądając w dziury w suficie – musisz się nad nim pochylić, powiedziane jest u świętego Grzegorza. A w Ewangelii świętego Łukasza...

Nie dokończył. W szparze ukazało się światło – przybysze weszli do kuchni.

– Szef będzie musiał wypożyczyć ciężarówkę, inaczej tego wszystkiego nie zabierzemy. Ech, znowu się obłowi, a nam odpali dołą jak ostatnim łachudrom. Ale dla dziewczyny na pewno będzie hojniejszy.

Zarechotali. Jeden grubo, drugi cienko. Zgrzytnęło jakieś żelastwo.

– On się w niej durzy. Kiedyś po pijanemu zwierzył mi się, że zaproponował jej małżeństwo. Gdzie tam. Z miejsca go odpaliła.

– Pewnie ma jakiegoś faceta.

– Nie ma. W tym sęk. Kazał ją śledzić i okazuje się, że żyje samotnie jak palec. Cnotliwa Zuzanna. Jej męża zastrzelili podczas ucieczki z więzienia. Arystokratka, psiakrew. Na Wołyniu jakieś tam majątki mieli, rozparcelowali ich – opowiadał Szczurek.

– A co ty wiesz o „szefie”?

– Ja? Nic.

– Ja też nic.

– I pewnie dlatego żyjemy! Ale na arystokratę on mi nie wygląda!

– Ja tam, bracie, arystokracji nie cenię A tak w ogóle to nic o niej nie wiem. Wiedzę szanuję – w Bachu Majonosym odezwał się demokrat. – A ona kończyła historię sztuki, czy jak to się tam nazywa. Rozeznaje się w tym wszystkim lepiej od „szefa”. Ja ci to mówię: lepiej od niego! Dlatego tak się z nią cacka, to jakiś prezencik, to znów gratyfikacja...

– A ja ci mówię, że ona jakąś tajemnicę ukrywa.

– Ona? A jaką?

– Żeby to ja wiedział!

– Nie wierzę. Kobieta piękna, młoda, zdrowa. Ile ona ma lat?

– Dwadzieścia siedem.

– No widzisz. Raz byłem z nią w kawiarni, czekaliśmy na „szefa”. Obok przy stoliku

siedział przystojniaczek. Patrzył na nią jak w tęczę.

– I co? I co? – pytał łakomie Szczurek.

– Nic. Przyszedł „szef” i pojechaliśmy do Przeklętnika.

– A pamiętasz tych dwóch, co weszli za nami w Sulejowie? „Szef” powiedział: „Panienska się nimi zajmie”. Tak powiedział: „panienka”. A ona przecież wdowa.

– Odnajdzie te skarby?

– Nie bój się, odnajdzie. Tylko że ani ty, ani ja nawet ich nie powąchamy.

– Ale zostaje Nieborów. Ech, tam się można obłowić...

Trzasnęła odkręcana nakrętka. Czyżby zamierzali tu urządzać pijaństwo? Ciągłe mówią o jakimś „szefie”. Któż to taki, u diabła? A swoją drogą, jak to ładnie ze strony Czarnej Milady, że tak broni swych wdzięków pierwszemu lepszemu bandycie. A może on nie pierwszy lepszy? No, Czarna Milady chyba zna się na tym, skoro jej mąż siedział w więzieniu. Aristokratka? Mój Boże, na co to przyszło naszej arystokracji!

Jednego tylko nie rozumiałem. Po co tu przyjechali Samurek i Bach Majonosy? „Meble” – informowała tajemnicza karteczka. Czyżby w grę wchodziły te stare, połamane graty walające się po pokojach?

Natanielowi zapewne ścierpły nogi od długiego klęczenia. Spróbował zmienić pozycje. Ledwie drgnął, a już na dół poczęło prosić trocinami i tynkiem. Ci na dole zaklęli, bo któremuś napadało za kołnierz.

– Myszy na górze harcują – pisnął Szczurek

– A wiesz, że w tym dworze straszy?

– Bzdurzysz!...

– Prawdę mówię. Słowo honoru – przysięgał Bach Majonosy. – Tu jest feralne miejsce. Od końca wojny nikt tu nie chce mieszkać, ludzie omijają dwór jak zarazę. Regularnie, co dwa lata, znajdują tutaj trupa. Zawsze koło Nowego Roku.

– Co ty bajdurzysz?

– No tak. To znaczy, nie wiadomo, czy akurat tutaj popełniane są morderstwa, ale tutaj były trupy.

– Bzdurzysz!

– W gazetach pisali.

– A co to za trupy? Męskie, kobiece?

– Różnie. Raz była kobieta, młoda. Kilka razy mężczyźni. I tak co dwa lata. Nikt trupów nie rozpoznał, nietutejsze.

Nataniel znowu się poruszył i na dół sypnęło kurzem i trocinami, złoczyńcy zamilkli nad słuchując. Szczurek zapytał niepewnie:

– A kiedy ostatni raz trupa znaleźli?

– O, będzie już dwa lata – odparł pogodnie Bach Majonosy. „Straszy go, celowo go straszy” – doszedłem do wniosku.

– Dzisiaj jest dwudziesty ósmy grudnia... – mruknął wreszcie Bach Majonosy.

„Uważaj, bo przeholujesz i przestanie ci wierzyć” – strofowałem go w duchu.

– Trupy leżały zawsze w sieni, obok kuchni. Głowy miały ucięte – uzupełnił ponuro.

Wtem rozległ się wielki trzask. Kłęb kurzu i pyłu uderzył mi w oczy. Nataniel wrzasnął: „Oooooo.” Załomotało i spadł na dół. Znowu załomotało.

Poderwałem się ze skrzyni. Co teraz będzie?

W dole ciągle coś głucho dudniło, jakby ktoś biegł ciężko po podłodze. Ktoś krzyczał, ktoś jęczał. Zaskrzypiał zawias w sieni. I jeszcze chwila łomotu. Trzask, tupot! Skrzyp zawiasu! I cisza...

Po omacku odnalazłem drabinę i zszedłem do sieni.

– Natanielu! Natanielu!... – nawoływałem.

Za ścianą rozległo się szuranie. Coś stuknęło.

– Tomasz? Chodźże tutaj – usłyszałem spokojny głos mistrza.

Świecąc zapałkami znalazłem drzwi do kuchni. Było w niej jaśniej, bo na parapecie leżała paląca się latarka. Tamci uciekli. Na środku kuchni – wśród połamanych sprzętów i gruzów, obok dwóch szpachli stał spokojnie Nataniel i otrząpywał z kurzu swoje piękne futro.

– Czy nie sądzisz, że spadając ze strychu musiałem być śmieszny? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Złąkłem się o ciebie.

– Nawet nogi nie złamałem. Zaledwie kolana i łokieć potłukłem. Uff, booli!... – skrzywił się obmacując swoje kości.

Roześmiałem się. Mistrz z ubolewaniem pokiwał głową.

– No tak, rozumiem. Byłem śmieszny. Gdybym zabił się, być może uznałbyś to za tragiczne. Ponieważ nie zrobiłem sobie żadnej krzywdy, drwisz sobie ze mnie. Tomasz, zobaczysz, zemszczę się na tobie.

– Ależ to nie z ciebie się śmieję, Natanielu! – aż giąłem się od chichotu. – Po prostu wyobraziłem sobie miny zbójów. No, mieli chyba pietra. Myśleli, że to ów straszliwy morderca wali się im na głowy; że za chwilę będą leżeli pomordowani w sień! Nowy Rok blisko, ha, ha... Spójrz, nawet wódkę zostawili! Tylko, że się wylała.

Gdy minął mi atak śmiechu, zapytałem mistrza:

– Czy możesz mi zdradzić, dlaczego spadając tak dziwnie zawyłeś „Oooooo...”?

– Żeby ich przerazić – odparł Nataniel po krótkim namyśle.

– Naprawdę? – zapytałem z niedowierzaniem.

Mistrz udał, że nie dosłyszał. Dokończył otrząpywania futra, zabrał z okna latarkę i opuściliśmy „straszny dwór”.

Noc trwała zimna, ciemna, bezksiężycowa. Nad fosą czekała nas przykra niespodzianka. Uciekający zrzucili z mostku deski, żeby uniemożliwić pogoń. Leżały o trzy metry od nas – tyleż metrów szerokości miała fosa – widzieliśmy je wyraźnie w blasku latarki, ale dosięgnąć

ich nie było sposobu. Krążyliśmy brzegiem wysepki jak wiewiórki w kole, szukając wyjścia z matni.

Wreszcie Nataniel zawyrokował nie bez pewnej satysfakcji;

– Od upadku boli mnie całe ciało. Jestem potłuczony, ranny, kaleka. Ty zaś, Tomaszu...

– ...posiadasz wehikuł, który dzięki temu, że twój mistrz, oszczędza swego cadillaca, dowiózł nas tutaj. I teraz, jako że ma zdolności amfibii, przewiezie nas suchą nogą przez ten marny rowek dokończyłem, gdy już wystarczająco nacieszyłem się rozpaczą Nataniela.

Ten chrząknął z niejaką skruchą i podreptał w stronę kryjącej mój pojazd sterty siana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

**DO PRZEKLĘTNIKA • AUTOSTOPOWICZKA • ZASPY I „AWARIE” • W
RUINACH MŁYNA • CZARNA MILADY • WRÓŻBY I KLAMSTWA • SEN
SPRAWIEDLIWEGO • KLEJNOT W POPIELE**

W kilka dni po Nowym Roku ogarnęła mnie chęćka oderwania się od żmudnej pracy umysłowej i wyruszenia gdzieś przed siebie. Pomyślałem, że może odwiedzę Przeklętnik, a potem zajrzę do Urwisów, aby dowiedzieć się, czy nie wpadło im w oko coś nowego związanego ze śmiercią profesora.

Śnieg walił prawie nieprzerwanie od tygodnia i większość dróg była nieprzejezdna, jednak ufny w potężną moc silnika mego wehikułu i możliwość przełączenia napędu na cztery koła nie obawiałem się zasp.

Z początku zamierzałem zaproponować mistrzowi, aby mi towarzyszył. Zrezygnowałem jednak, słusznie mniemając, że raczej będzie mi przeszkodą niż pomocą. Pojechałem więc sam piątego stycznia, zaraz po południu.

Nie minęło wiele kilometrów od Warszawy, gdy zdałem sobie sprawę, że moja wyprawa, niby śladami profesora Pronobisa, jest ucieczką przed myślami o nim i o jego śmierci. Bo cóż mogłem odkryć w Przeklętniku, gdy już teraz zapadał zmrok, a śnieżycą powróciła z jeszcze większą siłą?

„Ee, co tam, przenocuję najwyżej u któregoś z Urwisów w Sulejowie i może naprawdę dowiem się czegoś ciekawego!” – pomyślałem wjeżdżając do Piotrkowa Trybunalskiego. Przy skręceniu na Kielce wyskoczyło z bocznej uliczki jakieś ciemne, trudne do zidentyfikowania auto, peugeot czy volvo, i wymuszając pierwszeństwo pomknęło w poślizgu przede mną.

„Ciekawe, jak daleko się zapędzisz?” – zaśmiałem się, wspominając, ile mijałem takich eleganckich aut ugrzęzłych w zaspach, które mój wehikuł zaznaczył tylko niewielkim zmniejszeniem prędkości.

Zaczęły się lasy, a wraz z nimi większe zasy, ale tamtego samochodu nie było widać...

Zwolniłem nagle, bo w świetle reflektorów dostrzegłem okutaną w chustę kobietę,

rozpaczliwie wymachującą ręką.

– A nie podwiózłby mnie pan? Z Sadyby od siostry idę, a tu ani pekaesu, ani żadnego auta! – krzyknęła, gdy tylko uchyliłem okienka. Głos miała dźwięczny, młody.

– Dokąd panią podwieźć? – spytałem jak najuprzejmiej.

– Do Przekłętника. Będzie panu po drodze?

„Do Przekłętника?” – w mózgu odezwał się dzwonek alarmowy. – „Przecież nie było żadnej drogi w bok do jakiegó Sadyby! No cóż, spróbujemy się, droga pani!”

– Proszę, siadajcie, zacna kobieto! – nie mogłem powstrzymać się od lekkiej kpiny.

Wsiadła bez słowa.

Nie ujechaliśmy daleko, gdy wybrawszy jedną z większych zasp ukradkiem przełączyłem skryty, a będący jedną z miłych mi tajemnic wehikułu, przełącznik. Silnik zdał obroty, zawył jeszcze raz i drugi, i zamilkł.

– No to i koniec naszej jazdy, zacna niewiasto. Już jak wyjeżdżałem z domu, to nawalał, a teraz to koniec. Trzeba będzie czekać ranka, jak pojedą pługi. Może wtedy doholują pojazd do jakiegó warsztatu. A do Przekłętника to będzie jakieś osiem kilometrów przez las. Nie zabłądzicie chyba?

Rozejrzała się po lesie. Poza światłem reflektorów stał czarną nieruchomą ścianą, od której uderzały o szyby samochodu kłęby śniegu.

– Nie, nie pójdę sama! – kobieta pokręciła głową.

Udałem przerażenie:

– Jakże to tak? Ja was na swoje sumienie nie wezmę, jeśli tu zamarniecie! Własnym ciałem też was nie ogrzeję, a do rana tyle, tyle godzin, zacna niewiasto!

– A może tak przestanie pan z tą „zacną niewiastą”? Najspokojniejszą może to wyprowadzić z równowagi! – ostrym głosem odezwała się babina, odrzucając jednocześnie chustę z głowy,

Zapałem wewnętrzne światło...

Obok mnie siedziała Czarna Milady.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Tu, gdzieś niedaleko, jeśli się nie mylę, jest opuszczony od niedawna młyn. Ruina, ale ocalała w niej na dole izba z piecem. Można będzie, o ile ma pan w swym superaucie siekiere, porąbać podłogę i w cieple przebiedować do rana, dobry człowieku – tym razem ona pozwoliła sobie na kpinę.

„A jeśli to zasadzka?” – pomyślałem. – „A niech tam! Przecież załatwić mogli mnie i tutaj. Albo wtedy, gdy Czarna Milady mnie zatrzymała! Tylko skąd mogli wiedzieć, że dziś będę jechał do Przekłętника?! Nic, dalej udawajmy, że wóz wysiadł...”

Wyjąłem siekiere z bagażnika – czyżby i o niej Milady wiedziała? – latarkę oraz koce i ruszyłem za moją przewodniczką pod wiatr siekący drobnymi krupami śniegu.

Milady oczywiście kłamała, mówiąc, że tylko „sądzi” o istnieniu młyna. Nie było do

niego dalej niż kilkaset kroków. A na parterze łatwo znaleźliśmy wygodną izbę z piecem. Ba, zauważyłem, że ktoś niedawno palił w piecu podłogą, była ona bowiem w jednym miejscu wyrwana. Kto wie, czy nie tutaj nocowała banda tajemniczego „szefa”, a wraz z nią i Czarna Milady?

Młyn był rzeczywiście w złym stanie. Drugie piętro zapadło się na pierwsze. Ocalał parter i część pierwszego piętra, bo zbudowano je z cegieł. Z zewnątrz wyglądał jak wielka zgnieciona skrzynka albo jak jeź z wystającymi na wszystkie strony kolcami połamanych belek i krokwi. Ale na parterze kilka pomieszczeń przedstawiało się zupełnie znośnie. Sufity podierały jeszcze zdrowe bale drewniane, pod ścianami stały potłuczone skrzynie na mąkę, wszędzie leżała gruba warstwa zjedzonego przez pleśń czarnego prochu – resztki starej mąki. Izba, gdzie znajdował się piec, służyła kiedyś jako piekarnia i dlatego zbudowano tu piec. Trochę zburzony jak duży potwór, ział na izbę otwartą, czarną paszczką. W paszczęce rozpałem ognisko, okienko z wybitą szybą zastawiliśmy od wiatru pokrywą skrzyni, inną skrzynię przyciągnęliśmy pod piec. Kucnęliśmy na niej jak kury na grzędzie, owinęliśmy się w koce.

– Ciekawa jestem, jak panu na imię, kim pan jest, jaki pana zawód? – zaczęła rozmowę Czarna Milady.

Spodziewałem się takich pytań. Odparłem bez namysłu:

– Na imię mi Tomasz. Z zawodu inżynier rolnik (zawsze marzyłem, żeby być rolnikiem). Prywatnie jednak interesuje mnie czarnoksiężstwo, magnetyzm, gesneryzm...

Roześmiała się. Udałem obrażonego.

– No, jeśli śmiesz panią moje zainteresowania...

– Nie, nie. Ale chyba sam pan przyzna, że są trochę dziwne. Czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, co to jest gesneryzm?

– To taki prąd w literaturze. Od nazwiska Gesnera, niemieckiego sielankopisarza.

– Pan lubi sielanki?

– Pasjami. Marzę, aby napisać sielankę-powieść, w której wszystko byłoby inaczej niż w życiu. Każdy miałby prawo żyć jak chce, kochać co chce, a co chce nienawidzić. Jeden zbierałby zdjęcia podkasanych pańienek i nie musiałby się z tym ukrywać, inny nalepiałby na swoich książkach ekslibrisy i nikt by go za to nie zaszczuwał na śmierć. Byłby w tej powieści dziennikarz, którego by nie zmuszano do uprawiania polemik, ale pisałby o architekturze i o czarnoksiężnikach. Nie byłoby w tej książce zakazanych poetów, lecz każdy dobry poeta cieszyłby się szacunkiem.

– Tak. Inaczej niż w życiu – westchnęła Czarna Milady. – A w dziedzinie czarnoksiężstwa ma pan jakieś sukcesy?

Odpowiedziałem z pełną powagą:

– Owszem, nawet duże.

– To proszę zrobić swoje czary-mary i powiedzieć coś o mnie.

– Z prawdziwą przyjemnością. Umie to zrobić każdy początkujący czarnoksiężnik. A jeszcze w tak doskonałych warunkach...

Rzeczywiście, warunki do czarów były wspaniałe. Na dworze buszowała zawieja, za oknem zastawionym deskami gwizdał wiatr. Trzy czwarte izby pławiło się w mroku i tylko od ogniska w piecu rozchodził się krąg ciepła i światła. Trzaskały iskrami czerwona polana, skakały języki ognia. Dookoła młyna trwał las, wielki i pusty...

Ująłem w swe ręce dłoń Czarnej Milady, rozchyliłem jej palce, spojrzałem na wnętrze dłoni, poważny jak wróżbita. Mówiłem wolno, patrząc w ogień:

– Nie znam pani imienia. Ma pani dwadzieścia siedem lat, urodziła się w rodzinie, która kiedyś była bardzo bogata. Lecz nadszedł dzień, gdy całe bogactwo zostało jej odebrane... Nie wiem czy kochała pani swego męża, lecz wiem, że rozdzieliła was wielka tragedia, że go już nie ma między żywymi...

– Skąd pan to wie? – szepnęła niespokojna,

– Proszę nie przerywać... Interesowały panią zawsze rzeczy piękne i wzniosłe. Kocha pani i szanuje tylko piękno. Jest pani z gruntu uczciwa, ale to, co czyni, czym się zajmuje... nie jest uczciwe.

Chciała mi wyrwać swą dłoń. Przytrzymałem ją silniej. Mówiłem dalej:

– Kocha pani piękno, a przecież obcuje z ludźmi, którym daleko do piękna. Jest tych ludzi trzech, jeden z nich – najsprytniejszy, najgorszy, proszę strzec się go. To on chce panią mieć za żonę, ale pani odtrąca go ze wstrętem. Jest pani samotna. Nauczona gorzkim doświadczeniem pragnie pani związać się tylko z człowiekiem szlachetnym. Przeżyła pani wiele smutku – mówiłem już o tym – i to wywarło na pani piętno. Nie jest pani podlotkiem i wie dobrze, że życie jest trudne, pełne goryczy, szczególnie dla takich jak pani. Przestała pani wierzyć, że są ludzie dobrzy, szlachetni i dlatego zgodziła się zawrzeć sojusz ze złem. Lecz powiada Eurypides w słynnej tragedii Orestes:

Najgorsze plony daje ze złymi przymierze.

Nie warto go zawierać. Najczęściej utonie

Mąż zbożny, gdy na okręt siadł w bezbożnym gronie

Żeglarzy – zginie razem z tą przeklętą rzeszą.

Patrzyła na mnie spłoszona, a ja wczułem się w swoją rolę:

– Powiadam pani raz jeszcze: proszę strzec się trójki swych przyjaciół i tego spośród nich, który chce panią mieć za żonę. Proszę nie szukać skarbów, bo nie one dają szczęście...

Wyrwała mi rękę. Była jak rozszluszczona łasica. W oczach jej widziałem lęk, podejrziwość, nienawiść, niedowierzanie.

– Kim pan właściwie jest? – syknęła. – Policjantem? Szpiclem? Czarnoksiężnikiem?

Przesiadłem się na skraj skrzyni tak, żeby mieć twarz w ciemności. W karczmie w

Winodaju także siedziałem w półmroku. Nie, na pewno nie zapamiętała wtedy moich rysów.

Rozmyślała półgłosem:

– Od kilku tygodni prześladowuje mnie ktoś mi nie znany, ale chyba bardzo niebezpieczny.

Nic wiem, może to pan?

Nie zareagowałem ani słowem. Wstałem ze skrzyni i zabrałem się do rąbania podłogi. Chciałem przygotować zapas drewna na całą noc.

– Czy i pan także jedzie do Przekłętника? – zawołała przekrzykując uderzenia siekiery.

Przerwałem robotę.

– Także? To znaczy, że pani jedzie do Przekłętника. Bo ja... do Sulejowa.

Zacisnęła usta w nowym ataku złości. Kiedy jednak ułożyłem pod piecem kawałki desek i zasiadłem z powrotem przy ognisku, powiedziała spokojnie:

– Pan nie jest inżynierem. A w każdym razie nie rolnikiem. Wygląda pan raczej na... zakochanego w sztuce.

Zdębiałem. Co u licha? Może teraz ona zacznie mi wróżyć i bawić się ze mną w ciuciubabkę? Postanowiłem nie dopuścić do tego.

– To może jeszcze ja coś powiem o pani... Jest pani spod znaku Panny. To dość powszechny w pani rodzinie znak Zodiaku. Panną, spośród klejnotów, opiekuje się nefryt. I panią opiekował się do niedawna, może jako rodzinna pamiątka? Kiedy pani go utraciła...

Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wydobywszy broszę położyłem ją w milczeniu na deskach koślawego stołka.

Czarna Milady jakby chciała się rzucić po nią i jednocześnie przed nią cofnąć... Pozostała nieruchoma. Tylko blizna nad jej brwią pociemniała.

– A cóż to za błyskotka? – usłyszałem chrapliwy głos. – Czyżby miał pan zamiar mnie nią zahipnotyzować?

– Skądże znowu! – siliłem się na śmiech. – Tylko że tyle pisze się o wpływie różnych minerałów na różne osoby...

– Ma pan więc coś wspólnego z pisaniem, z literaturą?

– Powiedziałem: czarnoksiężstwo, magnetyzm, gesneryzm.

– Chyba się z panem nie dogadam!

– I ja tak sądzę – zareplikowałem, przypomniawszy sobie, że jest przecież członkiem niebezpiecznej bandy. Może to ona przyczyniła się do śmierci Herakliusza Pronobisa, mojego serdecznego przyjaciela! Żeby wykraść testament Baldaricha-Baldrzycha i zdobyć jego skarby? Jest więc zbrodniarką. A ja tu prowadzę z nią towarzyską rozmówkę, zamiast... Zamiast co? Co mam z nią zrobić? Uderzyć? Poddać torturom? Bzdura!

Czarna Milady wyczuła nagle zmianę mego nastroju. Przypisała ją jednak chyba swej natarczywej ciekawości i przestała się wypytywać. Przykucnęła koło ognia, zdjęła futro, chustkę i tylko narzuciła je na ramiona. Była w czarnych spodniach o obcisłych nogawkach. Doskonale zaznaczały się w nich jej długie nogi, które trzymała lekko rozchylone. „Kolana

ma jak jabłka Atalanty” – przypomniałem sobie zdanie współczesnego poety.

– Gdybym był reżyserem filmowym – odezwał się – zrobiłbym film, a pani grałaby w nim rolę kobiety złej, okrutnej, mściwej, dla zdobycia bogactwa popełniającej zabójstwo bezbronnego staruszka...

– Ani zła, ani mściwa, ani okrutna. Nie potrafiłabym nikogo zabić, choć czasem tak bardzo bym chciała – odpowiedziała.

Począłem dokładać do pieca, a kiedy potem spojrzałem na nią, Czarna Milady siedziała już nieco dalej, wsparta o ścianę. Owinięta w koc, futro i chustkę – drzemała. A może wpatrywała się spod w półprzymkniętych powiek w broszę?

Otuliłem się drugim kocem i, sam nie wiem kiedy, zasnąłem.

Obudziło mnie zimno. Poprzez deski na oknie spływał świt, z wygasłego pieca cuchnęło spalenizną. Czarnej Milady nie było. Tylko miejscu, gdzie siedziała, leżała karteczka:

Przepraszam, że odeszłam bez pożegnania, ale nie chciałam mącić snów człowieka sprawiedliwego. Szczerze radzę przestać bawić się w czarnoksiężstwo. To może Pana zbyt drogo kosztować.

W miękkiej szarzyźnie popieliska czerniła się nefrytowa brosza. Czyżby Czarna Milady na próżno usiłowała zniszczyć klejnot?

Podniosłem broszę i, nie wiem dlaczego, ucieszyło mnie, że jest taka ciepła.

Niech mi Urwisy wybaczą, ale tym razem nie odwiedziłem ich...

ROZDZIAŁ ÓSMY

A JEDNAK CÓRKA DRWAŁA • OBIETNICE NALEŻY SPEŁNIAĆ • URWISY W NIEBOROWIE • CIEŃ MNICHA • NIEBOROWSCY GOŚCIE • WYNOŚ SIĘ STĄD, JEŚLI CI ŻYCIE MIŁE

Nie wiedziałem, czy mam chlubić się, czy wstydzić, gdy rozpocząłem zdawać Natanielowi relację z mojej niedokończonej wyprawy do Przekłętника oraz ze spotkania z Czarną Miladą.

Mistrz, fukając ze złością, jednoznacznie opowiedział się za drugim rozwiązaniem. Nie mogłem jednak się powstrzymać, by nie wtrącić:

– Ale ty jeździsz do Przekłętника, prawda? Ba nawet nocujesz u drwała!

Popatrzył na mnie zdumiony.

– U drwała? Coś ty, Tomaszu, za kogo mnie bierzesz?

– Wuj Konstanty mi powiedział, kiedy telefonowałem do ciebie.

– Wuj Konstanty jest już na tyle wiekowy, Tomaszu, że zapomina nawet to, o co się go prosiło przed chwilą – zaprzeczył. – Więc skąd może pamiętać, gdzie przebywałem?

Kłamstwa Nataniela, jakimi mnie raczył, nie miały sensu, bo wiedziałem aż nadto, podobnie jak Nataniel, że wuj Konstanty, owszem, jest w sile wieku, ale z pamięcią taką, że i nas zapędziłby w kozi róg. Nataniel więc coś kręcił.

Przyparty przeze mnie do muru, przyznał, że owszem, bywa w tamtych stronach koło Piotrkowa, czasem nawet nocuje u drwała, ale to nie ma nic wspólnego z poszukiwaniem złoczyńców.

– Po prostu, Tomaszu, szukam na wsi natchnienia – oznajmił.

– A twoim natchnieniem jest córka drwała! – parsknąłem śmiechem, aż zauważyłem groźne błyski w oczach Nataniela. Znamionowało to ukryty gniew, więc dokończyłem pojednawczo: – Przepraszam, Natanielu, za moją niedyskrecję, ale gdy tylko sobie przypomnę mój niefortunny wyjazd do Przekłętника, stają się nieco złośliwy.

Nataniel dał się udobruchać.

Siedzieliśmy w fotelach w jego gabinecie na piętrze, gdzie na poczesnym miejscu wisiał portret opata Bernarda, a na stoliku dymiły filiżanki kawy, które niedawno przyniósł wuj Konstanty i z namaszczeniem postawił na blacie. Nataniel podał mi papierosa i zapaliliśmy na zgodę jakby „fajkę pokoju”.

– Byłem, Tomaszu, w Piotrkowie, aby zamówić u kamieniarza płytę nagrobną dla Herakliusza Pronobisa – zaczął Nataniel. – Przecież nie można zapominać o przyjaciółach nawet po śmierci!

– Masz rację – odparłem żywo. – Śmierć Herakliusza przygnębiła mnie tak samo jak ciebie! Nie możemy darować tym, którzy się do niej przyczynili!

– Tomaszu, nie gorączkuj się. Co nagle, to po diable – odparł mistrz swobodnie. – Bez dobrej metodyki myślenia wszystko przepadnie.

– Nie przepadnie. Wierzę, że dopadniemy zabójców Herakliusza!

– Ja też mam takie przekonanie. Na razie jednak proponuję, abyśmy gdzieś odpoczęli i nabrali sił. Co sądzisz o Nieborowie?

– Wspaniale! – ucieszyłem się. Mistrz pamiętał, że i Nieborów „cieszył się” zainteresowaniem szajki Czarnej Milady.

– Więc załatwione?!

Wówczas przypomniałem sobie o obietnicy, jaką daliśmy Trzem Urwisom, kiedy to przez kilka miesięcy opiekowali się Pronobisem, a następnie asystowali przy jego pogrzebie.

– Natanielu – powiedziałem uroczyście – należy spełnić naszą harcerską obietnicę.

– Harcerską obietnicę? – zdziwił się Nataniel. – Nie rozumiem.

– No, no – zakpiłem nieco. – Ktoś tu niedawno prawił o znakomitej kondycji pamięciowej, a tu jakby już skleroza się zaczynała...

Nataniel roześmiał się głośno.

– Ha, ha, ha. Masz rację, skleroza. Ale nie u mnie! Tomaszu, zabieramy Trzech Urwisów do Nieborowa, ale tylko na dwa dni, niestety. Wszak teraz chłopcy mają ferie zimowe, nieprawdaż?

– Oczywiście. Tylko trzeba ich uprzedzić.

Uzgodniliśmy zatem, że zadzwonię dziś do ojca Marka, a Nataniel pojedzie swym samochodem jutro po Trzech Urwisów do Sulejowa, przywiezie ich do Nieborowa i oprowadzi po pałacu, ja zaś dojadę do nich następnego dnia, gdy zbiorę potrzebne materiały.

Nieborów to wielka rezydencja magnacka, a właściwie zespół pałacowo-parkowy, który powstał w końcu XVII wieku z fundacji kardynała Michała Stefana Radziejowskiego, Ówczesnego prymasa Polski.

Radziejowski wznosił na zrębach znajdującego się w ruinie murowanego dworu poprzednich właścicieli, Nieborowskich, okazałą rezydencję. Autorem projektu budowli był słynny architekt Tylman van Gameren, Holender z pochodzenia, który w został nobilitowany

przez Sejm Rzeczypospolitej i od tej pory nosił nazwisko Gamerski.

W latach 1690-1696 wzniesiono barokowy, dwukondygnacyjny pałac z dwiema wieżami wysuniętymi przed lico budynku od strony dziedzińca. Od strony zaś ogrodowej przy wieżach zbudowano w narożach korpusu pałacu dwie wieżyczki mieszczące okrągłe klatki schodowe. Obie elewacje wzbogacono płytkimi ryzalitami, zwieńczonymi trójkątnymi przycółkami z płaskorzeźbami w tympanonach oraz balkonami, umieszczonymi na wysokości pierwszego piętra. Ówczesny rozkład wnętrza pałacu zachował się do dziś bez większych zmian. Trzeba jeszcze dodać, że od południa założono przy rezydencji francuski ogród regularny.

Nieborów od 1766 roku, jak i całe dobra nieborowskie, stał się własnością Michała Kazimierza Ogińskiego, wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego. Ogiński był poetą, a także znawcą i mecenasem sztuki i muzyki. Jako nowy właściciel Ogiński podjął prace zmierzające do nadania pałacowi charakteru rokokowego. Wprowadził zmiany w elewacji i w płaskorzeźbach tympanonów oraz przekształcił część wnętrza. Do dzisiaj ówczesny charakter zachowały Salon Czerwony i Sypialnia. Ogińskiemu zawdzięcza też pałac nieborowski słynną z dekoracji reprezentacyjną klatkę schodową, ułożoną z kafelków holenderskich, którymi wyłożono nie tylko ściany, lecz i sufit pomieszczenia.

Niestety, Ogiński, biorący udział w walkach z armią Suworowa po I rozbiórce Polski, znalazł się w trudnej sytuacji finansowej i w 1774 roku sprzedał majątność księciu Michałowi Hieronimowi Radziwiłłowi, późniejszemu wojewodzie wileńskiemu. Radziwiłł zlecił architektowi Szymonowi Bogumiłowi Zugowi opracowanie projektu obejmującego zarówno przebudowę pałacu, jak też przekształcenie wnętrza. Wprawdzie do przebudowy pałacu nie doszło, jednak część wnętrza przerobiono, w tym między innymi Gabinet Żółty. Zmieniono dekoracje we wnętrzach na wczesnoklasycystyczne, sprowadzono meble z Francji i Anglii oraz powiększono od strony zachodniej ogród, tworząc coś w rodzaju parku krajobrazowego.

Obecnie pierwsze piętro pałacu nieborowskiego przeznaczono na muzeum. Parter zaś i drugie piętro udzieliły gościny wybranym osobom: intelektualistom, pisarzom, artystom czy naukowcom, którzy tu przyjeżdżali, aby pracować w zupełnym spokoju.

Pałac oddzielał od bolimowskiej szosy rozległy dziedzińiec honorowy z dwoma lwami. W elewacji frontowej dało się od razu zauważyć ryzality środkowe, ozdobione boniowaniem na parterze; całość zwieńczały tympanony z herbami dawnych właścicieli: Ogińskich – „Oginiec” i Czartoryskich – „Pogoń”. Od strony zaś ogrodowej i podjazdu architekt umieścił tympanon z herbem ostatnich właścicieli, Radziwiłłów – „Trąby”.

Było już popołudnie, gdy przybyłem do Nieborowa i przywitałem się z kustoszem.

– Czy przybył mistrz Nataniel z Trzema Urwisami? – zapytałem.

– Z Trzema Urwisami? – zdziwił się kustosz.

Zarumieniłem się, że popełniłem gafę, no bo i skąd kustosz miał wiedzieć, kim są Urwisy?

– To są nasi młodzi przyjaciele z Sulejowa, panie kustoszu.

– A, tak! Oczywiście, panie Tomaszu. Mistrz Nataniel oprowadza ich właśnie po części muzealnej, gdzie tylko może. Ale chyba teraz są u niego w pokoju. O, tam, pod dziesiątką.

– Dziękuję! Przepraszam za kłopot.

– Żaden kłopot – odpowiedział szczerze Kustosz. – Z mistrzem Natanielem znamy się doskonale od wielu lat. A co do tych, no, Trzech Urwisów, to wspaniali chłopcy i chyba są zadowoleni z wycieczki. Mistrz Nataniel umie opowiadać i byłby znakomitym przewodnikiem!

– O tak. Nataniel posiada wiele zdolności – zgodziłem się z kustoszem i ruszyłem, aby przywitać nie z Natanielem i Trzema Urwisami.

Kiedy otwierałem drzwi usłyszałem jak Nataniel deklamuje poemat Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Niobe*, której rzeźba stoi w sieni zajmującej centralne miejsce w korpusie pałacu. Sień pokrywa neorenesansowa boazeria dębowa z 1886 roku, a zdobią ją fragmenty rzeźbiarskie oraz kominek o dwóch kolumnkach z figurami Adama i Ewy. Stoi tu również zegar szafkowy, zbudowany przez londyńską firmę Hector Simpson w pierwszej połowie XVI wieku. A na stole przepiękna rzeźba Niobe, według mitologii greckiej matki siedmiu córek i tyluż synów, która skamieniała z rozpacz po ich stracie. Nataniel recytował:

*„...Tyś jest wiatr i symetria, złoty deszcz i harmonia
Europę jak skrzypce trzymasz w swych niezmordowanych dłoniach
Niobe, córko Tantala,
Niobe, żono Amfiona...
Niobe! Niobe! Latarko przez pagórki ciemne!
Niobe! Donie! I Wisło, i Morze Śródziemne...”*

Radość z naszego spotkania była wielka. Trzy Urwisy były zachwycone wycieczką i mistrzem Natanielem, a ich zaróżowione z wrażenia twarze aż promieniały radością i emocjami. Dziwiło mnie tylko, że ubrani są jak na górską wędrowkę, a nie na zwiedzanie muzeum. Wreszcie, kiedy wszyscy trochę ochłonęliśmy, Nataniel obwieścił:

– Koledzy, czas na nas.

I szepnął do mnie:

– Po co im tyle bagaży?

– Oooo, nie... jeszcze nie, proszę pana – zaprzeczali jeden przez drugiego żalonymi głosami.

– Czas. Obiecałem, że odwiozę was do Łowicza, do ciotki Marka, przed nocą. Więc – jedziemy! Naprawdę.

– Tomaszu, rozgość się w swym pokoju, a ja ich odwiozę. To tylko dziesięć kilometrów. Przybędę na kolację.

Kiedy się żegnaliśmy, chudy jak szczapa Jarek szepnął mi do ucha:

- Wydawało mi się, że widziałem tutaj mnicha
- Jakiego mnicha?
- Tego, który chodził po Sulejowie w poszukiwaniu pamiątek po zakonie cystersów.
- Nie, Jarku, to niemożliwe. Tutaj przecież nie ma mnichów, naprawdę!

Wzruszył ramionami.

- A w Sulejowie są? Zresztą mogło mi się wydawać. Jak to w nocy.

- W nocy? A która była godzina?...

- Zegar wydzwonił dwunastą...

- Hej, co za szeptanie po kątach! – zwrócił się do nas Nataniel, już ubrany.

– Nic takiego, nic takiego – odparłem żywo, aby zatuszować tę dziwną wiadomość, jaką usłyszałem od jednego z Trzech Urwisów. – Wszystko w porządku. No, chłopcy, wszystkiego dobrego i do zobaczenia.

Podaliśmy sobie ręce.

- Jakby co, to jesteście blisko – szepnął na do widzenia Jarek.

Wyszliśmy gromadnie z pokoju Nataniela, chociaż Urwisy z ogromną niechęcią, co dało się zauważyć po ich nieszczęśliwych minach...

W przydzielonym mi pokoju rozpakowałem walizkę, rozstawiłem przywiezione książki i szparęły na szerokim, rozkładanym stole, a potem poszedłem do łazienki odświeżyć się po podróży. Ale przez cały czas kołatały mi w głowie słowa Jarka, że widział mnicha w pałacu.

– To niemożliwe – burknąłem głośno do siebie, gdy nagle uderzył gong wzywający na kolację.

W palarni zastałam Nataniela spacerującego drobnymi krokami i zerkającego po zawieszonych na ścianach obrazach. Skórzane fotele wokół okrągłego stolika zajmowały dwie panie: jedna bardzo młoda, druga podstarzała, w wielkich rogowych okularach. Mistrz zachowywał się ze sztuczną galanterią, co u niego było zawsze oznaką złośliwego zadowolenia.

Kiedy mnie zobaczył na schodach, rzekł:

– Kochane panie – uczynił ukłon w ich kierunku pozwólcie, że przedstawię wam mojego przyjaciela, Tomasza, człowieka, przed którym historia i sztuka nie mają tajemnic!

– Tomaszu – wyrzekł – oto jest Pani z Wydawnictwa. – Tu wymienił nazwisko dość znanego działacza politycznego, który dochrapawszy się swego stanowiska porzucił żonę, umieściwszy ją uprzednio dla osłody na stanowisku kierownika działu literatury współczesnej w pewnej oficynie wydawniczej.

– Tomaszu, oto jest Pani z Wydawnictwa.

– Och, mistrzu!... – jęknęła Pani z Wydawnictwa, patrząc mu w oczy z uwielbieniem.

Było to brzydkie i dziwne kostropate stworzenie, niechlujnie uczesane, z pociągłą twarzą o garbatym nosie, które w recenzjach wewnętrznych podpisywało się: Joanna Dark.

Na Nataniela nie sposób się było obrazić. On obrażał z uśmiechem na twarzy. Oto ujął Panienkę za rękę, podniósł tę rękę wysoko aż do swych ust. Wtedy jakby się chwilę zastanawiał: „A może odrzucić precz to wstrętne łapsko...?” Nie, pochylił głowę, pocałował dłoń i puścił bezwładną.

– A teraz, Tomaszu, przedstawię ci coś naprawdę godnego uwagi. Tam wysoko, na balustradzie schodów, stoi późnogotycka polska rzeźba polichromowana, święty Jan Chrzciciel z barankiem. To zaś, co widzisz niżej u wejścia na schody, jest osiemnastowieczną figurą biskuitową. Oto „Portret chłopca z psami” – nie pamiętam nazwiska malarza – na tle widoku fryzyjskiego miasta Lazenwarden. Oto „Przeprawa przez rzekę” pędzla Jana Brueghla, zwanego. Aksamitnym. Ta „Gra w karty” jest niestety tylko osiemnastowieczną kopią obrazu Lucasa van Leydena z 1519 roku. Oryginał znajduje się w Anglii; widziałem go w Wiltoonhouse, w zbiorach hrabiego Pembroke’a.

W miarę jak mistrz opowiadał o obrazach, do palarni wchodzili coraz to nowi mieszkańcy Nieborowa. Przedstawiono mnie im i wzajemnie; wymienialiśmy przy tym drobne uprzejmości.

W ten sposób poznałem pana Eligiusza Krupę, mężczyznę w średnim wieku o bardzo nieciekawej twarzy – redaktora teoretycznego miesięcznika „Horyzonty Filozofii”, nieogolonego, z włosami odrastającymi od głowy jak świńska szczecina; malarzu Stefana Borówko; milkliwego prozaika Zenona Niemka i jego żonę, gadatliwą panią Eleonorę z Kraszewskich, bo tak mi się przedstawiła, aktorkę dramatyczną Katarzynę Rokoko – przystojna, w średnim wieku niewiastę; krytyka Jana Grzegorzycy z wielką szopą włosów i fajeczką w zębach; tłumacza „podziemnych” rosyjskich powieści – młodzieńca znanego w środowisku literackim jako Kostia.

Gdy zasiedliśmy w jadalni do rozsuwanego owalnego stołu, wszedł spóźniony profesor Jerzy Zann, matematyk, wraz z córką o dziwnym imieniu Stokrotka. Przed kolacją odbyli spacer po parku – obydwójce mieli policzki zaróżowione od mrozu.

– Tra-ta-ta, tra-ta-ta, proszę państwa, w nocy spadnie śnieg – oznajmił radośnie profesor.

Wszyscy uśmiechnęli się półgębkiem. Stokrotka, która zajęła krzesło u mego prawego boku – Nataniel siedział po jej lewej ręce – szepnęła mu do ucha:

– Ojciec od tygodnia przepowiada opady śniegu. Jeszcze ani razu się nie sprawdziło. Dlatego się śmieją.

Miała duże poczucie humoru. Poza tym okrągłą buźkę z dwoma miłymi dołeczkami. Nieduża, o obłych kształtach, młodziutka, z bystrymi oczami, z głową w jasnych kędziorach, była przykładem typu kobiety-bułeczki.

Ojciec Stokrotki był naprawdę wielkim uczonym. Poza tym miał kwadratową szczękę, którą ciągle poruszał.

Po lewej ręce Nataniela zajął miejsce poważny prozaik: żółta pergaminowa twarz, białka oczu zmażone rozlanym żółtkiem. Mówił do Nataniela głosem smutnym i cichym,

dobywającym się jakby z gardła wyłożonego wełną, którą zjadły mole:

– Tak się cieszę, Natanielu, z twojego przyjazdu. Tak się cieszę. Mało ostatnio spotykałem mądrych ludzi, coraz mniej. Tak mało dobrej prozy, tak mało dobrej poezji. Co robić? Co robić?

I tak długo bezradnie rozkładał ręce nad talerzem, aż żona jego, Eleonora z Kraszewskich, poczęła go pouczać:

– Ty się lepiej nikogo nie radź, nie słuchaj. A najbardziej nie słuchaj pana Nataniela, który ostatnio nic nie pisze, bo sobie szydzi z całego świata. I z ciebie także.

Niemek zgodnie pokiwał głową. Na moment zajrzał do jadalni kustosz:

– Kolację podano dzisiaj wcześniej, bo służba idzie na nocną zabawę. Ja także za chwilę wyjeżdżam na zebranie do Łowicza. Powrócę jutro rankiem, wcześniej nie ma bowiem autobusu. Państwo zostaną sami na gospodarstwie. Proszę zbytnio nie dokazywać. Tak, tak, do panów mówię, panie profesorze i panie Grzegorzcyk...

– Ojciec nieraz całe noce rżnie w karty i innych do kart zmusza – zwierzała mi się Stokrotka. – A pan Grzegorzcyk chyba pije sam jeden wódkę w swym pokoju i potem wymyśla na siebie jak szewc.

Przy stole było trochę ciasno, co chwila moje ramię stykało się z ramieniem Stokrotki. Raz trwało to nawet dłuższy czas. Wówczas to Stokrotka zajrzała mi głęboko w oczy.

– A pan... co tu będzie robił?

– Będę pisał *Dzieje opatów sulejowskich*.

– Och – westchnął trwoźnie. – Pan pewnie jest katolickim pisarzem? Znałam jednego. Taki był ładny, młodziutki...

– Zapewniam panią, że mam światopogląd raczej materialistyczny.

– To dobrze. Oj, jak to dobrze...

Po kolacji poszedłem wprost do swego pokoju. Otworzyłem drzwi, sięgnąłem do wyłącznika i gdy tylko rozbłysło światło, znieruchomiałem...

Na brulionie o dziejach opatów sulejowskich, zwróconych grotem w stronę chcącego pracować za stołem, leżał bełt od kuszy.

Nie musiałem podchodzić bliżej, by dostrzec, że na jednym z jego purpurowych piór są trzy nacięcia. Już tylko trzy.

Mówiły wyraźnie: „Wynoś się stąd, jeśli ci życie miłe”.

Tak, było mi miłe, ale nie miałem zamiaru wynosić się z Nieborowa. Zwłaszcza po tym, jak dowiedziałem się od Jarka, że i duchy cystersów z Sulejowa zamieszkały pod dachem nieborowskiego pałacu.

Jednak długo nie mogłem zasnąć. A gdy już wreszcie zasypiałem, usłyszałem silne stukanie za ścianą, jakiś rumor. Potem skrzypnęły drzwi. „Ach, to pewnie profesor wraca z kart” – pomyślałem, wiedząc, że nasze pokoje sąsiadują ze sobą. Ponieważ rumor już się nie powtórzył, sprawdziłem tylko na wszelki wypadek, czy drzwi są zamknięte na klucz i czy

tkwi on w zamku. Wróciłem do łóżka i wreszcie zasnąłem.

Przez sen słyszałem, a może mi się tylko wydawało, jakiś krzyk w zaroślach niedaleko pałacu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ZUCHWAŁA KRADZIEŻ • W RĘKACH NADKOMISARZA PARZYDEŁKO • WSZYSCY SĄ PODEJRZANI • KTO MA NIEKOMPLETNY ZEGAREK • LOWY W NIEBOROWSKIM PARKU • SZCZUDŁA I PROCE • W CO WIERZĄ DOROŚLI

Ledwie świtało, gdy uderzył na alarm nieborowski gong podrywając mnie półprzytomnego ze snu. Przyzwyczajony do wzywania na spokojne a suto posiłki bił nieregularnie, raz z rozpaczliwą mocą, to znów ledwo dźwięczał ze strachu.

„Kie lichy?” – pomyślałem. – „Przecież śniadanie do łóżek» podaje się dopiero o ósmej?!”

Wybiegłem z pokoju. Na dół! Gong wzywał do palarni.

Było już tam prawie całe nieborowskie towarzystwo: Pani z Wydawnictwa w okropnie kwiecistym szlafroku; Eleonora z Kraszewskich miała na głowie dziwny turban, spod którego złośliwie wyglądał papilot skrecony z gazety; aktorka Katarzyna Rokoko paliła papierosa i bardzo kasłała – pod jej oczami zaznaczały się cienie, wyglądała o wiele starszej niż wczoraj podczas kolacji, ale nosiła wspaniały szlafrok z japońskiego jedwabiu w zielone smoki. Panowie przedstawiali się jak popadło – ten, podobnie jak i ja, w pidżamie, ów w bonzurce. Malarz Borówko nie licząc się z nikim przyszedł w naddartej pidżamie podobnej do więziennego pasiaka. Brakowało tylko Nataniela, Zanna i Stokrotki.

Zjawili się zresztą zaraz, a Nataniel żartobliwie mrugnął do kustosa i powiedział głośno:

– Pracowałem. Dziś w nocy pracowałem. Poezjo, jesteś tyranem!

Kustosz trzymał w ręku miedziany gong i młoteczek. To on podniósł alarm.

– Proszę państwa – oświadczył – dzisiejszej nocy zdarzyła się w naszym pałacu bardzo nieprzyjemna historia. Włamano się do pokoi muzealnych i z tak zwanego Żółtego Gabinetu wykradzono obraz pochodzący z pracowni Rubensa oraz „Głowę starca” Nazzariego, którą zapewne włamywacze pomylili ze znajdującą się w tym samym pokoju „Głową starca”, ale bezcenną wprost, wykonaną przez Jusepe Ribere.

– Boże! Złodzieje byli w pałacu! I może przechodzili obok mego pokoju? – histerycznie krzyknęła Joanna Dark.

Pani z Wydawnictwa mruknęła basem.

– Nie wrzeszcz, duszko. Już ich pewnie złapali.

– Poza tym włamano się do oszklonej szafki w jadalni – kontynuował kustosz – i wykradzono część sławnej zastawy nieborowskiej.

– Niewiarygodne! Wprost niewiarygodne! – zakrzyknął redaktor „Horyzontów Filozofii”. Szybkim krokiem przemierzył palarnię i odemknął szeroko drzwi do jadalni.

– No tak... – stwierdził ponuro.

Naprzeciw drzwi z palarni, we wmontowanej w ścianę szafie szkło było rozbite, a dolne półki opróżnione. Kustosz wyliczał spokojnie, nie tracąc okazji, żeby popisać się swym znanstwem:

– Ukradzono czarkę ze szkła rubinowego w oprawce srebrnej, pozłacanej, roboty augsburskiej; zastawę do octu i oliwy gdańskiego złotnika Schlaubitza. Brakuje również srebrnej klasycystycznej solniczki z orłem i czarki złożonej oraz dzbanuszek klasycystycznego z warszawskiego warsztatu Lilpopa...

Nataniel nagle się zaniepokoił:

– A nie zrabowano portretu Anny Orzelskiej?

– Nie, na szczęście...

– Baławany! Matoly! Nie wiedzą, co piękne! – złościł się prawie na serio.

Kustosz był jednak bardzo poważny.

– Proszę państwa, sprawa jest tym smutniejsza, że po pierwsze: sprawcy nie schwytano, po drugie niestety, rabunku dokonał ktoś z nas.

Nastąpiła ogólna konsternacja. Żółta twarz poważnego prozaika Niemka przybrała odcień różowy, jakby mu ktoś nakład po gębie. Redaktor „Horyzontów Filozofii” wsadził ręce w kieszenie i bezceremonialnie zagwizdał. Pani z Wydawnictwa zbladła woskowo, Nataniel podrapał się w głowę. Profesor kilkakrotnie poruszył się kwadratową szczęką, a Stokrotka miała po prostu głupią minę.

– Proszę państwa, wczoraj późnym wieczorem spadł śnieg... – zaczął kustosz.

– Tra-ta-ta, a nie mówiłem? – zatriumfował profesor.

– ...i wszystko dookoła zasypał. Służba opuściła pałac bardzo wcześnie, z zabawy wróciła do swych pomieszczeń w oficynach i jeszcze do tej pory nikt ze służby nie został dopuszczony do pałacu. Tak więc, służba jest poza wszelkim podejrzeniem. Śnieg padał od dwudziestej pierwszej około godziny. Proszę państwa, w ciągu nocy nikt do pałacu nie wszedł, nikt z pałacu nie wyszedł, a w każdym razie na śniegu nie ma śladów! Rabunku chyba nie dokonano przed spadnięciem śniegu, bo przecież w tym czasie państwo kręcili się po pałacu.

– Z panem redaktorem siedzieliśmy w palarni do jedenastej. Drzwi do jadalni były

otwarte, mieliśmy szafkę z zastawą na widoku – stwierdził Nataniel.

Redaktor poświadczył

– Do jedenastej nikt się nie mógł włamać do szafy w jadalni!

– A my z Joanną prawie do jedenastej czytałyśmy w bibliotece, niedaleko Żółtego Gabinetu – rzekła Pani z Wydawnictwa. – Przecież usłyszałybyśmy jakieś szmery i hałasy? Było cicho jak w grobowcu, prawda, Joanno? Nawet zwróciłaś na to uwagę...

– Ihy! – kiwnęła głową Panienska, dumna, że na niej spoczęły oczy zebranych.

– W nocy nikt do pałacu nie wszedł, nikt z pałacu nie wyszedł – powtórzył kustosz. – Jedyne ślady na śniegu, to moje, gdy tu przyszedłem od autobusu, a potem stwierdziwszy rabunek, obszedłem pałac dookoła. Oczywiście, ja także należę do podejrzanych, ba, mnie najłatwiej byłoby obrabować pałac. Rzecz jednak w tym, że ja tu przyszedłem, mój ślad widać także dookoła pałacu, ale nie wyszedłem dalej niż pięć kroków od murów! Oczywiście znam tu różne zakamarki, mogłem zrabowane rzeczy ukryć. Zapewniam państwa jednak, że gdyby pewnego dnia naprawdę przyszła mi taka myśl do głowy, ukradłbym stąd przedmioty o wiele cenniejsze niż zrabowane. Włamywacze nie okazali się dobrymi znawcami sztuki! Prawda, Natanielu?

– O ile ciebie znam, zrabowałbyś Ribereę. A ja? A ja... – zastanawiał się mistrz – połakomiłbym się chyba na „Głowę Chrystusa w cierniowej koronie” z Białego Salonu. To bądź co bądź Albrecht Durer, szanowny kustoszu!

– Tak więc podsumowuje proszę państwa – mówił kustosz – śnieg sypał do dwudziestej drugiej, rabunku jednak dokonano o wiele później. Oprócz moich, żadnych innych śladów na śniegu nie ma. Włamywacz jest nadal w pałacu i zapewne są tu także ukradzione przedmioty.

– Może w którejś ubikacji? – jęknęła Eleonora z Kraszewskich. Kustosz jednak zlekceważył jej uwagę:

– Sprawa jest poważna. Ja odpowiadam przed władzami za całość zbiorów nieborowskich. Jeśli nie odnajdą się zrabowane dzieła sztuki, prawdopodobnie stracę posadę. A z tych ukradzonych przedmiotów raczej długo nie wyżyję, nie są najcenniejsze... – zażartował. I dodał znowu poważnie: – Proszę państwa, w sieni czekają oficerowie policji. Państwo będą łaskawi pozostać w palarni aż do odwołania. Za chwilę nastąpi rewizja całego pałacu i... śledztwo.

Krytyk Grzegorzycy odciągnął kustosza na bok:

– Przepraszam, a czy można by kogoś posłać po wódkę?...

– Najlepsza partia, to partia pokera. Może zagramy, hę – zapytał głośno redaktor „Horyzontów Filozofii”. Ale nie było chętnych.

Śniadanie podano bardzo spóźnione, bo policja nie chciała dopuścić pracowników do pałacowej kuchni zanim nie ukończono rewizji. Ta ciągnęła się długo. Podobno szczegółowo przejrzano każdy kąt: strychy, piwnice, wszystkie zakamarki, które wskazał policji kustosz.

Dokładnie zrewidowano nasze pokoje, walizki, podobno nawet przetrząsano materace w łóżkach i kieszenie ubrań rozwieszonych w szafach. Skandal! Skandal podwójny, bo nic nie znaleziono!

Zaczęły się przesłuchania, które odbywały się w kancelarii na parterze, tuż przy sieni.

Ledwo zdążyłem skoczyć do siebie na górę, po beztrąsko pozostawioną na stole przez rewidujących strzałę, gdy wezwano mnie przed oblicze nadkomisarza Parzydełko, kierującego śledztwem

Wszedłem do kancelarii i już było dla mnie jasne, że mam do czynienia z człowiekiem, który „wie wszystko”. A ponieważ „wiedział” – co w zasadzie powinno mnie ucieszyć – że jestem niewinny, nie byłem godny jego zainteresowania.

Pomimo to jak mogłem najszybciej opowiedziałem mu historię dzisiejszej nocy: o krzykach w parku i podłożonym „ostrzegawczym” bełcie, który nie omieszkałem położyć na stole.

Wziął go ze znużoną miną w dwa palce i zaraz odłożył. Ziewnął:

– Ktoś z pana żarty sobie stroi... Strzelali tym?

– Nie. Podłożyli.

– Od podłożenia nikt jeszcze nie umarł...

Poczułem, że ogarnia mnie złość:

– To zależy czego i gdzie. Na przykład kamień na szosie może spowodować śmierć nawet paru osób.

Machnął lekceważąco ręką:

– W jakim to wieku...

Wtrąciłem złośliwie:

– Jeśli o mnie chodzi, to w średnim.

– ...w jakim to wieku – powtórzył niewzruszenie – żyjemy? W wieku atomu! A pan mi tu jakieś koreańsko-chińskie historie z domieszką Wilhelma Tella opowiada!

– W innych krajach podobne historie są dziwnie aktualne!

– Owszem. W innych. Tu zacząłby się na pana z kałasznikowem... Bełt! Czyli, jak młodzi mówią, tanie wino?

– Nie pijam.

– To świetnie! Bo już... No nic, dziękuję panu. Dziękuję!

Wszedłem z kancelarii (co widzieli wszyscy) i z siebie (o czym poinformowałem tylko Nataniela). Ten uśmiechnął się smutno:

– Mój drogi, to nie stanowisko czyni człowieka, a odwrotnie. Zresztą na twoim miejscu bardziej przejmowałbym się tym, że na piórze bełtu są już tylko trzy nacięcia... Może więc opuścisz nas i Nieborów?

Ani mi się śniło!

Obiad upłynął w przykrym nastroju. Przeżuwaliliśmy jedzenie w ponurym milczeniu –

jeden drugiego taksował wzrokiem:... „Tyś, bratku, złodziejem czy nie ty; a może tamten?”

Poważny prozaik nie wytrzymał nerwowo ciężkiego milczenia. Przestał jeść i wymachując łyżką począł perorować:

– Co się dziwić kradzieżom w nieborowskim pałacu? A na czym stoi nasza współczesna literatura? Na kradzieży. Młodzi poeci albo okradają Pounda albo Eliota. Podobnie w prozie. Złodziejstwo! Jedno wielkie złodziejstwo!

Zakończył dysputę krytyk Grzegorzcyk:

– Najstraszniejsze, proszę państwa, jest to, że absolutnie żadnemu z nas nie wolno się z pałacu oddalać.

– Co??? – wrzasnął malarz Borówko. – Nie wolno? A ja się będę oddalał!

Słuchaliśmy jego wrzasków z pobłażaniem.

– Malarz, gdzie się oddalasz? – zrymował Nataniel.

Spotkałem po południu profesora Zanna. Właśnie wracał z przesłuchania w kancelarii.

Zatrzymał mnie i powiedział:

– Tra-ta-ta, rzuciłem podejrzenie na tego malarza Mrówkę, czy jak on się tam nazywa.

– Borówko, panie profesorze.

– No właśnie. No ten Mrówka chce się gdzieś oddalać. Po co? Zapewne, aby wynieść i sprzedać skradzione dzieła.

Straciłem dla profesora szacunek.

Ale właściwie, gdzie się chce oddalić malarz Borówko?

Nagle poczułem potrzebę samotności. Skręciłem do Żółtego Gabinetu. Ale i tam ktoś był. Na szczęście w półmroku rozpoznałem mistrza Nataniela. Bez słowa wskazał mi kanapę obok siebie.

Siedzieliśmy tak w milczeniu, aż nagle poczułem jakby wołanie, wezwanie dobiegające od obrazu Ribery. Wstałem z kanapy i podszedłem do tego niewielkiego rozmiarami portretu...

Piękna, mądra, poorana bruzdami twarz, okolona siwą, miękką brodą. W oczach starca jakby przeogromne zmęczenie długim życiem, a równocześnie pełnia wiedzy, jaką mu ono przyniosło. Ale przy tym wszystkim oko starca jest żywe, połyskujące bystrością. Łysawa czaszka, resztki siwych kosmyków nachodzą na uszy. Światło pada tylko na prawą stronę głowy, drugi policzek kryje się w półmroku, którego cienie podkreślają bruzdy i zmarszczki, wyraźnie zaznaczając nos.

– Boże, jaki on podobny do Pronobisa – wyszeptałem.

Na wspomnienie Herakliusza zrobiło się mi smutno i przykro. Od tragicznej śmierci staruszka upłynęło już wiele tygodni...

– Popatrzmy jeszcze na portret Anny Orzelskiej – odwróciłem się do Nataniela.

Mistrz przecząco pokręcił głową:

– Nie, Tomaszu. Innym razem. Nie kalajmy jej piękna brudem, w którym dzisiaj przyszło nam zanurzyć dłonie, a może i serca... Wiesz przecież, kim śliczna Anna jest dla mnie...

Wtem Nataniel uczynił kilka kroków w kierunku biurka „bonheur-du-jour”, przyklęknął i wyciągnął coś spod niego.

– Popatrz, popatrz, Tomaszu. Szkiełko od zegarka. Leżało pod biurkiem, a nad biurkiem... puste ramy po Rubensie. Czy nic ci to nie mówi? Ktoś, kto wyrwał płótno z ram, być może zaczepił zegarkiem o brzeg ramy i wypadło mu szkiełko...

Podczas kolacji pilnie obserwowaliśmy z Natanielem ręce wszystkich nieborowskich gości. Bez sensu! Przecież trudno, żeby ktoś nosił zegarek, w którym brak szkiełka!

Po kolacji zabrałem ze swojego pokoju Przyczynek do działalności opata Piotra – który przywoziłem do Nieborowa – i zeszedłem czytać na pierwsze piętro do pałacowej biblioteki.

Jest to ogromna, podłużna sala, znajdująca się na osi pałacu ponad sienią przejazdową. Węższe ściany mają po trzy wysokie okna – jedna trójka wychodzi na dziedziniec, druga na ogród. Pod dłuższymi ścianami stoi trzynaście oszklonych szaf angielskich z mahoniem w stylu Jacob, obitych listewkami mosiężnymi, a w szafach mieści się dziesięć tysięcy woluminów, w tym wiele rzadkich druków, tak zwanych cymeliów. Między szafami przy jednej ze ścian stoi kominek dostarczony Radziwiłłom przez samego Brennę około 1820 roku, a na wprost kominka, na środku sali, rozłożyła się wielka angielska kanapa mahoniowa – także Jacob – wyłożona poduszkami krytymi czerwonym safianem. Obok niej dwa stoliczki polskiej roboty o płytach z szarego marmuru, a przed kominkiem kobierzec ze wschodnioperskiej prowincji Korasan.

Pod oknami od strony ogrodu tkwią dwa globusy chyba półtorametrowej wysokości, ustawione na drewnianych postumentach. Na jednym z nich wymalowano mapę nieba, na drugim kulę ziemską. Obydwa globusy wykonał Vincenzo Coronelli, urodzony w 1650 roku w Wenecji, słynny geograf i założyciel pierwszego w świecie towarzystwa geograficznego pod nazwą „Akademia Argonautów”. Coronelli był twórcą pierwszych włoskich globusów zaś przez niego wykonane zdobyły ongiś Wersal. Do Nieborowa trafiły dzięki Ludwikowi XVIII, który, zaciągnąwszy poważny dług u Michała Hieronima Radziwiłła, spłacał mu go cennymi zabytkami.

Nagle zgasły w bibliotece dwa wielkie żyrandole i tylko przygasający w kominku ogień rozjaśniał czerwono skrawek perskiego dywanu. Wciśnięty w rozległą kanapę, pół leżąc starałem się przywołać czas, gdy po tej długiej sali spacerowała żona księcia Hieronima, księżna Helena, zakochana we wszystkim, co obce, antyczne, romantyczne. Wyobrażałem sobie, jak rozmarzona, drobnymi kroczkami stąpając po bibliotece, wzdychała (zapewne po włosku): „O miłsza nad inne arkadyjska ziemio, tyś mi najdroższą między krainami...”

Znów rozjarzyły się żyrandole.

Mimo tej zachęty do pracy postanowiłem wrócić do swego pokoju. Przelotnie tylko

pomyślałem, gdzie też mógł podziąć się Nataniel. Czyżby tworzył w odosobnieniu czy też...

„Ech, Tomaszu! Niedługo zaczniesz podejrzewać sam siebie!”

Ale pracować jakoś dziwnie mi się nie chciało, dlatego najpierw starannie przyjrzałem się wiszącemu nad łóżkiem rysunkowi Mai Berezowskiej, wykonanemu barwną kredką: „Biblioteka w Nieborowie w 1949 roku.”

Przedstawiał on właściwie tylko część biblioteki. Na pierwszym planie widać było globus z mapą nieba, a w dalszej perspektywie szafy z książkami, kanapę angielską, obrazy i trzy okna, a pod nim stół i fotele.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że coś nurtuje mnie w tym niewinnym na pozór obrazku, ale co?...

„Ii tam!” – pomyślałem. – „Wydaje mi się.”

Zabrałem się ostro do roboty.

Minęła godzina czy dwie – kto tam liczy czas, gdy dzieło samo się układa – gdy usłyszałem mokre pacnięcie w szybę, zaraz po nim drugie, trzecie...

„A cóż to diabli nadali?!” – podeszedłem do okna.

Szarawa ciemność mokrego śniegu. Czerń za zarośli...

I w tej czerni trzy krótkie błyski, trzy długie, trzy krótkie...

Pauza. I jeszcze raz...

Ktoś nadawał alfabetem Morse’a SOS. Wzywał pomocy.

A może to nie do mnie sygnalizowano, tylko do innego mieszkańca pałacu? Nie. Błysk latarki był ostry, wąski, skierowany prosto w moje okno. To musiała być latarka o dużej mocy. A jej właściciel wołał mnie wyraźnie: „Na pomoc! Chodź tu szybko!”

Pomyślałem o policyjnym zakazie opuszczania pałacu, ale szybko doszedłem do jedynie słusznego w tej sytuacji wniosku, że zarośla należą do pałacu i spokojnie, byle mnie nikt nie widział, mogę w nie powędrować.

Czy bałem się zasadzki? Absolutnie! Ostatecznie bełt dawał mi jeszcze życia na „trzy strzelania z kuszy”, jak to pięknie nazwał Nataniel. A nadkomisarz Parzydełko był uprzejmy przypomnieć, jak łatwo mnie sprzątnąć z kałasznikowa czy innej „spluwy”.

Niczym James Bond przemknąłem na paluszkach korytarz, schody i sień. Drzwi na szczęście nie zgrzytnęły, a światło nad nimi było wygaszone. Skoczyłem w zarośla...

– Czołem druhu! – potrójnym głosem zaszeptła ciemność.

– Ach, to wy, moje Urwisiątka! – odszeptalem. – Teraz rozumiem, dlaczego to w pałacowe komnaty wybraliście się w strojach komandosów!

– Czasem dla dobra sprawy trzeba poświęcić i elegancję – westchnął nasz mister elegancji, Marek.

– No dobrze już, dobrze! Mówcie, co i jak!...

Ale zanim powiedzieli, zaprosili, bym usiadł na śpiworze rozesłanym w gęstwinie jaśminu na nieprzemakalnej płachcie i – z niejaką dumą – poczęstowali gorącą herbatą (fakt,

że tym mi zaimponowali). I Piotr zaczął opowiadać „co i jak”.

Urwisy, jak to u tego przemyślnego gatunku młodocianych bywa, podsłuchały moją rozmowę z mistrzem, z której dowiedziały się o bandzie Czarnej Milady i o jej tajemniczych zamiarach co do Nieborowa. A że akurat zaproponowaliśmy im tu wycieczkę, Urwisy postanowiły wykorzystać ją na swój sposób, w czym niemało dopomógł im Nataniel, chcący, jak sądziły, szybko pozbyć ich się stąd poprzez odwiezienie do Łowicza, do ciotki Marka.

A że akurat podczas noclegu w Nieborowie Jurek dostrzegł w załomku korytarza jednego z sulejowskich mnichów, utwierdziło to chłopaków w przekonaniu, że mają rację. I gdy tylko Nataniel pożegnał ich w Łowiczu, najbliższą okazją wrócili do Nieborowa. Tu w pałacowym parku, korzystając ze swego turystycznego sprzętu (który, nawiasem mówiąc, sam im pomagałem skompletować) uwili sobie przytulne – jak na swą młodzieńczą wytrzymałość – gniazdko, z którego przez lornetkę bacznie obserwowali pałac i jego otoczenie.

I tak to zastała ich ubiegła noc...

Było już około pierwszej, gdy na rozświetlonej księżycem płaszczyźnie ośnieżonego gazonu pojawiły się dwa cienie...

– Przywidziało się wam – wtrąciłem – w nocy nikt do pałacu...

– Jasne, że nikt – odbił piłeczkę Piotr – cienie miały do pałacu jeszcze dobre pięćdziesiąt metrów. A nawet gdyby doszły, to nikt z dorosłych – tu usłyszałem pogardę – nie potraktowałby ich śladów poważnie. Cienie posuwały bowiem na szczudłach!

– Na szczudłach?! – prawie krzyknąłem.

– Może jeszcze herbatki druhowi? Mamy tu ziołową, z melisy. Ponoć uspokaja – zatroszczył się Marek. – A Piotr będzie kontynuował...

Zamilkłem.

– A że tylko neptek może myśleć, że o tej porze i w taki sposób ktoś zmierza do pałacu w celach „pokojowych”, przygotowaliśmy broń...

– Jaką broń?! Kto wam dał pozwolenie? – nie wytrzymałem.

– Broń starożytną, która dobrze posłużyła już Dawidowi w pojedynku z Goliatem, a na jaką najbardziej nawet praworządny harcerz nie potrzebuje pozwolenia. Proce.¹

– Włożyliśmy kulki łożyskowe w proce – ciągnął Piotr – a trzeba było z tym poczekać, aż „cienie” dotrą do pałacu i do kogoś, kto na nie zapewne czekał. Ale sam druh rozumie: noc, nerwy, no i to, że cokolwiek wiedzieliśmy o strzale do druha... Trudno! Włożyliśmy po kulce i Jarek z Markiem zaczęli kręcić procami, a ja przez lornetkę namierzałem. Jeden cień był

¹ Tu jako historyk, choć sztuki, muszę wytłumaczyć, że proce, o których jest i będzie mowa, nie mają nic wspólnego z widelkowo-gumkową podwórzową bronią. Proca Dawida – będąca przed tysiącletkami wyposażeniem regularnych oddziałów wojskowych, a i do dzisiaj używana w niektórych rejonach świata – to sznurek zakończony z jednej strony pętelką zakładaną na palec, pośrodku opatrzonej skórka, w którą wkłada się pocisk. Drugi koniec sznurka trzyma się w garści. Tak złożoną procę należy z jak największą prędkością obracać nad głową i puścić sznurek w odpowiednim momencie. Pocisk mknie ku celowi – patrz głowa – z ogromną siłą. Inna sprawa, iż celnie posłużyć się tą bronią jest ogromną sztuką – więc jestem w tym wypadku historykiem sztuki! – i nie wiedziałem, że opanowały ją Urwisy, z którymi kiedyś rozmawiałem kilka razy o tym starożytnym orężu.

gruby, a drugi mały i chudy

„Bach Majonosy i Szczurek” – pomyślałem

– Ten gruby: kic, kic... a mały: kic, kic, kic... – strasznie trudno było w niego celować! – wtrącił Marek.

– Od kiedy to się kica na szczudłach? – teraz ja się wtrąciłem.

– Czymże jest nazwa? To co zwiemy różą, pod inną nazwą równie by pachniało – odparował Marek

– A to co? – nie powstrzymałem zdumienia.

– Ponoć Szekspir – grzecznie odpowiedział ten obwieś.

– No dobrze, niech kicają! – poddałem się

– A tu Piotr mówi: „Wróg w polu trafienia... Achtung! Achtung!” – wyprzedził pozostałych Jarek.

– Piotrze – po raz któryś nie wytrzymałem – od kiedy to polski harcerz używa niemieckich komend!

– Tak jakoś wyszło – nie przejął się zbytnio mym okrzykiem Piotr – ostatnio czytałem *Okręt*, bestseller o U-bootach. Zresztą najważniejsze, by wroga czy przestępcę zniszczyć, a po jakimu, to już sprawa drugorzędna! No więc ja: „Feuer!” – Jarek przykręcił, świsnęło i wrzask od strony tamtych; i już gruby na śniegu! Trafiony, zatopiony! To ja ponownie: „Feuer!”. Zagwizdała proca Marka, ale pudło!

– Mówiłem, że w tego małego trudno trafić... – jęknął Marek.

– Na szczęście zdążyłem załadować jeszcze raz i rozkręcić – gorączkował się Jarek. – I mały jak śliweczką, na dół! Nawet szczudeł nie puścił!

– A że mnie się to ostatnie „Feuer!” dość głośno krzyknęło, to chudy w pisk: „Namierzają nas!” I obaj chodu! Gdzieś tam jeszcze zawył na ostrych obrotach silnik auta i cisza.

„Czyżby tu była i Czarna Milady?” – posmutniałem.

– A że nie kłamiemy – powiedział po chwili Piotr – tu dowody... – wyciągnął zza krzaka dwie pary szczudeł i dumnie – jak zdobywca wrogich chorągwi pod Grunwaldem – rzucił mi je pod nogi.

– Przenigdy nie stanąłbym po przeciwnej wam stronie – powiedziałem poważnie.

– Co druh mówi?

– Cytuję. Tylko że to nie Szekspir, ale Browling. Też niegorszy...

Urwisy poruszyły się rażno:

– Czyli wszystko w porządku?

– Jak najbardziej!

– Tylko... – nieśmiało odezwał się Marek – niech druh nikomu o tym wszystkim nie mówi. No bo szczudła, proce... Kto w to uwierzy?!

Kiwnąłem głową z koleżeńskim zrozumieniem.

– Macie rację. Mnie dziś nie uwierzono we współczesną kuszę...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**NOWA KRADZIEŻ • KORYTARZ URN • ZNIKNIĘCIE MALARZA
BORÓWKO • WINA BĘDZIE DAROWANA W POŁOWIE • RATUJMY
NASZE SAMOCHODY • KOMU UFA POLICJA • URWISY ZAWSZE
GOTOWE**

Jak nakazuje nieborowski obyczaj punkt ósma pan Józef, ubrany w czarną liberię woźnego, przyniósł mi do łóżka obfite śniadanie. Okraszone było tym życzliwym spojrzeniem, jakim darzą ci, którzy od siedemdziesięciu pięciu lat wstają codziennie o piątej, wszystkich tych, co wstają już choćby w pół godziny po nich. A ja wstawałem dopiero o siódmej... Pan Józef zaś zaraz po powstaniu zażywał ożywczej kąpieli w zimnej wodzie...

– Czy przy goleniu używa pan też, zimnej? – ośmieliłem się szepnąć.

– Słucham? – zapytał troskliwie pan Józef.

– Nie, nic, przepraszam – wybąkałem. – Chciałem tylko spytać o pogodę...

– Jest wspaniaa! – uśmiechnął się pan Józef, odsłaniając okno. – Proszę śniadać szybko, póki kawusia nie wystygła i na dwór! A wie pan dodał, zmierzając już ku drzwiom – dzisiaj w nocy ukradli nam – to „nam” mocno zaakcentował – Riberę i tego, no... Durera...

– Co? – krzyknąłem wyskakując z łóżka i omal nie przewróciłem tacy ze śniadaniem.

Józef nie umiał jednak (a może nie było mu wolno?) podać szczegółów nowej kradzieży.

W te pędy począłem równocześnie jeść, myć się i golić. Potem z nieco pokiereszowanym obliczem zbiegłem na dół, do mistrza.

Spotkałem go samotnego w długim korytarzu. Śpieszył do mnie z tą samą rewelacją, co i ja do niego:

– Wyobraź sobie, Tomaszu, że przed chwileczką był u mnie kustosz, wykrzykujący w głos, że to ja wskazałem złodziejom naprawdę cenny łup, opowiadając wczoraj, że jedyne, na co bym się pokusił, będąc ich kolegą po fachu, to „Głowa starca” i „Głowa Chrystusa w cierniowej koronie”! Zatem nawet nie wolno nam westchnąć z zachwyty przed jakimkolwiek dziełem sztuki, zaliczeni zostaniemy bowiem o ile nie w poczet złoczyńców, to przynajmniej

ich współników! Od dziś jedyne co mi się podoba, to Pałac Kultury. Być może ktoś mnie wyśmiej, ale przynajmniej nie zamknij do więzienia! – Nataniel wybuchnął gorzkim śmiechem. – A zresztą – dodał już spokojniej, ze zwykłą sobie łagodną ironią – ten Durer to przecież nic pewnego. Same inicjały „A.D.” i czas, w którym powstał obraz, to jeszcze za mało, Tomaszu, za mało...

– Jednak to wszystko, mistrzu – ośmieliłem się wtrącić – daje policji niezbity dowód, że złodziej nie zna się na sztuce. Ciekawe zatem, jak „przyporządkuje” go ona naszemu towarzystwu wywodzącemu się z jej rozmaitych dziedzin?

Nataniel popatrzył na mnie z lekkim politowaniem:

– Czyżbyś naprawdę aż tak krótko żył na tym świecie, Tomaszu, że nie wiesz, iż co jak co, ale „przyporządkowywać” sprawców do przestępstw wedle swej wygody policja umie znakomicie? A z drugiej strony, czyż trudno ci wziąć pod uwagę możliwość, że przynależność kogokolwiek z nieborowskiego grona do kapłanów sztuki jest pozorowana?... Ech, zapomnijmy lepiej choć na moment o przestępstwie, które krótkie ma nogi i zwróćmy się ku uczuciom, co trwają wiecznie! – tu mistrz zatrzymał się przed mijaną, bielejącą alabastrem, urną i drżącym z prawdziwego wzruszenia głosem odczytał widniejący na niej łaciński napis:

– Deis Manibus Lucio Publicio Leanati Iuniori Fillio Optimo Pientissimo Qui Vixit Annis XIX Mensibus IX Diebus XX Fecerunt Lucius Publicius Leanas Et Iulia Cleopatra Parentes...

Wtórwałem mu cicho po polsku:

– Bogom podziemnym, Lucjuszowi Publicjuszowi Leanasowi Młodszemu, który żył dziewiętnaście lat, dziewięć miesięcy i dwadzieścia dni, wykonali Lucjusz Publicjusz Leanas i Julia Kleopatra, rodzice...

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, aż wreszcie na twarz Nataniela wrócił właściwy jej nieco przekorny uśmiech:

– Tak, to całkiem łatwe nazywać korytarz w swym domostwie „rzymskim”, jeśli się przeniosło z Rzymu tyle urn, sarkofagów i płyt nagrobkowych, ile pod koniec XVIII wieku Helena Radziwiłłowa. A wszystko to oryginały: I-III wiek naszej ery... Wyobraź sobie, że ilekroć przechodzę tym korytarzem nocą, tylekroć czuję niemiłe dreszcze. A nuż któraś z urn zapyta: „Dlaczego mnie ukradłeś?” Brr...

– Mistrzu – wtrąciłem ze smutkiem – chodźmy lepiej popatrzeć na portret Anny Orzelskiej...

Nataniel położył mi dłoń na ramieniu:

– Jeszcze czas, mój drogi, jeszcze czas...

– A jeśli złodzieje i ją nam ukradną? – podniosłem głos.

Mistrz skwitował to kolejnym uśmiechem:

– Przecież sam powiedziałeś, że nie znają się na sztuce. Nasza ukochana jest bezpieczna!

Otrząsnąłem się:

– Obyś miał rację! A, wracając do ponurej rzeczywistości dzisiejszego ranka, czy nie

wiesz, w jaki sposób dokonano kradzieży?

Mistrz wzruszył ramionami i ruszył naprzód korytarzem:

– Nie wiem i nie wie tego, jak dotychczas, nikt. Po prostu rano stwierdzono, że ramy „Głowy starca” i „Głowy Chrystusa w cierniowej koronie” są puste.

– A drzwi do pokojów, gdzie były obrazy... czy dobrze je na noc zamknięto?

– Nie bądź śmieszny, drogi mój... – zerknął na mnie z rozbawieniem Nataniel. – Takie zamki otwiera się już w złodziejskim przedszkolu.

– Skandal! – mruknąłem.

– Z zamkami? – życzliwie za interesował się mistrz.

– Nie! – zachnąłem się. – Proszę spojrzeć przed siebie!

U wylotu „rzymskiego” korytarza, w sieni, przy drzwiach kręcił się malarz Borówko, podejrzliwie i z lękiem rozglądając się na wszystkie strony niczym tropiony szarak, którego zresztą jako żywo przypominał w swej długouchej czapie i kusym płowym paletku. Na jego korzyść należy jednak dodać, że od zajęcia różniły go trzymane pod pachą sztalugi oraz dzierzona w urękawiczonej dłoni skrzyneczka, w której malarze zwykli nosić paletę, farby i pędzle.

Nagle zobaczył nas i dał susa w głąb sieni. Załomotały drzwi do ogrodu...

– Uciekł!

– Oddalił się, jak zapowiedział! – zakrzyknęliśmy w oburzeniu niczym chór w kiepskiej operze...

Ruszyliśmy w pogoń!

W ogrodzie – nie ma! Okrążyliśmy staw – nie ma! Popędziliśmy grabową aleją – tylko spłoszyliśmy dwa gawrony! Więc dookoła pomników – nie czaił się za żadnym z nich!

– A w takiej skrzyneczce, to jak nic można ukryć zrolowane płótno Ribery! – wyrzekłem ze smutkiem wypuszczając przy tym z ust kłęby pary (jako że bieg mnie rozgrzał, a mroźnik narastał). Trzeba było go dogonić!

– Pewnie! Dogonić? W moim wieku! – odparował niczym tuwimowska lokomotywa mistrz otulony srebrnym obłokiem.

Błysek. Błysek. Błysek... – zamigotało w zaroślach.

Nataniel nawet nie spojrział w tamtą stronę, ale ja już odczytywałem nadaną alfabetem Morse’a wiadomość:

– W-o-r-a-n-ż-e-r-i-i.

– Mistrzu! – zakrzyknąłem radośnie – nie sprawdzaliśmy w oranżerii!

– A faktycznie! – zdumiał się na tę myśl Nataniel.

Ruszyliśmy czym prędzej w stronę oszklonego budynekczku i zatrzymaliśmy się dosłownie w pół kroku! W tę stronę szło bowiem właśnie dwóch mężczyzn, których ubiór tak upodabniał ich do porucznika Colombo, że deptanie po ich piętach uznaliśmy za co najmniej niestosowne.

– Hm! – chrząknął mistrz. – Niech każdy z nas robi to, co do niego należy. Byle dobrze! – nie omieszkał pokiwać palcem za wchodzącymi do oranżerii. A ja pomyślałem z uśmiechem o czujnych na swym stanowisku Trzech Urwisach.

Zawróciłem ku pałacowi, gdzie w ciszy mego pokoju czekali opaci sulejowscy. Nataniel zmierzał czujnie za mną. Starając się robić jak najmniej hałasu weszliśmy do sieni i tam, jak na złość, napatoczyliśmy się od razu na redaktora „Horyzontów Filozofii” i jego lisi (tak mi się przynajmniej wydało) uśmiech:

– O, panowie byli na spacerze! I tacy nie ubrani?! A czy już wolno opuszczać pałac?

Zęby mistrza ze zgrzytem zmeły przekleństwo. Było to prawdziwym mistrzostwem, jako że twarz cała uśmiechała się ku redaktorowi jak ku marnotrawnemu a odzyskanemu synowi.

Ja jednak postanowiłem opowiedzieć historię pościgu za malarzem (oczywiście pomijając udział Urwisów i kolegów Colombo).

– No, no! – pokręcił głową filozof i odszedł bez słowa, usiłując zapewne w swej mądrej głowie znaleźć filozoficzną odpowiedź na intrygujące zachowanie malarza...

Na kilkanaście minut przed obiadem zszedłem do palarni, której okna wychodziły na południe, by ucieszyć się jej nasyconą słońcem ciszą. Do pełni szczęścia i zapomnienia o przykrościach poranka brakowało mi już tylko odrobiny muzyki. Ale już z nią śpieszyło ku mnie usługowe radio. Przesunąłem fotel w prostokąt złotych promieni i zapadłem w ich ożywcze ciepło z westchnieniem ulgi. Postanowiłem myśleć o rzeczach ważnych, ale przyjemnych.

Tak więc jeszcze raz ucieszyłem się z bystrości i czujności Urwisów, którzy nie bacząc na mróz czuwali nad Nieborowem w gęstwinie parku. Z sympatią wspomniałem tropiących pałacowego złodzieja policjantów i ujrzałem oczyma duszy, jak prowadzą z oranżerii zalewającego się łzami spóźnionej skruchy malarza. „To za nasze uganianie się po parku!” – pomyślałem z satysfakcją.

Do palarni weszła pani Rokoko. I ona wydała mi się zmieniona na korzyść. Uczesała się jak wiejska dziewczyna – blond włosy ujęła gładko, tylko z przedziałkiem i dwoma skrzydełkami rozchodzącymi się od niego. Miała naturalne kolory na policzkach i gołe ramiona...

– A pan marzy... pan marzy... – powiedziała zalotnie, aksamitnie. I poczęła recytować Petrarke, a była zaiste świetną, aktorką!

Jeśli to nie jest miłość – cóż ja czuję?

A jeśli miłość – co to jest takiego?

Jeśli rzecz dobra – skąd gorycz, co truje?

Gdy zła – skąd słodycz cierpienia takiego?...

Tupiąc głośno butami zbiegł z góry tłumacz Kostia. Aktorka tym samym tonem, jakim recytowała dla mnie, szepnęła do niego z wyrzutem:

– Gdzie byłeś? Tak cię szukałam...

– Z każdego kroku mam się tłumaczyć – odburknął Kostia rozwalając się w fotelu.

„I cóż ona w nim widzi?” – pomyślałem nie bez zazdrości. – „Nos w wągrach, obwisła dolna warga, niskie czoło...”

Na szczęście gong na obiad przerwał tę wyliczankę.

W obiedzie wziął udział oficer policji. Jeden z dwóch, których widzieliśmy z mistrzem zmierzających ku oranżerii. Skąd zresztą wrócili – ku memu żalowi – z pustymi rękoma. Dotychczasowy zastępca nadkomisarza Parzydełko, komisarz Kolec, towarzyszyć miał nam teraz stale, to znaczy do chwili schwytania nieborowskiego złodzieja.

Obiad upływał w milczeniu. Dopiero przy deserze odezwał się nagle malarz Borówko, ale zrobił to tak jakoś dziwnie, jakby sam do siebie mówił czy też tłumaczył się przed sobą:

– Trzeba się czołgać, żeby dojść do czegoś. Ze zwierząt tylko dwa mają własny domek, dwa czołgające się: żółw i ślimak.

– Eet! – ziewnął Nataniel. – Wszystkie reguły są nudne. Interesują nas dopiero wyjątki...

Równie jak inni milczący komisarz podniósł wzrok:

– Interesuje więc państwa złodziej? A przecież jest nim ktoś spośród waszego grona... Niech się tylko przyzna w porę, a wina będzie mu darowana w połowie! – znacząco podniósł palec.

Smutnie zwiesiliśmy głowy nad talerzami.

– Tra-ta-ta, panowie – zagadkał po chwili profesor Zann. – Wszystko to nam obojętne nieco, bo nie nasze kradną! Niech no by tylko złodziejaszki połakomiły się na samochody na parkingu!

– Na to stadko maluchów czy landarę pana Tomasza? – parsknął Kostia.

– A cadillac pana Nataniela? – niewinnie a słodko uśmiechnęła się do mistrza Eleonora z Kraszewskich.

– Rzecz nabyta – lekceważąco potraktował swój ukochany wóz poeta.

Ale jednocześnie usłyszałem trzykrotne stuknięcie o drewno. Mistrz odpukiwał!

Cóż, jeśli miłość bywa ślepa, to dlaczego nie mogłaby się okazać przesadna?

Nie minęło zresztą wiele czasu, gdy w palarni usłyszałem, jak Nataniel szepce do siebie:

– Babskie gadanie. E, babskie gadanie...

Po chwili spojrział na mnie z udreńczonymi oczyma:

– Wiesz, Tomaszu... z tym cadillakiem...

Żał mi się zrobiło mistrza. Chciałem mu nawet powiedzieć o nieustającej warcie Urwisów, ale przecież obiecałem im dotrzymać tajemnicy, rzekłem więc tylko:

– Bądź spokojny, Natanielu! Cadillaca biorę na siebie...

Mistrz odpowiedział bladym uśmiechem. Ale humor mu się wyraźnie poprawił, bo gdy usłyszał jak wchodzący do palarni redaktor głosi zwariowaną teorię, że dzięki kradzieży nieborowskie dzieła staną się być może dostępne wielu, a nie tylko wybrańcom, nie omieszkiał mu przyciąć:

– Jest pan bardzo nowoczesnym filozofem! Dawniej filozofowie pragnęli świat objaśniać, później część z was głosiła, że chce go zmieniać... Ale do dziś nikt z waszej branży nam nie objaśnił, czy świat zmienia się na lepsze czy na gorsze!

– Drogi panie – odparł zaatakowany z pogardą – filozof szuka prawdy. Prawda jest w winie, wino jest w piwnicy, w piwnicy panuje ciemność, a tam, gdzie ciemno... najłatwiej złodziejom i głupcom!

Nataniel westchnął ciężko:

– Przysłowie powiada: „Mądry głupiemu ustąpi”. Ale jak ciągle mądrzy będą głupcom ustępować, to w jakiej głupocie świat się skończy?

– Zaznaczyłem przed chwileczką, że prawdziwa mądrość polega na tym, aby umieć żyć między głupcami – odparł filozof.

– Przepraszam, ale nie słyszałem – lekko wzruszył ramionami poeta – zresztą rzecz nie w tym, ale w tym, że niejeden utracił rozum, gdy prędko chciał zostać mądrym – powiedział cicho.

Tamten przyglądał się mu przez chwilę z uwagą, zaczerwienił się i szybko wyszedł z palarni.

Nataniel posłał za nim pełen pobłażania uśmiech.

Po południu, gdy w swej komnacie wieżowej mistrz wypoczywał na wygodnym szelągu, a ja, spacerując wokół stołu, tłumaczyłem się, dlaczego zaniedbuję sprawy świątobliwych opatów, ktoś zapukał delikatnie do drzwi.

– Proszę! – zawołał gospodarz i na progu stanął komisarz Kolec. Najpierw rozejrzał się po komnacie, a następnie przyjrzał się, jakby z troską, naszym twarzom.

W odpowiedzi na zapraszający gest mistrza skłonił się lekko i usadowił na fotelu pod oknem.

– Bardzo mnie to cieszy, że spotykam panów obydwu – powiedział z nieukrywanym zadowoleniem. – Czy mogliby mi panowie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego to dziś rano opuściliście pałac, łamiąc surowy, choć, przyznam, niewygodny dla jego mieszkańców zakaz?

Mistrz przeciągnął się ledwo dostrzegalnie na szelągu:

– Zauważyliśmy, że malarz Borówko, zachowując się nader podejrzanie, wybiega z pałacu. Pośpieszyliśmy więc za nim, w celach jak najbardziej śledczych. Ba, planowaliśmy nawet ujęcie go! Niestety, na próżno biegaliśmy po całym parku... Oranżerią, równie bezskutecznie, zajęli się już panowie.

– Tak – skinął głową oficer. – Najpierw jednak obserwowaliśmy bieżącą panów.

Natomiast mistrza Borówko nie widzieliśmy ani wcześniej, ani później.

Dostrzegłem, jak Nataniel zachnął się na użyty przez Kolca w stosunku do malarza tytuł: „mistrz”. Tak, w Nieborowie tylko jeden mógł być mistrz i on to siedział teraz naprzeciw policjanta!

– Czyżby nie ufał pan moim słowom? – o ton podniósł głos Nataniel.

– O, ja nikomu nie ufam. Taki już mam zawód – westchnął ze smutkiem oficer i wstał z fotela. Już przy drzwiach odwrócił się jeszcze i dodał:

– A co do oranżerii, to pracujący w niej ogrodnik również nie widział malarza...

– Borówko mógł przemknąć się pod ścianą – mruknąłem ze złością.

Policjant opuścił komnatę machnąwszy ręką.

Nataniel ze smutkiem pokiwał głową:

– Przysłowie powiada: „Wołu strzeż się z przodu, konia z tyłu, a człowieka ze wszystkich stron...”

– Ten Kolec jeszcze gotów nas aresztować! – nie mogłem ochłonać.

– Za takie głupstwo? – skrzywił się mistrz. – Ale przysłowie mówi: „Powiesić się – wstyd; utopić się – zimno; zastrzelić się – boli; więc trzeba cierpieć z Bożej woli!”

– Och – jęknąłem, łapiąc się za głowę.

– Aż tak przeraża, cię areszt? – zdziwił się Nataniel.

– Nie. Twoje przysłowia!

– Cóż więc zamierzasz, Tomaszu? – zatroszczył się Nataniel zupełnie serio.

– Mistrzu! Idźmy wreszcie uspokoić nasze nerwy pięknem Anny Orzelskiej!

– Jutro, kochany, jutro. Ale już dzisiaj myśl o moim cadillacu, jak obiecałeś...

Co było robić na takie dictum? Zatroszczyć się o cenne auto!

Gdy tylko zapadł zmrok, stanąłem w moim pokoju przy kontakcie i mrugając światłem wysłałem ku zaroślom sygnał SOS. I zaraz odpowiedziała mi latarka, że przyjęto sygnał. Mając za nic wszystkie zakazy wyszedłem z pałacu.

Urwisy już czekały w gąszczu:

– Co się stało, druhu?!

– Najpierw dajcie mi uspokajającej herbaty ziołowej – jęknąłem.

– Już się robi! Prosimy do naszego kącika! – zawołał Piotr.

Pociągając gorące, wonne łyki z plastikowego Kubka opowiedziałem im pokrótce przeżycia dnia dzisiejszego, kończąc relację żarliwym apelem o czuwanie nad pojazdem mistrza.

– Jasne! – odpowiedział mi tak radosny i ochoczy trójgłos, że aż mnie to zdziwiło. – Już my się nim zajmujemy! Spokojna głowa, druhu!

Niestety, moja głowa nie była spokojna, gdy po powrocie do pokoju przykładałem ją do poduszki. Ale przynajmniej o cadillaca nie musiałem się już martwić!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

**ZAMACH NA CADILLACA • ANNA ORZELSKA • KTO UDAJE DUCHA •
KŁĘSKA URWISÓW • DZIEJE RADZIWIŁŁÓW • PLAN FILOZOFA •
RYCERZ JĘDRZEJ BALDARICH-BALDRZYCH I OPAT WILLERM •
KOMU PRZESKADZAM**

Ledwo wraz z panem Józefem odbyliśmy celebrację śniadania i zdążyłem się umyć i ubrać, gdy do pokoju wpadł mistrz Nataniel. Chyba po raz pierwszy w życiu nie zapukał przedtem do drzwi...

Siwy włos mierzwił się na jego dostojnej głowie, a w oczach tlił się obłęd. Poły rozpiętego futra powiewały za nim jak żałobne chorągwie.

– Ukradli portret Anny! – krzyknąłem.

– Gorzej! Ktoś w nocy spuścił powietrze z wszystkich kół cadillaca! A ty, Tomaszu, obiecałeś – jęknął osuwając się na fotel – że bierzesz jego ochronę na siebie! A co będzie, jeśli przebili?!

– Co?

– Opony!

Sapał przez chwilę, po czym poderwał się na równe nogi:

– Idziemy!

Zerwał moją kurtkę z wieszaka i rzucił mi na ramiona.

– Dokąd? – zapytałem, ale już w połowie drogi ku drzwiom.

– Na miejsce zbrodni! – zawołał mistrz z korytarza.

Śpiesznie dreptałem za nim. „Ech, Urwisy!” – myślałem w biegu. – „I tak to otoczyliście opieką własność zasłużonego poety?” – obiecałem sobie, że dam im solidny wycisk.

– Patrz, Tomaszu! – jęknął mistrz, gdy dobiegliśmy do parkingu. – Oto, jak miernoty mszczą się na biednym poecie! Widomy to znak, że naprawdę zło zagnieździło się w Nieborowie!...

Rzeczywiście. Pośród prężących dumnie swoje opony naszych aut jedynie cadillac

smętnie opadł na rozplaszczony gumy...

Nataniel jęknął raz jeszcze i otworzył bagażnik:

– Powiedziałeś, drogi mój, że bierzesz ten wóz „na siebie”. Może więc weźmiesz łaskawie tę pompkę – tu rzucił ją na śnieg – i...

– I? – wtrąciłem cicho.

– ...i uzupełnisz brak powietrza w tych nieszczęsnych dętkach, spowodowany twoim niedbalstwem...

Jąłem więc uzupełniać.

W miarę jak opony nabierały, jedna po drugiej pełnych kształtów, nastrój mistrza wyraźnie się poprawiał. Sięgnął do cygarniczki i wydobyl z niej wonne cigarillo, które zapalił z widoczną przyjemnością, zapewne przez roztargnienie zapominając mnie poczęstować.

– Tak, choć odrobina talentu pośród beztalenci ma swoje złe strony! – z troską popatrzył na swój wóz.

– Bycie maluczkim również – odpowiedziałem ocierając pot z czoła i masując zdrętwiałą od pompowania stopę. Starłem się nie widzieć mieszkańców pałacu gapiących się na nas z okien.

– Sądzę – radośnie obwieścił mistrz chowając pompkę do bagażnika – że nadszedł czas, byśmy odwiedzili piękną Annę...

Z szerokiej i długiej do ziemi błękitnej sukni wylaniały się nagie do łokci krągłe i drobne ręce, białe ramiona i zarys piersi. Delikatna szyja unosiła dumnie główkę o twarzyczce niezwyklej urody. Lekko zmrużone oczy patrzyły filuternie, a na pąsowych wargach igrał zalotny uśmiech.

– I pomyśleć, że to zaledwie jedna ze stu córek Augusta II Sasa, zwanego Mocnym... – westchnął z zachwytem mistrz – za to córka najukochańsza! To dla niej król wybudował w Warszawie monarszy wprost pałac zwany Błękitnym, jako że Anna uwielbiała ten kolor.

– Tak – dodałem nawet liberie służby, uprząże i karoce miały tę barwę. Podziwiamy zatem „piękną Anetkę” w błękitcie, tak cudnie oddanym pędzlem de Silvestre, nadwornego malarza Ludwika XV, a potem królów polskich. Dziwi mnie tylko zawsze, jak piękna córka mało podobna jest do swego, łamiącego w dłoniach podkowy, ojca czy choćby brata. Wystarczy spojrzeć na jego portret, który, choć pędzla de la Toura, raczej wątpliwie zdobi prawą ścianę gabinetu.

– Mnie natomiast dziwi – uśmiechnął się mistrz – kto wpadł na pomysł umieszczenia rozkochanej w błękitcie Anny akurat w Czerwonym Salonie, gdzie ściany pokrywa karmazynowy atlas? Czy zrobił tak dlatego, że to reprezentacyjny salon? Ale i tę kanapę „confidente” pokrywa purpurowy adamaszek! I jeszcze jedenaście czerwonych krzeseł polskiej roboty! Nawet francuska komoda dźwiga płytę z czerwonego marmuru! Nie lubił ktoś naszej wybranki lub jej nie rozumiał? Czy można tak lekceważyć upodobania człowieka

po jego śmierci? Ech, czasem boję się pomyśleć, co stanie się z mymi, gdy umrę...

Przyznam się, że nie słuchałem mistrza, zapatrzony w piękną Annę:

– Ma brwi wąskie, skośne i czarne... Jak Czarna Milady – szepnąłem mimo woli.

– Że też ty zawsze musisz kogoś z kimś kojarzyć! – jęknął Nataniel.

– Ależ mistrzu! Tak samo jak ja – zresztą mam na to dowody (o mało nie zdradziłem Urwisów) uważasz, że kradzieże w Nieborowie są dziełem kompanów czarnej damy. Racz nie zapominać, co nas tutaj sprowadziło. „Potem do Nieborowa!” – wołał Szczurek w Winodaju. „Potem do Nieborowa” mówiły bandziory w Łękach. „Potem do Nieborowa” – napisano na karteczce, którą znalazłem w czytelni. A belt od kuszy na mym stole? Może to śmieszne, ale na każdym kroku odczuwam tu obecność Czarnej Milady.

Mistrz przyglądał w zamyśleniu włosy:

– Mimo wszystko trudno uwierzyć. Nie spotkaliśmy tu ani jej, ani Szczurka, ani Bacha Majonosego...

Aż mnie kusilo, żeby opowiedzieć o „procach i szczudłach”! Wybrnąłem z tej pokusy mówiąc spokojnie i zimno:

– Pozostaje jeszcze „szef”. Jeśli jest nim ktoś z pałacu...

Nataniel spojrzał na mnie z uwagą i otrząsnął się.

– Chodźmy stąd, Tomaszu. Nawet uroda Anny Orzelskiej nie uchroniła nas przed złem.

Nic nie odpowiedziałem i nie ruszyłem się z miejsca zapatrzony w obraz przede mną, ale myślami byłem przy kobiecie, z którą spędziłem noc w starym młynie.

– Mistrzu – powiedziałem wreszcie – ten obraz Anny jest przeciwieństwem Czarnej Milady Ale czy zaręczysz mi, że Anna Orzelska nie była dla kogoś jego Czarną Milady? Piękna, zaborcza, zachłanna...

– Piękne kobiety zawsze mi swój sposób okradały mężczyzn – westchnął mistrz. – Ale widzę, że zło, z którym borykamy się od śmierci naszego przyjaciela Herakliusza, naprawdę zatruło ci krew... Dlatego jeszcze raz proszę, chodźmy stąd! Bo nie dość, że uroda naszej Anny nie uzdrowiła cię, to jeszcze może się ona okazać nienawistna. A to już byłaby strata nie do powetowania! Jak śmierć profesora...

Wyszliśmy z Czerwonego Salonu.

Chcąc oderwać się od smutnych myśli zdecydowałem się opowiedzieć Natanielowi o mnichu sulejowskim, który zawędrował aż do Nieborowa. Przecież nie zdradzę tym tajemnicy powrotu urwisów!

– Pamiętasz, jak przy pożegnaniu Urwisów Jacek coś mi szepnął?

– Pamiętam – skinął głową mistrz. – Nawet obruszyłem się na to, bo przecież w towarzystwie nie ma sekretów.

– Rzecz nie w sekrecie – ciągnąłem – ale w tym, że Jarek powiedział coś takiego...

– No, no co? – przerwał mi zaciekawiony nagle mistrz.

– ...że widział tu jednego z mnichów, którzy nawiedzają ostatnio Sulejów!

– Tu, w pałacu?

– Tu, w pałacu.

– Ależ to bzdury! Żeby w Nieborowie... – zachnął się mój słuchacz.

– A w Sulejowie to już nie bzdury? – odpowiedziałem podobnie jak mnie Jarek. – Racz przypomnieć sobie po raz drugi, że banda miała w planach Nieborów...

– No tak – Nataniel przystanął – ale w takim razie mnichem musiałby być ktoś z nas! Obcy nie mógłby się ukryć w pałacu przeszukanym od piwnic po strych przez policję!

– A jeśli to duch? – próbowałem zakpić. – Jarek ujrzał go z wybiciem północy.

– Wierzysz w istnienie duchów? – spojrzał mistrz spod oka.

– Nie wykluczam tego...

– Zostawmy metafizykę, Tomaszu – machnął ręką Nataniel. – Bardziej niż istnienie najbardziej żywotnego z duchów martwi mnie fakt, że ktoś z nas, ludzi poważnych, inteligentnych, zdolnych, odpowiedzialnych, jest złodziejem!

– Właśnie – zaśmiałem się gorzko – inteligentnych, zdolnych! Czyżby przebieg dotychczasowych kradzieży wskazywał, że dokonał ich idiota?

Nataniel milczał pobity własną bronią.

Weszliśmy właśnie do sieni, gdy z łoskotem otworzyły się drzwi wejściowe i w progu stanęły Trzy Urwisy w pełnym rynsztunku bojowym i z ponurymi minami.

– Oo! – zdziwił się Nataniel. – A co was tu sprowadza?

– Korzystając z pobytu w Łowiczu, dokąd nas pan łaskawie podwiózł – ukłonił się podejrzanie nisko Piotr – postanowiliśmy odbyć kilka wycieczek po okolicy – łgał juk z nut.

– A że pan Tomasz obiecał opowiedzieć nam o początkach rodu Radziwiłłów – Marek nie chciał być gorszy – pomyśleliśmy, że miło będzie wysłuchać tej opowieści właśnie tutaj, w ich dawnej posiadłości.

– Niech więc opowiada! – uśmiechnął się mistrz. – Nie będę przeszkadzał! – i odszedł do swego pokoju.

Wydawało mi się, że Urwisy wzruszyły lekko ramionami. Ale, co tam! Wiedziałem, że coś ważnego ich tu sprowadza. Tak jawnie, w biały dzień i na oczach wszystkich

– No to chodźcie na górę, umyć się po wędrówce. A potem zejdziemy do palarni na pogawędkę. Pokażę wam też kilka drobiazgów, o których być może zapomniał pan Nataniel...

– Może jednak chłopcy zostawią bagaże tu na dole... – usłyszałem głos kustosza i zobaczyłem jego pełen przerażenia wzrok wpatrzony w stelaże plecaków. Złął się pewno o powierzone jego pieczy rzeźby i wazony.

Chłopcy bez słowa zdjęli plecaki.

Ze schodów przyglądał się temu ze smutną miną komisarz Kolec.

Gdy przechodziliśmy obok niego nie powiedział ani słowa, choć widziałem, że ma na to ogromną ochotę.

Ledwo zamknąłem drzwi pokoju, a już prawie wykrzyknąłem:

– Co się stało?! Dlaczego tu przyszliście?!

– Bo nas zdemaskowano – ponuro mruknął Piotr, upychając się obok Jarka i Marka na łóżku.

– Jak to się stało? – z trudem powstrzymałem się, by nie zapalić papierosa.

– Nie wiedzielibyśmy, gdyby nie śnieżek, który poproszył po pomocy... – ciągnął dalej Piotr

– Gdyśmy zajmowali się cadillakiem pana Nataniela... – nie wiedzieć czemu parsknął śmiechem Jarek.

– Ładnie że... – machnąłem ręką – ale o wozie potem, teraz: co było dalej?

– No więc dalej... – westchnął Piotr. – Rano chcieliśmy się wycofać na dzienny posterunek, a tu patrzymy...

– Patrzymy – przerwał mu Marek – a tu na ścieżynce przez zarośla ślady butów! Ktoś podszedł prawie pod nasze obozowisko, postać chwilę i zawrócił. My po śladzie, a on prosto do miejsca, ładny kawałek za ogrodzeniem, gdzie zakręcił i gdzie czekał samochód. Jarek, spec, po śladach opon...

– Zimowe, Good Year... – mruknął Jarek.

– ...poznał, że to nie byle bryka, ale coś lepszego, bo takich gum to się do byle poloneza nie zakłada. No i pojechali!

– A to wszystko musiało się stać dopiero – wtrącił Piotr – inaczej nie wiedzielibyśmy, że nas mają. Chwała niech będzie chmurom śnieg niosącym!

– Podszedł więc was... – pokiwałem smutnie głową, – Kto to mógł być?

– Tyle wiemy, że kobieta, druhu... – spojrzeli na mnie z ukosa.

– Czarna Milady! – szepnąłem.

– Może i ona – zgodził się ze mną Marek. – My kombinujemy, że to ta, która pętała się po opactwie i tak zdenerwowała biednego profesora Pronobisa.

– Ta od broszki – dodał Piotr. – Samochodem, którym przyjechała, mogło być volvo. Ii tam! A skoro ona i jej bractwo o nas już wiedzą, to nie było sensu sterczeć dalej na mrozie i dlatego wyleźliśmy na światło dzienne...

– Tak – mimo wszystko podniosłem kciuk na znak zwycięstwa. – Spisaliście się na medal, udaremniając tamtym dwom wyniesienie z pałacu skradzionych obrazów.

– Wyniosą je teraz – skrzywił się Marek.

– Teraz jest tu policja – próbowałem go uspokoić

– A druh myśli, że o tym nie wiemy? – zaśmiał się Urwis. – A skoro my wiemy, to i szajka! Już ona znajdzie sposób!

– To zmartwienie policji! – uciałem białolenie – Wytlumaczcie mi się teraz, jak to się stało, że nie dopilnowaliście samochodu pana Nataniela!

– Dopilnowaliśmy jak najbardziej! – uśmiechnęły się Urwisy.

– No to kto spuścił powietrze?

– My! – zabrzmiało unisono.

– Wy, łotry? Dlaczego?

– Aby cadillaca gruntownie zabezpieczyć – spojrzał mi w oczy Piotr. – Jaki złodziej ukradnie wóz na „flakach”. A poza tym...

– Co poza tym, chuligani! – zakrzyknąłem udając wielki gniew.

– Poza tym pan Nataniel spławił nas stąd! A myśmy chcieli jeszcze trochę pobyc! Pooglądać! – odkrzyknęły Urwisy.

Cóż, czy nie miały odrobiny racji? Mimo to westchnąłem ciężko:

– I dlatego to ja musiałem pompować te cztery grubaśne dętki?

– Tak jakoś wyszło... – Urwisy spuściły głowy. – Sorry!

– A niech was!... – nie mogłem powstrzymać śmiechu. – Teraz marsz do palarni, to poopowiadam wam o pierwszych Radziwiłłach. Chodźcie już, bo komisarz Kolec przyglądał się wam podejrzliwie.

– Otóż... – rozpocząłem przemowę do skupionej przy mnie trójki – legendarnym założycielem rodu Radziwiłłów był późniejszy arcykapłan całej, pogańskiej jeszcze, Litwy, Lizdejko, najmłodszy syn księcia Narymunda, zamordowanego przez swego młodszego brata, Dowmunda. Ten nie omieszkał zabić też wszystkich bratanków, aby zapewnić sobie spokojne panowanie. Jedno niemowlę jednak zostało uratowane i zawieszono w koszyku na dębie nad Wilią, niedaleko miejsca, gdzie w przyszłości stanąć miało Wilno.

– Historia podobna do biblijnej... – szepnął Marek.

– W tym czasie polował tam książę Witenes, starszy brat księcia Giedymina. Usłyszał płacz dziecka i przygarnął je do siebie, a z czasem wychował na kapłana, później arcykapłana Litwy, czyli krywe – po litewsku: krywejte. I dał mu swą córkę, Pojatę, za żonę. Miejscowość powstała tam, gdzie płakał mały Lizdejko w koszu na drzewie, nazywa się po dziś dzień Werki, co znaczy „płakać”.

– A skąd wzięła się nazwa rodu Radziwiłłów? – zapytał dociekliwy Jarek.

– Gdy Giedymin, brat Witenesa, polował na górze, która dziś nazywa się Górą Zamkową w Wilnie, zabił tam ogromnego żubra. A że była już noc, położył się spać na trawie i we śnie ukazał mu się żelazny wilk. Ten tak potraçał swą żelazną skórą, że powstał z tego ogromny hałas, który obudził księcia. Giedymin czym prędzej wezwał zięcia swego brata, Lizdejkę, aby wytłumaczył mu ów sen. Lizdejko upatrywał w tym śnie wielką przepowiednię i nakazał księciu wzniesić w tym miejscu zamek, a wokół niego miasto. Właśnie ponoć od tej „rady”, danej przez arcykapłana księciu powstało hasło i imię Radził-Radziwiłł. Nawet jak na legendę nie wydaje mi się to prawdopodobne, bo świadczyłoby o tym, że pogańscy Litwini mówili po polsku... Ale do rzeczy... Otóż prawnukiem Lizdejki był Wijszud, jego zaś synem Radziwiłł, który po przyjęciu chrztu wraz z Jagiellą przybrał imię Mikołaja I Radziwiłła...

Przerwałem opowieść, ponieważ obserwujący nas oficer policji niecierpliwił się coraz

wyraźniej.

– Poopowiadałem, a teraz, jeśli chcecie, przejdziemy się jeszcze po pałacu i... do zobaczenia w Sulejowie. Ja tu jeszcze muszę zostać, choć przyznaję, że bez was, czuwających tam, na zewnątrz, będzie mi o wiele trudniej skutecznie działać!

Urwisy sapnęły z dumą.

Oczywiście pałac zwiedzić chciały. Ale nie minęło wiele czasu, jak powędrowały do bramy odprowadzane przeze mnie i skupione spojrzenie komisarza Kolca, który grzecznie, acz stanowczo nie wyraził zgody na odwiezienie chłopców do Łowicza.

– Przepraszam, ale takie mam rozkazy – powiedział.

Musieliśmy zastosować się do życzenia komisarza.

– Oni tu już byli, prawda? W dzień poprzedzający noc kradzieży? – zapytał, gdy wróciłem do pałacu.

Aż mną zatrzęsło:

– Pan podejrzewa tych wspaniałych młodych ludzi?!

Westchnął ciężko:

– Znam bardzo smutne miejsca, gdzie muszą przez kilka lat przebywać młodzi ludzie, z których niejeden zapowiadał się tak wspaniale... Taki już mój zawód... – zakończył swym ulubionym czy prześladowającym go powiedzeniem.

Dreptałem z wolna korytarzem pogrążony w niewesołych myślach, gdy bezszelestnie dogonił mnie pan Krupa w miękkich papuciach. Na jego szarej i nieciekawej twarzy tym razem widniała wielka powaga i troska. Nim się odezwał zrobił w mym kierunku tajemniczy gest ręką:

– Szukałem pana! – obwieścił równie tajemniczo. – Czy mógłby mi pan poświęcić chwilę na osobistą, podkreślam, rozmowę.

– Oczywiście... – wymamrotałem niezbyt przytomnie.

– Otóż, proszę pana – małe oczka załśniły – ta Eleonora z Kraszewskich zauważyła jak wczoraj rano wybiegli panowie do parku i natychmiast udała się z donosem do policjanta. Tfu, co za wstrętna baba. Oczywiście nikt nie uwierzy, że naprawdę pośpieszyliście za malarzem. Ja wam wierzę, bo ja wiem, że Borówko to wstrętny typ. Czy nie sądzi pan – tu redaktor „Horyzontów Filozofii” zbliżył usta do mego ucha – że to nie jest w ogóle malarz? On tylko udaje malarza.

– Niesłychane!

– A tak! Przypadkiem zajrzałem do jego pokoju i zobaczyłem jeden obraz. Nie znam się na sztuce, proszę pana, jestem po trosze filozofem. Ale jego malarstwo wydało mi się koszmarnie. To mistyfikacja!

– Tak? – udałem zdziwienie. – Może pan Borówko jest tylko złym malarzem? A może nie maluje według pańskiego gustu?

– Poza tym w jego pokoju, niech pan sobie wyobrazi, zastałem Panią z Wydawnictwa! – ciągnął oskarżycielskim tonem redaktor.

– Niesłychane! – zakpiłem.

– A tak. Niesłychane. Ona jest jego przyjaciółką. To trzeba zdemaskować!

– Chce pan się mieszać w czyjeś prywatne życie? – zaczynał mnie denerwować.

– No, no nie, ja tylko... Rzeczywiście, przepraszam! Ale to nerwy.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, aż wreszcie Krupa odezwał się niespodziewanie:

– A umie pan grać w warcaby?

– Naturalnie.

– To doskonale. Mistrz Nataniel jest wtajemniczony we wszystko. To on wraz ze mną opracował dokładny plan zdemaskowania malarza Borówko. Borówko? Ha, ha, ha, my go wyślemy na grzybki... Więc gra pan w warcaby?

– Gram.

– Dobrze. Namówi pan malarza Borówko na partyjkę warcabów w palarni, a w tym czasie ja zajdę do pokoju Pani z Wydawnictwa i zagadam ją pod byle pretekstem. Chodzi o to, żeby nie wyszła ze swego pokoju. A wówczas mistrz Nataniel zakradnie się do pokoju malarza i obejrzy dokładnie jego obrazy. Borówko nie zamyka pokoju na klucz.

– Hm, hm... – zamyśliłem się, bo cała ta impreza jakoś brzydko mi zapachniała. – A czy nie prościej byłoby poprosić grzecznie malarza, żeby nam pokazał swoje obrazy?

– Nie pokaże. Już go o to prosiłem. Odmówi i nabierze podejrzeń.

– A może uprzednio porozmawiać z policjantem?

– Na to zawsze jest czas.

– Pozwoli pan, że dokładnie to przemyślę?

– Pozwalam, pozwalam – machnął ręką redaktor i cichutko oddalił się w swych miękkich pantoflach.

Gdy wszedłem do swego pokoju, zerknąłem na rysunek Berezowskiej i na moment zastanowiłem się: „Co, u diaska, niepokoi mnie w nim?” Zasiadłem do stołu nad zebranymi przez Pronobisa dokumentami opactwa sulejowskiego.

„Za rządów żadnego innego opata poza Willermem nie było tak wielkiego wzrostu majątku opactwa. To opat Willerm w 1224 roku znalazł nową sposobność do zaokrąglenia majątku. Rycerz Baldarich-Bałdrzych z powodu ciężkiej potrzeby wynikłej na skutek jego udziału w wyprawach z lat 1222-1223, podejmowanych przez książąt polskich przeciw Prusom, zdecydował się sprzedać swoją wieś.

Opat wykorzystał trudną sytuację rycerza i kupił jego wieś Bałdrzychów nad Nerem za sumę 80 grzywien czystego srebra i 5 denarów erfurckich, zwanych szerokimi. Nabycie wsi przypieczętował przeprowadzając starodawny obrzęd picia wody.”

Radośnie zawołałem:

– Eureka!

Oto w dokumentach opactwa po raz pierwszy natrafiłem na nazwisko Baldarich-Bałdrzych, którego legendarnych skarbów poszukiwała Czarna Milady. Baldarich-Bałdrzych, przez którego być może zginął Herakliusz Pronobis.

– A więc nie opat Bernard związany był z osobą owego Baldaricha-Bałdrzycha, lecz opat Willerm? Legenda z Przeklętnika opowiada, że Baldarich-Bałdrzych został spalony na stosie. Willerm działał w latach dwudziestych XIII stulecia, wówczas jednak nie było inkwizycji. Czarna Milady mówiła Pronobisowi, że jest ostatnią z rodu Bałdrzychów. A więc istniał i ród Bałdrzychów?

Znowu ogarnęły mnie wątpliwości. Znowu nic nie wiedziałem, znowu uciekła mi z ręki nić przewodnia tajemniczej historii z zamierzchłej przeszłości, która nagle brutalnie wdarła się we współczesność, zabiła Pronobisa, a mnie i Natanielowi kazała szukać morderców i przeżywać najdziwniejsze przygody.

Czarna Milady mogłaby chyba podać mi jakąś wskazówkę. Lecz i ona wymknęła mi się z rąk pozostawiając ostrzeżenie „Radzę przestać bawić się w czarnoksiężstwo. To może pana zbyt drogo kosztować”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ŻYCIE JEST RYZYKIEM • PROFESOR ZANN CHCE UCIEC W STRATOSFERĘ • PRZYPOWIEŚĆ MISTRZA NATANIELA • ZNIKNIĘCIE ZWARIOWANEGO ZEGARA

Ponieważ długo w noc próbowałem siłą swego rozumu zmierzyć z tajemnicami Sulejowa i Nieborowa, zasnąłem dopiero, gdy „pierwsze kury zapały”. Obudziłem się, a tak naprawdę obudziło mnie pukanie do drzwi, około południa.

– Proszę, proszę! – zawołałem.

Na stole, niczym wyrzut pana Józefa, stała taca z wystygłym śniadaniem, a w drzwiach redaktor naczelny „Horyzontów Filozofii”.

Mierzył mnie przez chwilę ironicznym spojrzeniem, po czym bezceremonialnie a bezszelestnie – jak wszystko co robił – umieścił się w fotelu:

– Nie trzeba tyle myśleć, zwłaszcza w nocy – pokręcił z naganą głową.

Przyjąłem z pokorą tę uwagę bądź co bądź specjalisty od myślenia.

– No i jak, proszę pana? – przyjrzał się swoim paznokciom. – Namyslił się pan? Zdemaskujemy malarza?

Teraz ja obejrzałem swój manikiur:

– A czy to się uda?

Ziewnął.

– Nie. Ale mielibyśmy wspaniałą zabawę. Nudno tu i smutno. Nawet nie ma z kim zagrać w pokera!

„Filozoficzny poker? To ciekawe...” – pomyślałem.

– A Zann i Grzegorzycyk?

Pogardliwie wydał wargi:

– To golcy, bez pieniędzy wyprężył się w swym wytartym nieco garniturze. – Drogi panie, poker to hazard, a hazard wymaga pieniędzy. Zann i Grzegorzycyk nadają się najwyżej do „tysiąca”, ale nie do poważnej gry z dreszczykiem emocji! – tu małe oczy niespodziewanie

zabłyśły.

– Czyż nasze życie, samo w sobie, nie jest wystarczającą emocją? – wtrąciłem.

– Ech, życie! – zaśmiał się. – Tu ma pan rację! To dopiero hazard! – wykrzyknął z tak głębokim przekonaniem, że aż mnie zdziwiło.

„Czyżby naprawdę spokojny na pozór byt filozofa tak pełen był ryzyka?”

– A wracając do pieniędzy – ciągnął – to czy nie uważa pan za smutne, że w naszych czasach intelektualiści obywają się bez grosza? Chyba, że umieją służyć. Ma rację Borówko: trzeba się czołgać, żeby do czegoś dojść.

– A panu jak się powodzi? – zapytałem możliwie delikatnie.

– Różnie. Przeróżnie. Jak to... – zawiesił głos – filozofom – wybuchnął niespodziewanym śmiechem. – Ale przynajmniej nie muszę się czołgać! – śmiał się nadal.

– Moje gratulacje!

– A dziękuję, dziękuję!

Śmiejąc się wciąż wstał z fotela.

– A co do Borówko, to niech się pan jeszcze na myśli! – skłonił się i wyszedł.

„Czy nie zanadto czepiamy się wszyscy malarza?” – przyszło mi na myśl...

Na obiad zszedłem starannie ogolony i odświeżony gorącą kąpielą. Na twarz przywołałem wyraz chłodnej obojętności, nie chciałem bowiem, aby ktokolwiek domyślił się problemów, które mnie nurtowały.

Dostrzegłem Katarzynę Rokoko, piękną jak nigdy dotąd, ubraną w błękitną suknię.

– Jest pani błękitna jak Anna Orzelska – rzekłem całując długo dłoń aktorki.

– Brawo! Mój uczeń czyni postępy – oświadczył dumnie mistrz Nataniel.

Niezbyt w smak mi było takie głośne nazwanie mnie uczniem, ale... niech tam!

– Raczej... podstępny, mistrzu – roześmiała się Katarzyna Rokoko.

Borówko obrzucił ją roztargnionym, ale ponurym spojrzeniem.

– Piękne kobiety wychodzą dziś w mody – parsknął wzgardliwie. – Nie malujemy pięknych kobiet. Nie malujemy pięknych pejzaży.

– No, oczywiście – wtrąciła się Pani z Wydawnictwa. – Piękne kobiety zdobywali jedynie ludzie z grubszą gotówką.

– A tak, tak, madame – przyświadczył Nataniel. – Piękne kobiety są dla ludzi bez wyobraźni, co podkreślano niejednokrotnie. Byłem zawsze człowiekiem bez wyobraźni – zakończył skromnie, jak na mistrza przystało.

Zann uderzył ręką w stół:

– Wybaczcie państwo, ale nic nie rozumiem! W takim razie po co pisze się tyle o potrzebie piękna? Ależ to kpiny, proszę państwa! – denerwował się. – Mój przyjaciel fizyk rzekł na pewnym zebraniu: „Nie będę budował akcelaratora atomowego w kraju, który nie potrafi wyhodować odpowiedniej ilości świń”. I postanowił wraz ze mną skonstruować balon,

na którym ulecimy obydwaj w stratosferę...

– Tatusiu! – krzyknęła przestraszona Stokrotka.

– A tak. Polecimy i niech nas potem gonia! Przysłali mi tu do Nieborowa trzymotowy podręcznik matematyki. Mam go zrecenzować. Ale nie recenzuję! Tylko zabiorę do balonu. W stratosferze podrę! Podrę, podrę na molekuly!

Nataniel łagodził gniew profesora:

– Nie na tym polega główne zło, że nie umiemy wyhodować odpowiedniej ilości świń, lecz na tym, że nie potrafimy tego uzasadnić w sposób naukowy!

– Tra-ta-ta, proszę państwa, dziś w nocy spadnie śnieg – powiedział uspokojony profesor, czym zdecydowanie zmroził tak pogodną atmosferę obiadu. Wszyscy bowiem pomyśleliśmy: „Czyżby profesor wróżył nową kradzież?” I przypomnienie, że wśród nas jest złodziej spadło na nas jak brzemień...

– Proszę państwa, zgodnie z tradycją czwartkowych obiadów – a dziś mamy czwartek – zapraszam wszystkich do biblioteki, gdzie przy rozpalonym kominku zostanie za chwilę podana czarna kawa i będziemy mogli mówić o sztuce... Myślę, że stanę się wyrazicielem życzeń ogółu państwa, jeśli zaproszę mistrza Nataniela, aby podzielił się z nami swymi uwagami na temat pięknej sztuki pisania... – odezwał się kustosz, próbując ratować nastrój.

Zaklaskaliśmy – bo tak wypadło.

– Ach! – oświadczyła Eleonora z Kraszewskich. Po czym rzekła do męża:

– W następnym czwartek ty zaaranżujesz spotkanie!

Pani z Wydawnictwa zajęła fotel przy kominku, na drugim fotelu umieścił się mistrz Nataniel. Redaktor Krupa odpędził od szacownych globusów Joannę Dark, która stuknęła w niego ostrym i długim paznokciem. Był na tyle dbały o nieborowskie zabytki, że wyrwał z notesu kartkę i napisał na niej: „Nie dotykać eksponatów.” Karteczkę tę umieścił na jednym z globusów. Zdziwiła go nieco owa troska. Na krzesłach przy ogromnym stole usiedli: prozaik Niemek i jego żona, Eleonora z Kraszewskich, kustosz, Kostia i malarz Borówko. Komisarz Kolec obserwował nas z ławki pod oknami, gdzie również usadowili się profesor i Stokrotka.

Mistrz Nataniel splótł palce i powiódł po nas wzrokiem:

– Chciałbym opowiedzieć państwu dziś przypowieść o sztuce niestawiania kropki nad „i”.

– Prosimy, prosimy! – gorąco i szczerze zachęcał Nataniela Grzegorz, w czym mu dzielnie sekundował.

Mistrz powoli dopił swej kawy.

– W pewnym wielkim mieście żył Poważny Prozaik, który za wszelką cenę starał się pozostać w pamięci potomności. W tym celu wybrał największą i najwyższą kamienicę, wokół niej zbudował rusztowanie, po czym wdrapał się na nie z kubelkiem farby i pędzlem, i na ścianie wysokiej kamienicy napisał Wiekopomne Słowo, które miało mu przynieść sławę także u przyszłych pokoleń. Gdy rusztowanie było już rozebrane, a Wiekopomne Słowo

widniało z daleka. Poważny Prozaik przystanął skromnie na ulicy obserwując, jakie wrażenie czyni ono na współczesnych. I oto przechodziło ulicą dwóch modrych ludzi; obydwaj popatrzyli na ścianę kamienicy, odczytali Wiekopomne Słowo, rozrzewnili się i popłakawszy odeszli smutni. Potem u podnóża kamienicy przeszło sto tysięcy głupców, a co który z nich spojrzął na Wiekopomne Słowo, to wzruszał ramionami... Zmartwiło to Poważnego Prozaika, albowiem dobrze jest być cenionym przez mądrych, ale jeszcze lepiej jest być również cenionym przez głupców, ci zazwyczaj bowiem najczęściej mają do gadania. Po pewnym więc namyśle Poważny Prozaik doszedł do wniosku, iż Wiekopomne Słowo ma zasadniczy brak decydujący o tym, że głupcy nie są w stanie go właściwie odczytać, a mianowicie – brakuje kropki nad „i”, co czyni Wiekopomne Słowo niezrozumiałym. Niestety Poważny Prozaik nie miał pieniędzy, ani dosyć energii, aby ponownie zbudować rusztowanie wokół wysokiej kamienicy. Wypożyczył tylko długą drabinę, oparł ją o kamienicę i począł wdrapywać się wysoko z kubelkiem farby i pędzlem. Lecz spadł i zabił się... Taka jest przypowieść o sztuce niestawiania kropki nad „i.”

Milczeliśmy zaskoczeni przypowieścią mistrza. Tylko Joanna Dark wyrwała się nieopatrnie:

– Mistrzu, czy można wiedzieć, jak brzmiało Wiekopomne Słowo?

– Sztuka – odparł Nataniel.

– Sztuka? Ależ słowo „sztuka” nie ma nic wspólnego z „i”, a tym bardziej z kropką nad „i”! – zawołała zrozpaczona Joanna.

– Oczywiście. Prawdziwa sztuka nie ma nic wspólnego nie tylko z „i”, ale nawet z kropką nad „i”, co jest morałem niniejszej przypowieści – wyjaśnił dobrotliwie Nataniel. – Zresztą, morał przypowieści jest wieloraki: jeśli chcesz przekazać potomności Wiekopomne Słowo, nie maluj go aż tak wysoko; licz się z opinią mądrych, a nie głupich...

Zabrał głos oficer policji:

– Przypowieść ta jest wzięta z prawdziwego życia. Sam byłem w ubiegłym roku świadkiem, że kiedy na gmachu naszej komendy zakładano okolicznościowe dekoracje, pewien malarz także popełnił błąd w jednym z Ważnych Słów, a rusztowania były już rozebrane. Wszedł więc po drabinie, spadł, a choć się nie zabił, to jednak złamał sobie nogę i podstawę czaszki.

– O, to prawda! W literaturze ostatnio dużo mamy złamanych rąk, nóg, kręgosłupów i podstaw czaszki – uzupełnił komisarza Nataniel.

Wtem odezwał się stojący na kominku szafkowy zegar francuski z XVIII wieku. Był prześliznięty roboty, przystrojony wdzięczną złotą dekoracją. Pod tarczą widniał ozdobny napis „J. Godde a Paris”. Wydzwaniał godziny muzykalnie i delikatnie, jakby w swym wnętrzu ukrywał małe złote dzwoneczki lub jakby ktoś dotykał strun klawesynu.

– Dwanaście – zliczył uderzenia mistrz Nataniel i zdziwiony zerknął na przegub ręki. Jego wodoszczelna, antymagnetyczna i nieczuła na wstrząsy omega wskazywała dopiero

czwartą.

Kustosz próbował wytłumaczyć omyłkę zegara:

– Godziny i minuty wskazuje poprawnie, tylko dzwoni kiedy chce. Starowina zdziwaczał. Jest jedynym zegarem tego typu w całym pałacu, więc go co dzień nakręcam. Trzeba być wyrozumiałym dla jego słabostek.

– Ale też i należy o niego bardzo dbać – rzekł dobrotliwie Nataniel. – Za granicą antyki znacznie podrożały. Marzyłem, aby takim zegarem przyozdobić swój salon Ale za chudą mam kiesę.

– Stare zegary były bohaterami niejednej dobrej powieści – powiedział w zamyśleniu Niemek.

– I niejednej kradzieży, która bardzo się opłaciła temu, co wpadł na jej pomysł! – dodał zamyślony filozof.

I tak prysnął nastrój czwartkowego wieczoru...

Rozeszliśmy się do swych pokoi czy też może po całym pałacu, jakby uciekając jedni przed drugimi.

Ale przecież znów musieliśmy się spotkać. Na kolacji...

Póki co szukałem ratunku w pracy, choćby miało nią być jedynie porządkowanie notatek. „Życie jest hazardem!” – przypomniałem sobie opinię naszego nieborowskiego filozofa. Jakże wiele potwierdzeń tego hasła znajdowałem w opisie działalności opatów sulejowskich. Jednocześnie coraz wyraźniej widziałem cel, ku któremu zdążając podejmowali to ryzyko. I nieco smutno mi się zrobiło, że rozmawiając z Krupą o hazardzie nie zapytałem go o cel ryzyka wyżej stojący niż pieniądze. Toteż z ulgą usłyszałem gong wzywający na kolację.

Zajęliśmy miejsca za stołem z tak poważnymi minami, że wydawało się, iż zbiera się kolejna konferencja międzynarodowa, poświęcona jakiemuś ważkiemu problemowi. Nic więc dziwnego, że kolacja zaczęła się niezbyt ciekawie, chociaż profesor, który, jak sam to przyznał, wsłuchiwał się w trzaskanie starych mebli w swoim pokoju, próbował wzbudzić zainteresowanie zebranych sprawą istnienia duchów:

– Lata studiowałem w Anglii i Szkocji... Proszę mi wierzyć, że tam nie ma szanującego się zamku, pałacu czy też nawet starego domostwa bez równie szanującego się i szanowanego ducha! A u nas? Cóż u nas?! Nawet w tej dziedzinie pozostajemy daleko w tyle za krajami Zachodu...

– Gada pan – wtrącił z wrodzoną sobie delikatnością Borówko. – Wschód też ma swoje duchy! Kiedyś w Rosji spotkałem takiego ducha, że... ech!

– Duch, czyli po łacinie spiritus... – dał się słyszeć sceniczny szept Katarzyny Rokoko, budząc ogólną wesołość.

Profesor skinął jej w podzięcie głową, a biedny malarz „stulił uszy po sobie”.

– Rozejrzyjmy się choćby po naszym Nieborowie... – kontynuował Zann. – Chyba

przyznają mi państwo rację, że piękniejszego pałacu długo by szukać w Europie, a gdzie jest jego duch? Pytam...

– Chodzi panu, profesorze, o ducha jako zjawę czy jako inspirację, ideę twórczą? – spytał Kolec, chyba nie bez złośliwości.

– Wszystko zabrali Radziwiłłowie – próbował odciąć się w imieniu nas wszystkich Kostia.

Mistrz Nataniel zrezygnował z niebezpiecznych rejonów, ku którym zepchnął rozmowę policjant. Ba, zaatakował go nawet!

– A czy pan, komisarzu, mniema, że ostatnie kradzieże są dziełem ducha obojętnie jak pojmwanego?

– Nie mniemam – oficer spokojnie otarł usta serwetką.

Redaktor „Horyzontów Filozofii” zachichotał przypochlebnie. Tymczasem policjant, widząc kustosza dającego mu znaki ręką od progu, wstał z krzesła, uklonił się wszystkim i wyszedł z jadalni.

– A jednak jakiś duch by nam się przydał – westchnęła Pani z Wydawnictwa – i w Nieborowie, i tak w ogóle...

– Od przybytku głowa nie boli – mruknął Borówko.

Natomiast Joanna Dark oświadczyła może niezbyt z sensem, ale za to z głębokim przekonaniem:

– Duchy nie kradną!

To wywołało nowy chichot pana Krupy i replikę Katarzyny Rokoko:

– Nie byłabym tego taka pewna, jeśli chodzi o mienie państwowe. Nikt nie szanuje go za życia... Być może odbija się to również w Polaków życiu „po tamtej stronie”...

Właśnie miałem odpowiedzieć aktorce, gdy do jadalni powrócili policjant i kustosz. Stanęli obok stołu i w milczeniu patrzyli na nas. Długo i ciężko.

Wzrok ich przesuwiał się z jednej osoby na drugą... A ta, na której spoczął, odkładała na bok łyżeczkę, kromkę chleba z powidłami, stawiała na spodku filiżankę...

– Z biblioteki zniknął zegar – powiedział wreszcie kustosz tonem jakby intonował requiem.

– Ten... ten pomyłony?! – jęknęła Joanna Dark.

– Pomyłony, ale i cenny – odpowiedział Kolec.

– Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom... – zaczął Niemek, ale szturchnięcie łokciem, jakim poczęstowała go żona, Eleonora z Kraszewskich, odebrało mu głos. A tymczasem nasz filozof wciąż się uśmiechał.

– Jak tak dalej pójdzie, to z pałacu zostaną gołe mury – oświadczył nie bez satysfakcji Borówko.

Profesor Zann krzyknął:

– Co za kraj! Tra-ta-ta!...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I ZNÓW PRZESŁUCHANIA • KTO MÓWI PRAWDĘ • ZOSTAJĘ NAPIĘTNOWANY • WYBUCH KOMISARZA • DUCH ZEGARA

Nie minęło wiele czasu od tak nieszczęśliwie zakończonej kolacji, gdy wszyscy zgromadziliśmy się w palarni. Każdy wiercił się, poprawiał w swym fotelu, jakby nagle te sympatyczne meble stały się wyjątkowo niewygodne.

– Co pan (pani) robił (robiła) między godziną szesnastą a osiemną, czyli od czasu zakończenia spotkania czwartkowego do kolacji? Kiedy ostatni raz był (była) pan (pani) w bibliotece? Kiedy po raz ostatni widział (widziała) pan (pani) zegar na bibliotecznym kominku? – oto zestaw pytań, przygotowany przez komisarza Kolca, na które musieliśmy odpowiedzieć.

Czekał już na nas mikrofon kieszonkowego magnetofonu.

– Ciekawe, ile taśm ten pan przygotował – mruknął Kostia, ale tak cicho, że słyszeli go tylko najbliżej siedzący.

Komisarz powiódł po zebranych zachęcającym wzrokiem...

– To może ja pierwszy?! – podejrzanie ochoczo zgłosił się Borówko. – Chcę mieć to po prostu z głowy!

Oficer zwrócił mikrofon w jego stronę. Malarz chrząknął:

– Hm, wyszedłem z biblioteki chyba kilka minut po szesnastej, jak zaczęło się robić straszliwie nudno. Zresztą i inni też zaczęli się rozłazić. Z biblioteki poszedłem do siebie, no bo dokąd miałem iść? I przespałem cały czas do kolacji. Obudził mnie dopiero gong. A że poczułem się głodny jak diabli, więc w te pędy do jadalni. I wszystko!

– Tak, tak... – westchnął znacząco filozof.

– Pan chciał coś powiedzieć? – zapytał uprzejmie oficer, zwracając ku niemu mikrofon.

– Nnoo... Coś powiedzieć?... A może to nic ważnego?

– Proszę mówić. Każda uwaga jest cenna.

Krupa zatarł dłonie ruchem, który już kilkakrotnie widziałem u niego i przyznam, że

niezbyt mi się podobał.

– Ja... ja, panie komisarzu, dwukrotnie pukałem do drzwi pokoju pana Borówko, pragnąc pożyczyć zapalek, bo wysiadła mi zapalniczka. I ani razu nie było go w pokoju...

– Szpicel! – syknął Borówko, a głośno powiedział:

– Spałem przecież. Mogłem nie słyszeć pukania!

Krupa uśmiechnął się nieśmiało:

– Być może. Być może. Tylko, że... że...

– Niech pan to wreszcie wykrztusi! – ponaglił go oficer.

– ...że drzwi nie były zamknięte i gdy zaglądałem do pokoju, pana Borówko w nim nie było – sucho stwierdził ponaglany redaktor „Horyzontów Filozofii”.

– Od kiedy to zagłądanie do cudzych pokoi nazywa się pukaniem? – zapytał mistrz Nataniel wiszący naprzeciw niego obraz.

Wraz z panią Rokoko wyręczyliśmy dzieło w odpowiedzi śmiechem, który ściągnął na nas złe spojrzenie policjanta.

– Czy może pan określić, w jakim mniej więcej czasie pukał pan do pokoju mistrza Borówko? – tym „mistrzem” zemścił się Kolec na Natanielu.

– Niestety. Nie patrzyłem na zegarek. Gdybym wiedział, jakie to może mieć znaczenie... – westchnął filozof.

Porucznik wycelował, niczym lufę służbowego P-64, mikrofon w malarza:

– Tak więc, panie Borówko, gdzie pan był naprawdę między godziną szesnastą a osiemnastą? Chciałbym tylko ostrzec, że mijając się nadal z prawdą może pan rozstać się z wolnością... – uśmiechnął się mile śledczy.

– Gdzie byłem, tam byłem! Nie powiem. Nie ja ukradłem te wasze zakichane dzieła sztuki! Kicham na nie! Kichani, słyszycie?! A psik! – rozkrzyczał się mistrz pędzla.

– Co za wulgarna scena! – rzekł z odrazą mistrz Nataniel.

– Pan Borówko był u mnie w pokoju. Przez cały czas. Od „wieczoru czwartkowego” do kolacji – wyznała nagle Pani z Wydawnictwa unosząc się w fotelu. – Rozmawialiśmy – dodała, jakby pragnąc rozproszyć wątpliwości co do celu wizyty malarza u niej.

Jednak policjant wąpił:

– Na pewno?

– Na pewno! – odparła z mocą kobiety, która dla ukochanego człowieka gotowa jest ponieść najcięższą ofiarę.

– Czy ktoś może potwierdzić pani słowa? – nie rezygnował komisarz.

– Niestety. Nikt do mnie nie pukał – zaakcentowała ostatnie słowo, obdarzając jednocześnie filozofa spojrzeniem, jakim zwykliśmy traktować muchę w zupie.

Zapadła cisza.

Wreszcie profesor Zann odezwał się nieśmiało:

– Pan Tomasz może być świadkiem, że o szesnastej opuściliśmy z córką bibliotekę. Przez

cały czas do kolacji ani mi sekundę nie wyszedłem ze swego pokoju. Do siedemnastej lub do około siedemnastej grałem z córką w szachy, a potem aż do gongu czytałem sobie dla rozrywki podręcznik matematyki. Córka moja, o ile zauważyłem – zaśmiał się sarkastycznie – również nie oddaliła się z pokoju.

Stokrotka:

– Tak. Czytałam. Cały czas czytałem *Opowiadania* Saroyana. O, mam tę książkę przy sobie, bo zesłałam z nią na dół, spodziewając się, że jak zwykle wszyscy będą się długo zbierać w palarni i zdążę przeczytać jeszcze kilka kartek.

Eleonora z Kraszewskich:

– Mąż mój pisał od szesnastej piętnaście aż do gongu.

– Mąż powie w imieniu własnym. Mnie zaś interesuje, co pani robiła? – zwrócił jej uwagę policjant.

– Ja? – zdziwiła się Eleonora. – A co ja mogłam robić? Oczywiście pilnowałam, aby pracował.

– Przez cały czas?

– Naturalnie. Krokiem się nie ruszyłam z pokoju.

– Hmm – nieśmiało chrząknęła Stokrotka.

– Pani chciała coś powiedzieć? – zapytał ją uprzejmie policjant. – Proszę mówić, każda uwaga może być niezwykle cenna dla śledztwa.

– Było to chyba na pół godziny przed kolacją. Zauważyłam, jak pani Eleonora opuściła swój pokój, na czubkach palców przebiegła hol aż do drzwi pokoju pana Tomasza. A potem...

– Stokrotka zachichotała – zajrzała do jego pokoju przez dziurkę od klucza.

– Och! – wybuchnęła pani Eleonora.

– Fiuuu – gwizdnął Grzegorz.

– Na Boga, dziecino! – zdziwił się prozaik Niemek.

– Acha! – zawołał znacząco mistrz Nataniel.

Stokrotka znowu zachichotała:

– Pani Eleonora chciała wypatrzeć, czy w pokoju pana Tomasza nie ma pani... Katarzyny Rokoko – Stokrotka zarumieniła się.

– Acha! Teraz już wszystko rozumiem – powiedział ironicznie Kostia.

– Przepraszam, co pan rozumie? – zwrócił się do niego oficer.

– Nic, nic, nic takiego. Tak sobie tylko powiedziałem – wykręcał się Kostia.

– A może pan rozumie więcej, niż się panu wydaje? Proszę nam powiedzieć.

– Nie. Rozumiem tyle, ile mi się wydaje.

Policjant sięgnął ręką do kolan Stokrotki i wyjął książkę z jej dłoni.

– Hmm – tym razem to on chrząknął znacząco.

– Słucham pana – rzekła niepewnie dziewczyna.

– Ta książka ma posklejane kartki, jakby prosto spod prasy. Pani jej wcale nie czytała. To

pierwsze kłamstwo. Twierdziła pani również, że nie wychodziła ze swego pokoju. Więc jakim cudem zauważyła pani osobę zaglądnącą przez dziurkę od klucza? – Kolec był bezlitosny.

W oczach Stokrotki zjawiły się łzy. „Trzy są zbroje niewiasty: słowa, piękność i płacz” – przypomniałem sobie nauki Nataniela.

– Ja... ja... na chwileczkę wybiegłam... do toalety – wyjąkała.

– Nie tylko – surowo zwrócił jej uwagę kustosz. – Wszak około siedemnastej trzydzieści wyminęliśmy się na parterze koło szatni.

– Proszę pani!... – wtrącił oficer surowym głosem, a mnie się wydało, że chciał po prostu powiedzieć: „Dziecko!...”

I to co ja usłyszałem w głosie komisarza, było chyba bliższe prawdy, Stokrotka powiedziała bowiem głosem przerywanym serdecznym łkaniem:

– Pan Tomasz... Pan Tomasz mi się podoba... A on...

I piękna dziewczyna wybiegła z palarni płacząc.

– Wielkie nieba! Wielkie nieba! – załamał ręce profesor i podreptał za córką.

– Każdy sposób jest dobry, by uniknąć przesłuchania! – zaśmiał się Borówko, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Ja byłem naprawdę bez winy za to nagłe okazanie mi uczucia przez Stokrotkę i to w dodatku nagrane przez policyjny magnetofon! A wszyscy czuliśmy, że to zaimprovizowane śledztwo zaczyna okrutnie nas obnażać. W dodatku co to wszystko miało wspólnego z kradzieżą zegara?!

Nagle Joanna Dark także wybuchnęła płaczem i krztusząc się łzami zawołała:

– Pan Tomasz jest ohydny! Uwodziciel! Zawraca dziewczynie głowę, a potem... Wszyscy jesteście tacy sami! Mężczyźni!

– No, no... – pokręcił głową Grzegorzycyk – już druga. Moje gratulacje. Aczkolwiek zawsze przedkładałem jakość nad ilość... – starannie obejrzał Joannę Dark od stóp do głów.

Ta poderwała się z fotela i wyszła z palarni z dumnie podniesioną głową.

– Każdy sposób jest dobry... – zaczął swoje Borówko.

Poczułem, jak oblewa mnie zimny pot.

Komisarz Kolec zaczął mi się przyglądać z dziwną troską.

– Tomaszu! – rzekł głucho mistrz Nataniel. A był w jego głosie cały bezmiar wielkiego zdziwienia i potępienia. Potępienia nie za uwodzenie dziewcząt, bo to i mistrzowi zdarzało się niejednokrotnie, lecz za to, że udawałem przed nim niezaradnego wobec kobiet; byłem więc obłudnikiem i hipokrytą.

Tak oto w oczach nieborowskiego towarzystwa moja niepozorna postać stała się dziwaczną hybrydą, skrzyżowaniem don Juana i jezuity z *Tajemnic Paryża*.

– A więc, proszę pana? – oczywiście do mnie zwrócił się teraz oficer.

Chciałem krzyknąć: „Jestem niewinny!”, ale potulnie odpowiedziałem:

– Pracowałem w swym pokoju. Aż do gongu... Może ktoś z państwa pukał do mnie, aby

pożyczyć zapalek? Może ktoś jeszcze zaglądał do mnie przez dziurkę od klucza? Jeśli tak, to chyba te osoby poświadczą, że rzeczywiście pracowałem – ironizowałem.

Mistrz Nataniel wyjaśnił:

– Ja najdłużej przebywałem w bibliotece. Tu czasem dobrze mi się myśli... Spędziłem tam czas samotnie aż do godziny, pamiętam dokładnie, za pięć osiemnasta. Gdy zaś spostrzegłem, że zaledwie krótka chwila dzieli mnie od kolacji, szybko powędrowałem na parter do swego pokoju, aby się przebrać do wieczornego posiłku. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że wtedy zegar stał na kominku...

– Kolację rozpoczęliśmy dziś wyjątkowo punktualnie – stwierdził oficer – dokładnie w pięć minut po gongu. Pięć minuty po osiemnastej wszyscy państwo siedzieli wraz ze mną przy stole. Jeśli założyć, że ten piękny zegar przywłaszczony został przez kogoś z was, to ten ktoś musiał tego dokonać w czasie dziesięciu minut, między siedemnastą pięćdziesiąt pięć a osiemnastą pięć. No, dziesięć minut – rozmyślał głośno oficer – to okres wystarczająco długi, aby zdjąć zegar z kominka i wsadzić go sobie pod pachę. Jeśli jeszcze złodziej ma współnika i ten czekał pod drzwiami pałacu... Rzecz jednak w tym, że od siedemnastej trzydzieści aż do kolacji gawędziłem z personelem w kuchni pałacowej, a był przy tym także pan kustosz.

– Właśnie szedłem do pana, gdy w sieni spotkałem Stokrotkę – wyjaśnił kustosz.

– I rzecz w tym – rozmyślał dalej policjant – że rozmawiając z personelem miałem na oku frontowe drzwi. Drzwi zaś od ogrodu są zamknięte, a klucz od nich mam od wczoraj w kieszeni.

– Pomija pan zupełnie możliwość, że kradzież nastąpiła w momencie, gdy siedzieliśmy już przy kolacji – rzekł mistrz Nataniel. – A wówczas my jesteśmy poza wszelkimi podejrzeniami.

Ale ta możliwość właściwie odpadała. Kradzież została bowiem ujawniona o godzinie osiemnastej piętnaście, w dziesięć minut od rozpoczęcia kolacji. Dziewczęta kuchenne przebywały w kuchni, a wraz z nimi byli Walenty i Józef. Kuchnia przylega do jadalni i drzwi z kuchni do jadalni były otwarte przez krótki czas nakrywania do stołu. Ci z kuchni widzieli dokładnie nakrywających do stołu i odwrotnie. Nikt z personelu nie oddalił się ani na krok poza obręb kuchni i jadalni. Potem w czasie kolacji około osiemnastej piętnaście, na prośbę jednej z dziewcząt kuchennych, Walenty i Józef poszli do biblioteki, aby przynieść brudne filiżanki. Zauważyli brak zegara i natychmiast przybiegli do kuchni zawiadamiając o kradzieży i wywołując z jadalni kustosza.

– Pozostają trzy ewentualności – powiedział policjant. – Jeśli przyjąć, że kradzieży dokonał ktoś z państwa, to mógł to zrobić jedynie między siedemnastą pięćdziesiąt pięć a osiemnastą pięć. W ciągu dziesięciu minut. Jeśli złodziejem jest ktoś z personelu, to miał czas od osiemnastej pięć do osiemnastej piętnaście. Również dziesięć minut. Trzecia ewentualność: zegar ukradł ktoś, o którego bytności w tym pięknym gmachu nie wiemy. Ale i on miał do wyboru te dwa razy po dziesięć minut!

– Duch Nieborowa. Radziwiłł. Od dawna go o to podejrzewam! – zaśmiał się Kostia.

Wtedy komisarz Kolec niespodziewanie wybuchnął:

– I co ja mam z tym wszystkim i z wami robić?! Skąd ściagnę ekipę po nocy? Kto mi ją da dla głupiego zegara?! A może przyślą pluton mundurowych, żebym miał kim obstarwić pałac, zanim go przeszukam? Przeszukam po raz trzeci!

Wydał mi się sympatyczny w swej gniewnej rozpacz. Ale milczałem jak inni.

– Przepraszam – powiedział po chwili Kolec, ocierając czoło. – Ale naprawdę mam dosyć tych tajemniczych zniknięć przesładowujących pałac. Nawet mnie, gdy byłem tu jeszcze z nadkomisarzem Parzydełko, zniknęło głupie szkiełko od zegarka...

– Czy to pańska własność? – Nataniel sięgnął do kieszonki kamizelki i wydobyl szkiełko.

– O tak, tak! Dziękuję serdecznie! – rozchmurzył się nieco oficer. – Mam stary, nietypowy czasomierz i zawsze, jak coś z nim się stanie, to mam kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego szkiełka...

Podzieliliśmy radość policjanta z odzyskanej zguby, ale wszyscy, chyba wraz z nim samym, mieliśmy świadomość, że dotychczasowe śledztwo nic nie dało.

Jedno było pewne: złodziej jest mieszkańcem pałacu lub przynajmniej jego współnikiem.

Oj, niemiło nam było, niemiło, gdy rozchodziliśmy się do swych pokoi. Ręczę, że każdego, a przynajmniej większość z nas, trapiła myśl: „Co też zginie dzisiejszej nocy?”

Pożegnałem się z dziwnie oziębłym Natanielem. Ale darowałem mu ten chłód, pomny na zaskakujące wyznanie Stokrotki. Niby dlaczego to mistrzowie mieliby być wolni od zazdrości?

Zapaliłem lampę na stole w moim pokoju i zasiadłem, jak sobie obiecałem solennie, do pracy przerwanej kolacją i przesłuchaniem. Wzrok jednak umknął mi znad kart papieru ku rysunkowi Berezowskiej, na którym rozparty globus zdawał się kpić z moich wysiłków rozszyfrowania sulejowsko-nieborowskich zagadek: „Spójrz na mnie, przyjrzyj się dokładnie... Czyż nie jestem Ziemią?”

Wspomniałem Trzech Urwisów, którzy tak by się teraz, nocą, w Nieborowie przydali! Następnie przypomniałem sobie sukcesy w walce ze złodziejami dzieł sztuki – samochwalczo może, ale skutecznie, bo zaraz zrobiło mi się cieplej na sercu. A gdy jeszcze doszła do tego świadomość, że jest tu ze mną zbrojny w swój niepospolity umysł mistrz Nataniel, poczułem się spokojny, jakby to nie mnie posądzano przed kilkoma godzinami o uwodzenie niewinnych pańek i jakbym nie ja był jednym z kilku podejrzanych o kradzieżę w nieborowskim pałacu.

O Czarnej Milady starałam się nie myśleć, co mi się nawet udawało. Wspomniałem ciepło profesora Pronobisa. A tajemniczy kusznik? Ee! Rację miał Nataniel mówiąc, że gdy się ma nowoczesną kuszę z laserowym celownikiem, to nie pudłuje się strzelając przez wąską uliczkę! Chyba, że strzelec jest ostatnim patałachem. Ale w takim razie po co wydawałby kupę forsy na tak drogi sprzęt? Byle zbiry za parę groszy załatwiłyby mnie na amen! A potem

podrzucenie bełtu od kuszy na stół? Jasne, że chodzi o przestraszenie mnie. Ale to się nie uda!

I tak rozmyślałem, aż przyszła pora, żeby powiedzieć sobie samemu prawdę:

– Tomaszu! Siedzisz tu i udajesz zamyślonego, bo czekasz północy. Najwyraźniej masz ochotę na spotkanie z nieborowskim duchem! A kiedyż go szukać, jak nie z wybiciem dwunastej? Mnicha to czy świeckiego człowieka dusza, ale... Jarek jest zbyt mądrym i trzeźwo myślącym chłopakiem, żeby przestraszyć się byle cienia! Zresztą nie przestraszył się, a tylko spostrzegł podobieństwo zjawy do oszusta z Sulejowa.

Jednym słowem: duch czy nie duch, warto sprawdzić, kto nocą lubi wędrować pałacowymi korytarzami!

Zbliżała się północ. Cichutko otworzyłem drzwi i wymknąłem się na korytarz...

Powoli, starając się stąpać jak najciszej, ruszyłem przed siebie w nikłym świetle nocnych lamp. Pożałowałem nawet, że nie mam latarki, która mogłaby się przydać przy penetracji pałacowych zakamarków. Jedne po drugich mijałem drzwi pokoi, zza których nie dobiegał żaden głos...

O, przepraszam, gdy doszedłem do pokoju Grzegorzycy usłyszałem wyraźne chrapanie. Przygotowany na spotkanie z wysłannikiem zaświatów lub gotowym na wszystko przestępcą, uśmiechnąłem się tylko...

Nagle w załomku korytarza prowadzącym ku schodom dostrzegłem cień mniszego kaptura!

Ech, żebym wtedy dalej się skradał! Ale ja popędziłem, nie zwracając uwagi na stukot moich butów.

Mnich zniknął.

Szukałem to tu, to tam; zaglądałem za firany i kotary. Próbowałem, czy drzwi od jadalni i palarni są zamknięte. Podbiegłem do drzwi biblioteki i wtedy...

I wtedy usłyszałem z niej melodyjne dzwonienie...

Zaginiony zegar oznajmiał północ!

Stanałem jak wryty.

– Nie, to może inny... – wyszeptałem zdezorientowany.

Ale nie można było się pomylić. To ten jedyny, zwariowany! Zadzwoił jeszcze dwa razy i zamilkł.

Skoczyłem do drzwi. O dziwo, były otwarte! Wpadłem do biblioteki, namacałem kontakt...

Światło zalało salę. Miejsce zegara na kominku było puste... I nigdzie zegara nie znalazłem, chociaż szukałem i pod stolikami, i pod fotelami. Zajrzałem w głąb kominka i za szafy. Nie dostrzegłem też żadnego śladu, że ktoś był tu przed chwilą. Przez moment pomyślałem o ukrytych drzwiach i podejrzliwie przyglądałem się ścianom. Ale czy ktoś wchodziłby nocą przez tajne drzwi do biblioteki tylko po to, by stary zegar mógł oddzwonić pomoc na swym ulubionym miejscu?

Oczekałem jeszcze chwilę i ze zwieszoną głową poszedłem do siebie. Gdy zamykałem drzwi pokoju, wydawało mi się, że słyszę w zgrzycie zawiasów echo szatańskiego śmiechu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WPLYW FILOZOFA KRUPY • POD BATUTĄ MISTRZA NATANIELA • BORÓWKO ZWYCIĘZCĄ • SYGNALIZACJA ŚWIETLNA • A WIĘC TO PANI, JOANNO • NOCNE WYZNANIA POLICJANTA

„Jednak filozofia to potęga!” – myślałem, słuchając ponagleń pana Krupy, abyśmy zdemaskowali malarza i wyrażając, choć niechętnie, zgodę na współpracę z redaktorem. O dziwo, bardziej entuzjastycznie odniósł się do zamiarów filozofa mistrz Nataniel, który dotąd nie wydawał się jego sympatykiem. Ale uczynił to – jak sam przyznał – z powodów podobnych do tych, które głównie kierowały naczelnym „Horyzontów Filozofii” – po prostu zmęczyła go twórcza praca i zaczynał się nudzić w nieborowskim pałacu. Swój udział w akcji „Malarz” posunął nawet do tego, że podjął się skonstruowania mistrzowskiego – jak na niego przystało – planu demaskacji fałszywca.

Tak więc, gdy Borówko swoim zwyczajem „oddalił się” z pałacu, mistrz z filozofem zgromadzili nas w palarni:

– Drodzy współtowarzysze niedoli nieborowskiej – nakłaniał nas mistrz do swego planu – jeśli nie przyczynimy się do wykrycia złodzieja, w najlepszym razie przylgnie do nas już na wieki podejrzenie, że maczaliśmy palce w kradzieży dzieł sztuki. Dalibóg, Poważny Prozaiku – wyciągnął ręce ku Niemkowi – miej na względzie historię literatury, w której zajmiesz poczesne miejsce! Nie wolno dopuścić, aby w świetlanej przyszłości jakiś niedouczony bubek wywęszył historię naszego pobytu w Nieborowie, gdzie wówczas ginęły wspaniałe dzieła sztuki i gdzie być może, Poważny Prozaik... I tu bubek postawi trzy kropki, czyniąc wieloznaczącą pauzę.

Uzasadniając w podobny sposób potrzebę zdemaskowania malarza mistrz Nataniel do tego stopnia rozpałił naszą wyobraźnię wizją potwornych i wyszukanych tortur, jakim ulec winien Borówko, że przyrzekliśmy mistrzowi ślepe posłuszeństwo i oddaliśmy na jego usługi nasze intelektualne zdolności, co wyraziło się w skomponowaniu następującego utworu:

**POD BATUTĄ MISTRZA NATANIELA
AKT ZDEMASKOWANIA MALARZA BORÓWKO
W FORMIE SONATY MAJOROWEJ G-DUR**

CZEŚĆ PIERWSZA (allegro sciolto):

I. Ekspozycja. Sprowadzenie malarza Borówko możliwie w drodze perswazji – do palarni i usadzenie go w skórzanym fotelu.

II. Część modulacyjna. Uprzejme prośby w tonacji G-dur, skierowane do malarza Borówko, aby dobrowolnie pokazał swe malunki.

III. Repryza, czyli powtórzenie. Malarz Borówko udaje się do swego pokoju, a następnie powraca do palarni dźwigając swoje obrazy.

CZEŚĆ DRUGA (andante pomposo):

Temat z wariacjami, polegający na obrzucaniu Borówko garścią wyszukanych epitetów.

CZEŚĆ TRZECIA (scherzo gustoso):

Taniec żartobliwy wokół siedzącego w fotelu Borówko. Nowa porcja epitetów w różnym tonie i w różnym rytmie, a więc: ostinato, feroce, erdito, eroico, odivoto, agitato. Borówko traci ducha i wyznaje, że nie jest malarzem, lecz złodziejem antyków. Przewidziana jest ewentualność jego przyznania się do klasy kapitalistów i obszarników, spokrewnionych z Radziwiłłami – stąd owo skojarzenie Nieborów – Borówko.

CZEŚĆ CZWARTA: Finał w formie rondo.

Ponieważ rondo jest utworem polegającym na kilkakrotnym powtarzaniu się tematu głównego i pochodzi od tańca, podczas którego chór odpowiada soliście, finał będzie zabawny.

Nataniel zawoła (ardente), wskazując na obraz Borówko:

– To ma być obraz? Nie, to skandal. Kimże więc jest Borówko?

Chór tańczący rondo odpowie kilkakrotnie (solmnis):

– Ach, Borówko, przyznaj się do winy.

Temat ten zostaje powtórzony kilka razy.

Kompletnie złamany Borówko pada na kolana prosząc o przebaczenie. Policjant odprowadza go do aresztu, gdzie Borówko przede wszystkim zostanie porządnie ogolony.

PS Na „bis” może wystąpić solo Pani z Wydawnictwa demonstrując

„Akt rozpaczy po malarzu Borówko”.

– Na litość Boską, panowie, czego ode mnie chcecie? – wołał malarz Borówko, strachem i zdziwieniem przygwożdżony do skórzanego fotela.

U stóp jego stał obraz zatytułowany „Ogrodnik w Nieborowie.” Na tle okropnie zielonego pejzażu letniego, w otwartych drzwiach oranżerii tkwił hoży człowieczek z gracą w ręku. Człowieczek ów miał zakasane rękawy koszuli i ukazywał muskuły rąk. Przez szklaną ścianę oranżerii zaglądała do wnętrza bura krowa. Bury i zielony kolor ujadały na siebie jak dwa kundły z różnych wsi.

Skakaliśmy wokół fotela malarza raz po raz dokuczając mu. Ton nadawał mistrz Nataniel, na przemian po włosku i po polsku.

– Spirito! Dowcipnie! Sensibile! Czułe! Ratto! Prędko! Apassionato! Namietnie! Festoso! Uroczyście!...

– Powiedz nam, malarz, gdzie się oddalasz?

Borówko i otarł pot z czoła:

– Trzeba było tak od razu powiedzieć – rzekł bez najmniejszej urazy. – Gdzie się oddalam? Muszę się oddalać, bo obraz wykańczam na letnią wystawę. Ogrodnika maluję. W oranżerii. O, widzicie? – z dumą podniósł do góry swój obraz i zademonstrował go nam.

– Ależ, drogi panie, teraz jest zima! Malujesz pan z natury, a na obrazie lato w całej pełni – nieufnie odniósł się do niego filozof – a poza tym ogrodnik pana nie widział w oranżerii. No i poziom pańskiego malarstwa!...

Borówko beztrząsliwie wzruszył ramionami:

– Ogrodnik nie widział, bo maluję, gdy go nie ma. Rozprasza mnie. Lato czy zima to już kwestia wyobraźni. A co do stylu i poziomu, to czy nie słyszeli państwo o prymitywizmie? Właśnie on mnie obecnie interesuje.

– A te... zielone i bure plamy? – wyjąkał Nataniel.

– Gryzą się? Nie szkodzi. Prekursor jestem – skłonił się skromnie malarz.

– Nie. Pan nie jesteś w ogóle malarzem! Podoszywasz się pan! – tupał nogami profesor Zann.

– Podoszywam się? O, tego to już za wiele! A kto w ubiegłym miesiącu dostał Nagrodę „Złotego Jelenia”? Malarz Picasso czy malarz Borówko? Padam do nóżek, kłaniam się waćpanom...

– Trzeba się czołgać, żeby do czegoś dojść. Ze zwierząt tylko dwa mają własne domki... – mruknął ponuro.

Tak oto Borówko okazał się niewinny, a nam pozostał kac moralny.

Podczas obiadu komisarz zakomunikował nam, że porozumiał się już ze swymi zwierzchnikami. Uwzględniono fakt, że jesteśmy ludźmi o poważnej pozycji w społeczeństwie. Dlatego, chociaż śledztwo nie zostało jeszcze zakończone, mogliśmy odtąd

nie tylko wychodzić z pałacu i spacerować po parku, ale nawet wyjechać, powrócić do domów oraz naszych zadań i obowiązków.

Pierwszy wyraził gotowość wyjazdu z Nieborowa redaktor „Horyzontów Filozofii” i gorliwość ta zupełnie nas nie zdziwiła. Wszak to on był główną sprężyną przeprowadzenia akcji „Malarz”. To on zachęcił Nataniela, a ten z kolei nas wciągnął w tę głupią historię. Wieczorem, w czasie kolacji, z zamiaru wyjazdu zwierzyli się Zann i Niemek. Zarówno Stokrotka, jak i pani Eleonora z Kraszewskich od czasu owej „wsypy” podczas śledztwa nie przychodziły już na posiłki do jadalni, unikały reszty towarzystwa. I te decyzje były więc uzasadnione.

Po kolacji poszliśmy z Natanielem na spacer po nieborowskim parku, w którym pośród starych, pięknych drzew rozlewały się dwa stawy – jeden uregulowany, w kształcie litery „L”, drugi dziki, z małą wysepką, gdzie latem zamieszkiwała para łabędzi.

Noc była mroźna, sucha. Chłód ściał kałuże powstałe z odwilży, ziemię pokrył cieniutki lód. Gdy kroczyliśmy alejką wokół dzikiego stawu kruszył się pod butami, skrzypiał, trzeszczał.

– Jak ci się pracuje nad dziejami opatów sulejowskich? – troskliwie zapytał Nataniel.

Weszliśmy na murowany mostek na jednym z dopływów stawu. Widać stąd było świecące żółto okna pałacu.

– Raz... dwa... trzy... cztery... – liczyłem je z tym samym zadowoleniem, z jakim w dzieciństwie co dzień wieczorem ustalałem liczbę rozjaśnionych okien ogromnej kamienicy obok niewielkiego domku, w którym mieszkałem z rodzicami. Ale nagle urok wspomnień z dzieciństwa prysnął.

– Jedźmy stąd, Natanielu. Jedźmy stąd natychmiast – począłem żarliwie prosić mistrza. – Obrzydł mi Nieborów!

Nim Nataniel zdążył odpowiedzieć, na drugim piętrze pałacu zamrugało ku nam okrągłe okienko ubikacji. Gasło i zapalało się znowu. Chwilami na krótko, to znów na dłużej. Inne okna błyszczały spokojnie i równo.

– Ktoś bawi się kontaktem – powiedziałem.

– Nie czytywałeś powieści sensacyjnych? To sygnalizacja...

– W takim razie tajnym alfabetem. Bo to na pewno nie jest Morse – przypomniałem sobie naszą wymianę sygnałów z Urwisami.

Okienko zniknęło w ciemnościach. O, zabłysło! Zniknęło! Znowu jest! Jest długą chwilę. Ciemno! Świeci jasno i równo. Zgasło! Świeci!

Ruszyliśmy biegiem w stronę pałacu. Nataniel pierwszy, niebaczny na swój wiek, a ja za nim w podskokach. Mistrz sadził długimi susami, ja drobilem na śliskich zelówkach. Okienko zniknęło jak porozumiewawcze oko przykryte powieką. Jakby kpiło sobie z nas.

Ktoś sygnalizował światłem. Kto? Oczywiście – złodziej. Zapewne porozumiewał się ze swym współnikiem ukrytym między drzewami nieborowskiego parku. Jeśli w porę

dopadniemy drzwi ubikacji, złodziej zostanie schwytyany na gorącym uczynku! Nareszcie!

– Prędeż! Prędeż! Prędeż! – sapał biegnący Nataniel.

Ale do pałacu droga daleka, choć pałac tuż za stawem. Staw jednak należało okrążyć, bo łód na nim kruchy, wątyły po odwilży.

– Szybciej! Szybciej! – nawoływał Nataniel.

Łód na kałużach rozpryskiwał się pod naszymi nogami, bryzgała woda i błoto. To nic, to nieważne!

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i teraz okrągłe okienko ubikacji zasłaniał przed naszym wzrokiem mur wieży pałacowej. Od tej chwili nie wiedzieliśmy – błyszczy, mruga czy zgasło?

– Prędeż! Prędeż! – dyszał mistrz.

– Szybciej! Szybciej! – pomrukiwałem porwany jego zapałem.

Uff, przebyliśmy dopiero połowę odległości. Nie dobiegniemy na czas – złodziej spokojnie opuści ubikację!

Jako młodszy od Nataniela wyprzedziłem go. Już odsądziłem się od niego o kilka kroków. Głucho dudniła ścięta chłodem ziemia.

Nareszcie koniec stawu. Skróciłem drogę przebiegając na skos szeroki trawnik. Noga uwięzła mi w kopcu starych liści, potem potknąłem się o pień. Za plecami tętent kroków Nataniela...

Frontowe drzwi do pałacu. Zamknięte! Co za dureń je zamknął? Przecież wiedzieli, że wychodzimy na spacer?

Biłem w drzwi pięściami, gorączkowo naciskałem dzwonek.

– Do diaska, tylko tego brakowało – sapał przy mnie Nataniel.

Spojrzałem na zegarek. Śmiesznie podrygując wskazówka sekundnika przemierzała kółko. Potem drugie.

– Psiakrew! Zwieje nam – i ze złości aż zatupałem.

Od chwili, gdy dojrzelśmy sygnalizację upłynęło co najmniej pięć minut. Jeszcze minuta oczekiwania i Walenty otworzył drzwi. Odepchnąłem go, wpadłem do szatni, z szatni na schody. Na półpiętrze tarasował nam drogę redaktor „Horyzontów Filozofii” schodzący na dół w towarzystwie prozaika Niemka i Stokrotki.

Pochyliłem się i dałem nurka między nich, potrącając ramieniem dziewczynę, która omal nie spadła ze stopni. Na szczęście z drugiej strony potrącił ją Nataniel i w ten sposób Stokrotka odzyskała równowagę.

Dwa ogromne susy i byłem na piętrze. Pięć długich kroków i osiągnąłem drugie piętro. Ślizgając się po wypastowanej posadzce zajechałem pod drzwi ubikacji...

Szarpnąłem klamkę. Zamknięte! Zamknięte na haczyk!

– Otwierać! Otwierać natychmiast! – wrzasnąłem.

Po drugiej stronie drzwi zaszemrał czyjś niewyraźny głos.

– Ooootwieceerać! – ryknąłem.

Milczenie. Cisza... Załomotałem klamką. Nataniel odsunął mnie, przykląkł, zajrzał przez dziurkę od klucza.

Z sąsiedniego pokoju wyszły wywabione naszymi krzykami Eleonora z Kraszewskich i Katarzyna Rokoko. Eleonora zobaczyła Nataniela zacierającego do ubikacji i aż usta rozdziawiła.

– Zasłonięte, psiakrew! – zaklął mistrz.

– Stuk, stuk, stuk, stuk – usłyszałem ostre kroki za drzwiami. Zadźwięczał odmykany haczyk, drzwi uchyliły się ostrożnie. Na progu ubikacji stanęła... Joanna Dark.

– A więc to pani? Mamy panią? Co pani tam robiła?

– Co... ja tam... robiłam? Nic... no, nic.

Zadrwiłem:

– Nic? Patrzcie państwo, ona tam nic nie robiła?

– Nnnno... robiłam. To, co wszyscy... – dziewczę zarumieniło się.

– Ha, to, co wszyscy? Nie, zacna niewiasto. My wszyscy tego nie robimy! Tylko pani to robiła.

Dziewczyna patrzyła na nas z rosnącym strachem. Potem spojrzała na Katarzynę Rokoko wzrokiem tak błagalnym, że aktorka dramatyczna podniosła głos:

– Panowie – powiedziała potępiająco – nie róbcie z tej panienki wariatki. Nawet mistrzowie – skinęła Natanielowi – „to” robią.

Rzekłem oburzony:

– Nie. Nikt z nas nie nadaje z ubikacji sygnałów świetlnych. A tej pani to się przed chwilą zdarzyło, do diabła!

– Mnie? – Joanna błagalnie złożyła ręce.

Mistrz Nataniel wyjaśnił:

– Spacerując po parku zauważyliśmy, że z ubikacji na drugim piętrze ktoś sygnalizuje. Kto? Oczywiście ów nieuchwytny złodziej. Przybiegliśmy tutaj co sił. I co się okazało? W ubikacji pani Joanna.

– Schwytaliśmy panią na gorącym uczynku. Jest pani zdemaskowana. Ha, ha, ha. A tak niewinnie wyglądała – zawołałem patetycznie, byłem bowiem z siebie niezwykle zadowolony.

– Na Boga, panowie! Czy to wszystko prawda? – zdziwiła się Pani z Wydawnictwa.

Joanna Dark rozplakała się. Oczywiście, rozplakała się!

– Ja, nic. Naprawdę nic. Ja nie nadawałam żadnych sygnałów. Ja tam dopiero co weszłam... i... i... Przysięgam, żadnych sygnałów. Przysięgam – powtarzała.

Katarzyna Rokoko wzruszyła ramionami:

– Nic z tego nie rozumiem. Przecież przed sekundą Joanna była u mnie w pokoju. Na chwilę wyszła do ubikacji. A panowie potem wpadli tu z hałasem i zaczęli się dobijać do drzwi. Nie rozumiem...

Mistrz stropił się. Ja również.

– A może... ktoś inny nadawał te sygnały? Ktoś, kto był w ubikacji przed panią? – zapytałem.

Zawołała radośnie:

– Tak, zauważyłam!

– Co? Co? Proszę mówić.

– Światło w ubikacji zastałam zapalone. I dym był. Z papierosa. Smuga dymu wisiała pod lampą.

– A więc jednak na krótko przed panią ktoś korzystał z ubikacji. Och, gdybyśmy wiedzieli, któż to taki. Albowiem był to zły duch Nieborowa! – powiedziałem uroczyście.

– Chyba naprawdę musimy stąd wyjechać – szepnął skonfudowany mistrz.

– Chyba nie. Przecież nadal w pałacu mieszka ktoś, kto sygnalizował. A na zewnątrz czyha odbiorca sygnałów... – powiedziałem równie cicho.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Dręczyła mnie tajemnica rysunku „Biblioteka w Nieborowie”. W pewnej chwili podniosłem się z łóżka, zapaliłem światło i zasiadłem w fotelu przed nim. I chociaż zastanawiałem się nad każdym szczegółem, przecież nie odkryłem przyczyny niepokoju! Wreszcie złość na siebie i niewinny rysunek wyгнаły mnie z pokoju na mroczne korytarze. Tym razem jednak nie marzyło mi się spotkanie z duchem, mnichem czy złodziejem. Po prostu chciałem pochodzić, ot tak sobie, bez celu.

Dowędrowałem tak do schodów i zszedłem nimi na pierwsze piętro. Zatrzymałem się. Przy jednym z okien stał wpatrzony w ciemność za szybą mężczyzna i palił papierosa. Komisarz Kolec!

Nieśmiało podszedłem do niego. Bez słowa wyciągnął z kieszeni paczkę carmenów, pstryknął zapalniczką. Zaciągnąłem się – o nałogu! – głęboko. Paliliśmy w milczeniu i dziwnym porozumieniu.

Wreszcie komisarz westchnął:

– A niech to wszystko! I kto by pomyślał?...

– Co mianowicie, komisarzu?

– Tajemnica służbowa – uśmiechnął się ze zwykłym dla niego smutkiem. Odwrócił się do mnie:

– A pan zapewne sądzi, że te ciągłe przesłuchania, śledzenie, aresztowania sprawiają mi wielką przyjemność?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

– Przecież na każdego winnego musimy czas jakiś zająć się tyłoma niewinnymi. Wleźć, jak to się mówi, z butami w ich życie. To nie jest przyjemne, panie Tomaszu, naprawdę. „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. A mnie żal tych „wiórów”... Dobranoc – zgasił niedopałek i przygarbiony ruszył dalej korytarzem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

CEREMONIAŁ POŻEGNAŃ • NAGROBEK LIGII • MISTRZOWSKIE RADY • TAJEMNICA GLOBUSA • POLICJA JEST CIERPLIWA

Patrzyłem na jaśniejącą w styczniowym ostrym słońcu sylwetę nieborowskiego pałacu. Dziwnie ukazywała mi się przez czarne konary parkowych drzew. Jak przez kraty.

Odwrociłem się i poszedłem dalej, ale coś zmuszało mnie, bym spojrział za siebie.

Pomyślałem:

„Ech, pałacu, zgromadziłeś nas zaledwie kilkoro na tak krótki czas i ktoś okazał się złodziejem, ktoś inny, czy może ten sam, pozuje na twego złego ducha. Cóż, nieborowska perło, nie żałowałaś nam swego piękna, ale nie oszczędziłaś podejrzeń i przesłuchań. Co twórczego stworzyliśmy tu zajęci myślami, co jeszcze może zostać stąd ukradzione, zanim będzie nam wolno opuścić Nieborów? Cóż nam zadałeś, domu Radziwiłłów, że poznaliśmy nawzajem swe słabostki? Marzenia miłosne i czyjeś ciągotki do trunków? Głupotę i donosicielstwo? Złośliwość? Pozory talentu i małostkowość? Jak na kilka zaledwie osób czyż nie wystarczy?”

– Domie twórczy! – zaśmiałem się, choć naprawdę nie było mi do śmiechu i... cóż mogłem zrobić innego?... zawróciłem do pałacu.

Gdy szedłem już podjazdem nisko nade mną przeleciała wrona, kracząca cicho, a ja odebrałem jej ochryply głos jako naigrywanie się ze mnie:

– Kra, kra, Tomaszu, ukradli, ukradli! Krretyn! Krretyn! Krres twój! Krres!

To głupie ptaszysko wykrzyczało mi nad głową to, o czym myślałem już od wczoraj: „Pogromca złodziei skarbów sztuki, słynny Pan Samochodzik poniósł klęskę! Nie pomogły tak dzielne Urwisy, na nic zdało się wsparcie wyjątkowego mózgu mistrza Nataniela. Krres. Krropka. Krres!”

Innym gościom nieborowskiego pałacu też dojadł pobyt w tym cudzie architektury. Nikt się nie zdziwił, gdy jako pierwszy odjeżdżał stąd naczelny redaktor „Horyzontów Filozofii”,

magister czy też doktor Krupa. Na odjeźdźnym pożegnał się serdecznie ze wszystkimi, nie wyłączając malarza Borówko, czym naprawdę mnie i Nataniela zadziwił.

Ściskając moją dłoń w nieco lepkiem uścisku rzekł:

– Słyszałem od mistrza Nataniela, że pracuje pan nad dziełem o opatach sulejowskich. Sulejów? Znam, znam, byłem tam kilkakrotnie. I jeszcze mam zamiar się udać! – zaśmiał się dziwnie. – Ukończywszy swe dzieło zapewne zyskasz pan sławę, dojdiesz do wysokich godności i urzędów. Proszę wtedy nie zapominać o swych znajomych.

Wtrącił się mistrz Nataniel:

– W naszym świecie, redaktorze, godności i urzędy są wielkim ciężarem. Dlatego zwykle kładą je... na osłów.

– Kwestionuje pan równość obywateli, podstawową zasadę naszej demokracji? – zdziwił się Krupa.

Nataniel gorąco zaprzeczył.

– Nie, nie, drogi panie. Równość to wielkie osiągnięcie, ale nie naszych czasów. W starożytności żył zbój Prokrust. Miał on żelazne łożo, na które kładł ludzi wysokiego wzrostu i ucinał im części nóg sterczące poza krawędzie. Ludzi małego wzrostu zaś rozciągał siłą, aby osiągnęli długość łoża. Albowiem Prokrust głosił zasadę równości!

– Mistrzu, pan jest wielki – zapiał z zachwyty filozof.

Nataniel posmutniał.

– Żeby mnie tylko nie skrócili o głowę...

– Dlatego pozwól, mistrzu, że dopomogę ci dobrą radą... Dawniej panowało prawo pięści. Dziś zaczyna panować prawo palców. Nie dziw się przeto, jeśli spostrzeżesz, że tak jak w Nieborowie, giną wokół ciebie co cenniejsze przedmioty. Albowiem tylko głupcy pracują jeszcze całą dłonią. Mądrzejsi uczą się używać wyłącznie palców; to partia pokera. Jaka szkoda, że nie zagraliśmy... – i redaktor uczynił gest tasowania kart.

W południe odprowadziłem profesora Zanna i Stokrotkę przed pałac do bryczki, która miała ich zawieźć na stację, na pociąg do Krakowa.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić – zapytałem grzecznie profesora – czemu przed kilkoma dniami rozległ się w środku nocy hałas w pańskim pokoju? Przepraszam za niedyskrecję, ale sprawa ta mnie trapi...

– Drobiazg, łożko się pode mną zawałiło. Och, te stare i wiecznie trzeszczące łożka w Nieborowie. Z ich powodu nie przyjadę tu nigdy więcej... A dzisiaj w nocy spadnie śnieg. Tra-ta-ta...

Stokrotka pożegnała się ze mną chłodno:

– Omyliłam się co do pańskiej osoby. Żałuję.

– Czy nie ma już dla mnie ratunku?

Uśmiechnęła się:

– A może odwiedzi mnie pan w Krakowie?

– Z przyjemnością – powiedziałem, wiedząc, że nie dotrzymam przyrzeczenia.

Mistrz bardzo mnie za to potępił. Odbywaliśmy właśnie przedobiedni spacer po parku, pogoda była bowiem słoneczna, a powietrze tak ciepłe, że prawie wiosenne. Nataniel wskazał mi piękny marmurowy nagrobek rzymski z łacińskim napisem, który brzmiał w tłumaczeniu:

„Bogom podziemnym. Acilii Kapitolinie Marek Winicjusz, syn Marka z gminy Fabijskiej. Salvianus, żonie najświętszej i najrzadszego przykładu”.

– Czy wiesz, Tomaszu, że napis tego nagrobka spożytkował Sienkiewicz w *Quo vadis!* Marek Winicjusz, syn Marka z gminy Fabijskiej i jego „najświętsza żona”, Ligia – jak nazwał ją pisarz. Smutno mi, że tak źle obszedłeś się z tą, która mogła stać się twoją Ligią.

– Kogo masz na myśli, Natanielu?

– Córkę Zanna.

Milczałem.

– Wczoraj w parku bąknąłeś coś o pragnieniu wyjazdu. Przemyślałem twoje słowa. Jutro rano opuszczamy Nieborów – zdecydował.

– Och, mistrzu, jakże ci jestem wdzięczny! – zawołałem z ironią.

O szesnastej Niemek miał pociąg do Poznania, gdzie zamieszkiwał wraz z Eleonorą, żoną „najrzadszego przykładu”. Podczas obiadu czule zagadał do mistrza:

– Żałuję, Natanielu, że tak mało rozmawialiśmy o literaturze. Wiesz dobrze, jak bardzo cenię twoje zdanie. Lecz złodziej wszedł nam w paradę i zamaćił spokój. Dałeś mi jednak chwilę niezwyklej radości i jak święty relikwiarz uwożę rękopis wspaniałego „Aktu zdemaskowania” w formie sonaty majorowej G-dur. Tylko poeci wysokiej klasy jeszcze zachowali fantazję! Jaka szkoda, że nie prozaicy!

– Ależ! – uniósł ręce mistrz. – Jasną przyszłość widzę przed nami. Bylebyśmy tylko czerpali ze źródła twórczości czyste! – tu serdecznie uściskał dłoń prozaika.

– A jakąż to „mistrzowską” radę miałby pan dla mnie? – zachichotał Grzegorz, również szykujący się do odjazdu.

– Przysłowie powiada – mistrz cofnął dłoń przed jego ręką – „Nie czyń głupcowi wedle głupstwa jego, abys mu się nie stał podobnym; odpowiadaj głupiemu wedle głupstwa jego, aby nie myślał, że jest mądry”. Stąd wniosek, panie Grzegorz, że trudno mi będzie dać panu odpowiedź, albowiem zasługuje pan na wielkie głupstwo, którego wymyśleć nie jestem w stanie.

– Kto głupi, kto mądry, nie wiem – wtrącił niespodziewanie przechodzący obok Borówko – ale wiem, że wyjadę stąd ostatni. Im was mniej, tym więcej natchnienia!

Gdy późnym popołudniem zalegiwałem jeden z foteli palarni, pogrążony w myślach, które – naprawdę! – dalekie miały być od wspomnień rozmowy z Czarną Miladą w opuszczonym młynie, a tak po prawdzie – wybaczcie – jakoś wciąż do niej wracały, w drzwiach stanął mistrz Nataniel w splendoru mu dodającym futrze i bobrowej czapie.

– Ubieraj się! – rozkazał. – Nadchodzi ostatni akt dramatu.

– O nie! Nie! – zaprotestowałem. – Wystrzegam się spektakli, których jesteś inicjatorem. Bądź łaskaw pozostawić mnie w spokoju. Nabrałeś mnie w sprawie malarza; drugi raz nabrać się nie dam!

– Akt zdemaskowania malarza należał do miłych omyłek – Nataniel z radości aż zaklaskał.

„Co mu tak zależało na pogwałceniu tego biedaka?” – pomyślałem. – „Ach tak, chodzi o to, że Borówko nazwano tu, i to kilkakrotnie, mistrzem!”

– Jakież to ostatni akt planujesz? – niechętnie uniosłem się z fotela.

– Oj – machnął ręką mistrz – chodzi po prostu o wyjazd stąd, mój drogi!

– Na taki akt właśnie czekałem – uśmiechnąłem się. – Chociaż z tym złodziejem jakoś nam nie wyszło...

Nataniel wzruszył ramionami:

– Od tego jest komisarz Kolec i jego koledzy. Co do mnie, to w pełni mnie cieszą tłumaczenia fragmentów Starego Testamentu, których tu dokonałem. Ty zaś zapewne posunąłeś pracę nad opatami sulejowskimi naprzód? Chyba, że cię tak przestraszył ów podrzucony bełt kusznicy, że w rozdygotanych lękiem palcach nie mogłeś utrzymać długopisu... – zakpił, czym dowiódł swego naprawdę dobrego humoru. – A poza tym, co do złodzieja, to może on już sobie stąd pojechał, pa, pa!

– Prac twórczych dokonaliśmy, złodzieja przegapiliśmy; możemy więc jechać – nie miałem jakoś ochoty na żarty. – Pozwolisz, że się spakuję – ominąłem ostrożnie rozpartego u progu palarni mistrza i poszedłem do swego pokoju...

Zapaliłem światło i przed oczy wepchnął mi się od razu globus z rysunku Mai Berezowskiej...

– Czegóż ty chcesz ode mnie?! – jęknąłem, odwracając się od niego i rzucając neseser na łóżko. Ale czułem, że on tam, za moimi plecami, puszy się, patrzy na mnie (o ile globusy mają oczy) jak na miernotę, nieudacznika. Że z całą ochotą wyzwąłyby mnie na przynajmniej słowny pojedynek.

Spakowałem swe notatki i manatki. Usiadłem naprzeciw globusa.

– No i co? – powiedziałem. – Byłem w tym pałacu tak długo, jak chciałem. Na nic się zdało straszenie rodem z taniego kryminału. A że nie zdemaskowałem złodzieja? Spokojnie, na drogach między Nieborowem a Sulejowem jeszcze się spotkamy! Pewien tego jestem, jak tego, że na imię mam Tomasz!

– A gdybyś go nawet spotkał i zdemaskował – wydało mi się, że globus odpowiada – nie podniosą ci nawet pensji w ministerstwie, urzędniczyno. Mały człowieku, spójrz na mnie. Skonstruowano mnie dla wielkiego króla... Trwam tu trzysta lat i będę istniał taki jak dziś, gdy o tobie już zapomną... Ja, Tomasz, ukazuję Ziemię i jestem wielki!...

– Wielki? Ty ogromna pusta banio! Ludzie cię zbudowali i kiedy zechcą mogą cię zniszczyć! Nie tylko ciebie, modelu Ziemi, ale i prawdziwą Ziemię... – mówiłem coraz głośniejszym, coraz bełkotliwiejszym głosem, bo nagle w mózgu zaczęły się powtarzać dwa słowa:

– Wielki...

– Pusty...

– Wielki, pusty...

– Wielki, pusty...

Już pędziłem po schodach.

Biblioteka...

Drzwi otwarte.

Globusy...

Położyłem dłonie na górnej połowie pierwszego...

Poddała się i zaczęła obracać z wolna...

Trzasnęły drzwi. Obejrzałem się. Kolec podnosił w górę zaciśniętą pięść:

– Niech pan to zostawi, do diabła!

– Ale... – ściszyłem głos do szeptu, a dłoń zsunęła mi się z globusa – przyszło mi na myśl... Przedwczoraj nocą bowiem... – zająknąłem się ze wstydu – gdy tropiłem ducha mnicha z Sulejowa – zebrałem się na odwagę – usłyszałem z biblioteki bicie zegara. Wbiegłem tutaj, ale zegara nie było!... – opowiadałem chaotycznie. – Przed chwilą przyszło mi na myśl, że może?... Może globus otwiera się jak orzech, na dwie połówki? A w środku znajduje się schowany zegar?

Oficer nakrył mi dłonią usta.

– Ani słowa! Ani słowa, bo pana zamknę! – syknął.

– Więc? Więc?... – bełkotałem. – Czy tam?...

Kiwnął głową.

– Tak. W tych globusach jest nie tylko zegar, ale i płótna zaginionych obrazów.

– No tak! – westchnąłem radośnie. – Przecież od początku było wiadomo, że skradzione rzeczy nie zostały wyniesione z pałacu.

– Robiliśmy szczegółową rewizję, ale nikomu z nas nawet przez myśl nie przeszło, że te globusy się otwierają. Dopiero, gdy pan Józef wycierał je z kurzu, zobaczyłem, że połówka jednego drgnęła. I tak natrafiłem na przechowalnię złodziejskich łupów. Gratuluje, że i pan ją odkrył. I to drogą samej dedukcji...

– Ale kto? Kto jest złodziejem? – zawołałem, nie myśląc nawet, żeby ucieszyć się z pochwały fachowca.

Oficer wzruszył ramionami.

– Oczywiście ktoś z nieborowskich gości.

– Odciski palców?! – gorączkowałem się.

– Cóż by dały? – zaśmiał się Kolec. – Któż z państwa nie dotykał globusów?

– Dlaczego więc zezwolił pan na wyjazd?

– A co miałem robić? Nikogo za rękę nie złapałem. Facet (a może facetka?) ukradł, schował łup w globusie i czekał sposobnej chwili, żeby te rzeczy wynieść z pałacu. Tylko, że okazał się zbyt zachłanny i potknął się na kradzieży zegara. Zegar nie jest mały i nie jest lekki. Kradzieży dokonano w ciągu dnia, złodziej bał się go nieść do dalszych pokoi. Zresztą miał bardzo niewiele czasu. Na tej podstawie domyśliłem się, że zegar znajduje się w pobliżu biblioteki, a może jeszcze w... bibliotece. Krzątanka pana Józefa ułatwiła sprawę i znalazłem „zguby”. Wówczas zezwoliłem na opuszczenie pałacu. Ja także jutro stąd wyjadę...

– Pan także! Acha, rozumiem! Dopóki pan tu jest, złodziej będzie się lękał wyjąć z globusów skradzione rzeczy. Ale oczywiście przyjedzie ktoś inny, ktoś po cywilnemu, w charakterze gościa, prawda? Będzie tu mieszkał i baczył na globusy...

Oficer skinął głową:

– Oczywiście będzie pan uprzejmy dochować tajemnicy. Wobec wszystkich bez wyjątku – popatrzył na mnie uważnie. – Nawet wobec pana Nataniela... – dopowiedział, jakby usłyszał moje nie wypowiedziane przecież pytanie.

– Ale ja nie... Czyżby i jego, tak znanego poetę, pan podejrzewał? – szepnąłem ze zgrozą.

– Każdy z państwa jest „kims” w swej specjalności, a przecież kradzieży dokonano – uśmiechnął się, jak zawsze niewesoło, komisarz. A podejrzewać? Cóż, taki mój zawód... – westchnął.

Nagle zaniepokoiłem się:

– A... może złodziej wyjedzie stąd nie zabrawszy łupu? Może już wyjechał? I wróci po skradzione przedmioty dopiero za miesiąc albo dwa? Może za rok?...

– Proszę się nie obawiać! Jesteśmy cierpliwi...

ROZDZIAŁ SZESNASTY

CZY CHORZY AWANSUJĄ • CO POWINIEN UMIEĆ HISTORYK SZTUKI • ŚREDNIOWIECZNI FAŁSZERZE • WIZYTA „KUSZNIKA” • CZEGO SZUKAJĄ FAŁSZYWI MNISI

Pierwszy dzień wiosny przywitał mnie radosnymi promieniami słońca i równie wesołym głosem mego przełożonego, dyrektora Marczaka, w słuchawce telefonu:

– A długo to pan, panie Tomaszu, zamierza jeszcze chorować? Czy raczej, pod pozorem choroby, pracować nad dziejami opatów sulejowskich? Nic się przede mną nie ukryje, kochany!

– Nno... – zająknąłem się – piszę trochę, ale...

– Żadne „ale”! Doktor Kozłowski mówił, że nawet wszystkich badań pan nie zrobił! A z sercem nie ma żartów! Niech pan zadba o nie jak należy! A na razie, skoro ma pan czas dla mnichów, to niech pan znajdzie chwilkę także dla mnie i wpadnie do ministerstwa. Czekam na pana z wiadomością, która na pewno podreperuje i pańskie zdrowie, i humor!

– W takim razie melduję się u pana za godzinę, dyrektorze!

– Czekam więc, panie kierowniku!

– Kierowniku?... – krzyknąłem zdumiony, ale Marczak już odłożył słuchawkę z radosnym chichotem.

„Cóż mu się tak zebrało na kpiny?” – pomyślałem, ale niebawem przekraczałem progi dyrektorskiego gabinetu.

Marczak witał serdecznie, prosił siadać...

Przycupnąłem na brzeżku fotela i podejrzliwie popatrzyłem na gospodarza, który zamawiał u sekretarki dwie słabe herbatki.

– Tak więc, panie kierowniku... – zaczął, siadając po drugiej stronie stolika.

– Tak... – przerwałem mu – kierowniku samego siebie.

– Panie Tomaszu! – nie wytrzymał wreszcie nerwowo dyrektor. – Otrzymał pan awans na kierownika naszej wydzielonej komórki do spraw specjalnych!

– A kimże będę kierował? – uśmiechnąłem się smutno, bo cóż mi po tytułach i awansach.
– Samym sobą?

Marczak wesoło zatarł dłonie:

– Swój pracownikiem. Nasz departament otrzymał dodatkowo jeden etat, który przeznaczam do pańskiej dyspozycji!

Przyznam się, że doznałem dwojakiego uczucia: z jednej strony przez tyle lat prosiłem, nalegałem, żądałem, by władze oddelegowały więcej specjalistów, którzy zwalczaliby złodziei naszych dóbr kultury; z drugiej zaś – przez ten czas samotnej walki przywykłem „sam sobie być sterem, żeglarzem...”.

Jednak radość oczywiście zwyciężyła. Widząc to dyrektor zawołał:

– Świetnie! Rozejrzemy się zatem pośród uniwersyteckich prymusów!

Przed oczyma stanął mi tak zwany mól książkowy. Skrzywiłem się. Marczak spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

– A czegoż to jeszcze, oprócz solidnej wiedzy, pan kierownik raczy wymagać od przyszłego podwładnego?...

– A tego, aby był po trosze alpinistą, żeglarzem, judoką czy karateką, płetwonurkiem, narciarzem, dobrym kierowcą, strzelcem...

– Dosyć, dosyć! – uniósł ręce do góry przerażony na serio dyrektor. – Panu marzy się James Bond! I to za pensję niższą niż ma sprzedawca lodów?!

– Ale takich właśnie ludzi potrzebujemy, aby chronić nasze zabytki przed znakomicie rozwijającym się złodziejstwem krajowym i obcym!

– Ma pan rację – westchnął mój zwierzchnik – ale niestety nie wierzę, by udało się nam kogoś takiego zatrudnić...

I ja nie bardzo wierzyłem! Jednak tego samego dnia nasza oferta powędrowała do wszystkich wyższych uczelni, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć odpowiedniego kandydata. Na uczelnie warszawskie zawiozłem ją sam i starannie rozwiesiłem na poczesnych miejscach tablic ogłoszeń. Teraz pozostało tylko czekać...

Ponaglany przez dyrektora Marczaka, który jakoś nie chciał wierzyć w moją chorobę, przyspieszyłem prace nad dziełkiem o opatach sulejowskich. Z tym większą ochotą, że w *Kopiarzu sulejowskim*, pod datą 1261, znów natrafiłem na nazwisko Baldaricha-Baldrzycha.

Wspominał je dokument legata papieskiego Gwidona. W tymże roku rycerz z diecezji wrocławskiej, Zbigniew ze Stolna, pozwał opata Piotra przed sąd legata w sprawie o wieś Bałdrzychów nad Nerem.

W skardze swej pisał rycerz ze Stolna, że wieś tę posiadał prawem dziedzicznym dziad jego imieniem Baldaricus, klasztor więc powinien zwrócić ją wnukowi, jako jego ojcowiznę.

Postawiony przed sąd legata opat Piotr stwierdził, że wieś Bałdrzychów kupił opat Willerm; nie była to wieś dziedziczna, a prawa klasztoru do niej potwierdza bulla

konfirmacyjna papieża Honoriusza III z 1230 roku. Lecz bulla ta, choć rzeczywiście wspominała wieś Bałdrzychów wśród ogółu klasztornych majątności, nie mówiła jednak, jak klasztor tę wieś posiadał. Sąd legata odrzucił więc bullę jako dowód niewystarczający.

Opat Piotr był jakby przeciwstawieniem opata Willerma, a przez to jednocześnie jakby jego najdoskonalszym uzupełnieniem. Różnili się charakterami krańcowo. Pierwszy odznaczał się rzutkością, śmiałością i niezwykłą przedsiębiorczością, drugi – opanowany, każdą decyzję ważył długo i ostrożnie, posiadał szerszą i głębszą wiedzę, i na niej opierał swój spryt. Zapobiegliwy opat Willerm zgromadził wokół klasztoru wiele bogatych wsi, wybudował wspaniały kościół romański, uczynił Sulejów jednym z najzamożniejszych opactw w Polsce. Piotrowi przyszło bronić zdobyczy Willerma, uzasadniać prawa klasztoru do tej czy innej majątności.

Piotr poprosił o wyznaczenie nowego terminu rozprawy i przybył na nią już z nowym dowodem – tym razem z dokumentem konfirmacyjnym księcia Konrada Mazowieckiego z 1237 roku. W dokumencie tym wyraźnie zaznaczono, że Bałdrzychów jest „bonum desertum” – majątkiem opuszczonym, a nie „patrimonium” – ojcowizną, a wobec tego nie podlega zwrotowi. Sąd na tej podstawie wydał wyrok, że dokument przedstawiony przez opata Piotra jest w pełni wiarygodny i skargę Zbigniewa ze Stolna odrzucił, nakładając nań wieczyste milczenie w tej sprawie.

Zwycięstwo opata Piotra wydało mi się podejrzane. Dziwnie łatwo zjawiły się bowiem w jego rękach potrzebne dokumenty. Wątpliwe są dokumenty, których nie ma, a potem znajdują się, gdy trzeba.

Ku swej radości natrafiłem w Archiwum Państwowym na oryginał aktu konfirmacyjnego księcia Konrada Mazowieckiego, przedstawionego przed trybunałem przez opata Piotra. Aby rozstrzygnąć liczne wątpliwości, zwróciłem się o pomoc do autorytetu w kwestiach sądownictwa średniowiecznej Polski, profesora Jana Kowalskiego.

Oto jego opinia:

Szanowny Panie!

Dokument księcia Konrada, zatwierdzający klasztorowi sulejowskiemu nadanie wsi Bałdrzychów przez księcia Leszka Białego, uchodził w literaturze historycznej za oryginał niepodejrzany.

Spisano go na wąskim skrawku pergaminu, o nieco gładziej powierzchni wewnętrznej niż zewnętrznej, o minimalnych marginesach. Na spleśniałym sznurku jedwabnym, niegdyś czerwonym, wisi pieczęć koronna księcia Konrada. Wyobraża ona jeźdźca w hełmie na głowie, z tarczą w lewej i proporcem w prawej ręce, na koniu pędzącym w stronę lewą. Wokół jest napis:

+ S[IGILLVM] CO[NRADI] DV[CIS] CRACOVIE MAZOVIE

SUDOVIE ET TER[RAE] LANC[ICIE] +.

Niewątpliwie pieczęć jest autentyczna. Występuje ona przy kilku zachowanych dokumentach z lat 1231, 1237, 1238 i 1242.

Pismo dokumentu przedstawia się jako staranna i wyraźna minuskuła gotycka. Trzonki są ostro załamane, częściej jednak owo łamanie, wskutek pośpiesznego kreślenia, przybiera kształt tępych nasadek. Na ogół charakter pisma zdaje się wskazywać na połowę XIII wieku.

Możliwości są dwie: albo dyplom ten jest oryginałem z 1238 roku, albo – jeśli był falsyfikatem – musiał powstać w drugiej połowie XIII wieku.

Ale decydujące jest to, że świadkowie występujący w dyplomie Konrada, wykazują niezgodność z datą dyplomu. Nie dotyczy to synów Konrada, Ziemowita i Kazimierza, którzy w tym czasie występowali niejednokrotnie u boku ojca. Natomiast już Wolmir nie mógł w 1238 roku piastować przypisanej mu godności kanclerza księcia Konrada, gdyż współcześnie jako kanclerz tego księcia jest znany mistrz Jan z Krakowa. Dobiesław również nie mógł być w 1238 roku sędzią księcia Konrada, pojawił się bowiem na tym stanowisku dopiero w 1243 roku, zaś w latach 1228-1235 stanowisko to zajmował Sieciech, a po nim sprawował je Mściwój.

Jednym słowem: świadkowie nie odpowiadają dacie dyplomu, są późniejsi.

Przypuszczalnie dokument jest w całości zmyślony. Skąd się więc wzięła na nim autentyczna pieczęć? Najprawdopodobniej odjęto ją od innego dyplomu.

Z poważaniem
Prof. Jan Kowalski

Autentyczna pieczęć na fałszywym dokumencie? W czasach woskowych pieczęci dokonywano tego oszustwa następująco: zdobywano dowolny autentyczny dokument z pieczęcią, następnie przycinano ją w poprzek na dwie połowy, które lekko podgrzawszy nakładano na sznurki (na których przymocowywano wówczas pieczęcie do dokumentów) i ściskano mocno, tak jednak, by nie uszkodzić tłoczeń; gorący wosk łączył się bez śladu spoiny...

– Ale że ty to zrobiłeś, opacie Piotrze? Właśnie ty?...

Wydało mi się, że usłyszałem głos cichy, może zasmucony, ale jednocześnie i zdecydowany:

– Czyż miałem narazić na potwarze dobre imię mego poprzednika, opata Willerma?

Tak, poprzednika. W moich notatkach zapisałem bowiem: „Po opacie Willermie

(zwanym Guillermus albo Vilhelmus), który zmarł w 1235 roku, opatem sulejowskiego klasztoru został ojciec Piotr...”.

Tak oto, na pozór monotonnie, a przecież w wielkim pośpiechu upływały mi dni między archiwami, muzeami, bibliotekami, pracowniami ksero i mikrofilmów. Tylko noce zarezerwowałem sobie na stylizację i przepisywanie – hurra, już na czysto! – mniej lub więcej chwalebnych dziejów opatów z Sulejowa.

Odebrawszy kolejne odbitki ksero ostrożnie wyjechałem na ulicę, mrużąc oczy zmęczone długim ślęceniem nad rękopisami i starodrukami, gdy w lusterku wstecznym dostrzegłem szare volvo.

Podświadomie chyba pomyślałem o jeżdżącej takim wozem Czarnej Milady: „Gdzie też podziewasz się teraz, czarna damo Sulejowa i Nieborowa?”

Volvo skręciło w boczną ulicę, a ja skupiłem się na prowadzeniu auta...

Odprowadziłem wehikuł do garażu i ciężkim krokiem – naprawdę byłem zmęczony – poszedłem Starym Miastem do domu...

O dziwo, klucz patentowego z nazwy, a tak naprawdę byle jakiego, zamka w moich drzwiach nie chciał się obrócić. Próbowalem i tak, i tak... Wreszcie zrobiłem rzecz najprostszą: nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się leciutko i cichutko! A niech to!

Złodziejom, którzy włamali się do mojej kawalerki, należał się zawodowy szacunek! Nie było zakamarka, w który by nie zajrzeli! Sądzę, że trąba powietrzna narobiłaby mniejszego bałaganu! A kim byli owi nieproszeni goście? Od razu pomyślałem o szajce Czarnej Milady (tak nazwałem ten gang, choć ponoć miał on swego „szefa”). Ale tamten był dla mnie niewiadomą, natomiast Czarna Milady też niewiadomą... tyle, że piękną! Gdybym jednak nie pomyślał o nich, sulejowscy „mnisi” pozostawili wizytówkę: na blacie przewróconego do góry nogami stołu leżał bełt kusznicy. Oczywiście już tylko z dwoma ostrzegawczymi nacięciami!

– A niech was diabli! – zakląłem ciskając „wizytówkę” w kąt. – Przecież wiem, po co przyszliście: po testament Jędrzeja Baldaricha-Baldrzycha! Ale żeby odsuwać regały z książkami? Czy myślicie, że nie stać mnie na wymyślenie lepszej kryjówki dla skrawka papieru? Nie lekceważyliście i małych schowków, bo wybebeszyli i zamrażalnik lodówki, zmieniając w nieapetyczną packę moje ulubione pierogi ruskie?! Niech no ja was tylko dostanę w swoje ręce!

Po chwili jednak zreflektowałem się.

– Boże! – westchnąłem. – Ja tu żartuję, a czeka mnie tyle pracy przy uporządkowaniu materiałów poświęconych opatom sulejowskim.

Tak opadła ze mnie złość i żądza ukarania opryszków, a pozostało tylko znużenie... Potrzebowałem kogoś, kto wyzwoliłby mnie od niego. Siadłem na stercie książek, sięgnąłem po telefon i prawie automatycznie wykręciłem numer mistrza Nataniela:

– Dzień dobry, mówi Tomasz...

– Ach, to ty!... – głos mistrza, ku mojemu zdumieniu, pobrzmiwał zażenowaniem. – Koniecznie przyjedź do mnie – nie dawał mi dojść do słowa – płyta nagrobna naszego przyjaciela Pronobisa jest już gotowa! Jedźmy złożyć ją na grobie! Urwisy zrobiły i wkopały ławeczkę przy nim...

Nagle odechciało mi się dzielić z mistrzem kłopotami. „Zawsze zdążę mu o nich powiedzieć, zwłaszcza, gdy się już wygada...” – pomyślałem.

Potelepałem się więc (użycie słowa „skorzystałem” w stosunku do miejskich środków komunikacji uważam stanowczo za zbyt wielki komplement) autobusami do willi zamieszkałej przez mego mentora.

Kawa, którą mnie przyjął, była mocna i wonna, a i papierosy, najprawdopodobniej egipskie, były wyśmienite...

– Kochany bracie – odezwał się, może niepotrzebnie w tenże sposób nawiązując do zakonnej tematyki, którą poruszyłem, wspominając o moich nowych odkryciach dotyczących dziejów opatów sulejowskich – tak więc rycerz Zbigniew ze Stolna, wnuk rycerza Baldaricha-Baldrzycha, został oszukany przez opata Piotra... Czy myślisz, że to ma związek z konfliktem między opatem Bernardem a Jędrzejem Baldarichem-Baldrzychem, który miał miejsce w XVIII wieku, a więc pięćset lat później? Takie myślenie to absurd, o który cię nie posądzam! – zakończył z triumfem, który, jak mi się wydało, miał go umocnić przed rozmową na temat w jakiś sposób dlań niewygodny. I jakby ze zniecierpliwieniem w oczekiwaniu na tę właśnie część naszej rozmowy zbył byle jakimi wyrazami współczucia moją opowieść o włamaniu. Po czym milczał przez chwilę, wreszcie odchrząknął i patrząc gdzieś przez okno powiedział:

– Wiesz, kiedy byłem w Sulejowie, aby dopilnować starannego wykonania płyty nagrobnej profesora, odwiedziłem oczywiście jego grób... I wyobraź sobie, kogo spotkałem w ruinach opactwa?... Tę piękną damę, którą w swoim czasie obdarzyłeś pięknym imieniem: Babie Lato! Zamieszkała tam wraz ze swym aktualnym przyjacielem, malarzem Bogumiłem, aby towarzyszyć mu w twórczej pracy nad obrazami przygotowywanymi na międzynarodową wystawę pejzażu.

– Ach tak...

– Napotkałem ją podczas jednej z mych samotnych wędrówek po ścieżkach wśród ruin i baszt. Wybiegła mi naprzeciw spod złamanego ramienia arkady refektarza. Jej przejrzystą suknię w kwiaty prześwieciło słońce jak szklany witraż klasztorny. Na mój widok wydała radosny okrzyk, pytała o ciebie i widziałem w jej oczach szczęście na myśl, że jesteś może w pobliżu. Potem był już tylko smutek...

– Mnie także na wspomnienie Babiego Lata ogarnia smutek...

– Spędziliśmy razem całe popołudnie aż do wieczora. Jej malarz pracował na stoku wzgórza, a my trzymając się za ręce wędrowaliśmy daleko brzegiem rzeki. Mówiłem o świątobliwych opatach sulejowskich i o tobie. Migotanie rzeki niesło jej śmiech, gdy

opowiadałem nasze przygody w Nieborowie; o zmroku płakała wraz ze mną u grobu Herakliusza, tuliłem ją i okrywałem płaszczem, bo dotkliwie kąsał chłód ciągnący od rzeki. Później odprowadziła mnie aż do promu. Na pożegnanie długo kiwała ręką, a ja odchodziłem wolno, wolno... aby powrócić następnego dnia. Albowiem, drogi Tomaszu, miłość jest wtedy wielka, gdy wzmagają krótka rozłąka, o czym poucza cię człowiek bardziej doświadczony – mistrz ponownie odchrząknął..

– Słucham cię z uwagą, Natanielu.

– Od owej chwili odwiedziłem opactwo jeszcze dwukrotnie. Przyciągało mnie tam piękno starych murów, które z każdą bytnością ujawniało mi się od coraz to innej strony. Ach, jakaż wspaniała cisza panuje wśród tych wieżyc i baszt. Każda z tych baszt jest inna, każda skończenie piękna. A u stóp migocąca w słońcu rzeka... Wyobraź sobie, że nigdy nie myślałem... Ech! Wędrowki po opactwie dostarczają wciąż nowych wrażeń!

Przywołałem na twarz uprzejmy a niefrasobliwy uśmiech.

Wydało mi się, że słyszę, jak mistrz oddycha z ulgą i czym prędzej zaczyna omawiać szczegóły naszego jak najszybszego wyjazdu do Sulejowa, aby grób przyjaciela zyskał właściwą oprawę. Tym bardziej że oprócz zmajstrowanej przez Urwisów ławeczki przygrobnej gotowa była już podmurówka pod zakupioną przez Nataniela ozdobną płytę. Moją chęć uczestniczenia w kosztach mistrz zbył pełnym pobjażania uśmiechem i machnięciem ręką.

Do Sulejowa ruszyliśmy nazajutrz.

Przed warsztatem kamieniarskim przywitały nas Urwisy w strojach, jak na nie, raczej odświętnych i poprowadziły ku przygotowanej do transportu płycie.

Była wyrzeźbiona w czarnym marmurze, ozdobionym delikatnym wzorem liści laurowych. Stylizowany na gotyk napis głosił:

Tu spoczywa w pokoju
śp. HERAKLIUSZ PRONOBIS
profesor, historyk i bibliograf

Mniejszą czcionką wykuto fragment trenu Nataniela:

*Spadł na wielkie jezioro
Motyl nakłuty niedoskonałością świata.
Kto ośmieli się zapłakać?
Kto odważy się opiewać jego śmierć?*

– No, Urwisy – odezwał się mistrz – załatwiłyście transport, ludzi do przenoszenia i

murarza, jak się umówiliśmy?

– Murarz też człowiek – uśmiechnął się z lekka Piotr – ale z transportem był kłopot. Most rozbierają, bo remont.

– No tak jak będzie? – zaniepokoił się Nataniel.

Piotr skłonił się z szacunkiem:

– Powiedziałem: był kłopot, a nie, że jest. Marek załatwił taką krypę: ni to łódź, ni prom. Czeka.

Blok marmuru przebył więc Pilicę i okrył godnie miejsce wiecznego spoczynku naszego przyjaciela... Czarna płyta była na tyle piękna, aby wyróżniać się spośród szarych murów opactwa, nie na tyle jednak wspaniała, by razić pośród skromnego cmentarza zakonników.

Nagle znów naszły mnie wątpliwości dotyczące celowości tworzenia mego dzieła o żyjących tu niegdyś cystersach, po których pozostało tak niewiele. Po chwili jednak pomyślałem, że to mój dług wobec przyjaciela – Herakliusza Pronobisa. To profesor nakłonił mnie do pisania dziejów opatów sulejowskich. I myślę, że jeśli ta praca potrzebna była Herakliuszowi, Natanielowi i mnie, to należało ją ukończyć i wydać drukiem.

Przypomniał mi się pogrzeb Pronobisa, jego twarz podobna do gipsowego odlewu, stada kawek zawodzących ponad basztami, samotny liść szybujący w dół grobowy...

– Do ostatniej chwili swego życia zbierał dla mnie informacje o opatach sulejowskich – szepnąłem. – Przeczuwał, że niedługo połączy się z nimi. Chciał spocząć pośród nich...

– Druhu Tomaszu – odezwał się do mnie półgłosem Jarek, gdy wychodziliśmy z ruin opactwa – te pseudomnichy, co tu się kręcą, jak wyszły od starej Nieborkowej, która im nie sprzedała takiej zmurszałej komódki, to klęły tak, że ja bym się przez trzy lata tego nie nauczył!

– Lepiej się nie ucz! – wzruszyłem ramionami. – A kiedy wreszcie dojdzie do ciebie, że pseudomnichy i szczudlarze z Nieborowa to jedni i ci sami?

– Już dawno doszło – zaśmiał się Urwis – ja tylko tak. Bo już tutaj, w Sulejowie, to my się nimi zajmiemy lepiej od niejednego opata!

Wybuchnęliśmy śmiechem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

TAJEMNICZA BADACZKA STARYCH KLASZTORÓW • ROZMOWA Z WROGIEM • KTO STRZELAŁ Z KUSZY • UTRATA PRZYJACIELA

Porządkowałem właśnie swoje notatki sulejowskie, tak sponiewierane przez złodziei, gdy zadzwonił telefon:

– Dzień dobry – odezwał się niski kobiecy głos, który sprawił, że mocniej zacisnąłem dłoń na słuchawce. – Mówi Ewa Rychcik. Osobiście nie mam przyjemności znać pana, jednak pozwolę sobie zwrócić się z prośbą...

– Ależ proszę!

– Piszę pracę o wpływie cystersów na rozwój państwowości polskiej. Dowiedziałam się, że bogaty i nigdzie dotąd nie publikowany zbiór dokumentów cystersów z Sulejowa zebrał pan profesor Herakliusz Pronobis. Poinformowano mnie także, że mieszka on obecnie w pozostałości po tamtejszym opactwie. Pojechałam więc do niego, ale... profesor już nie żył. W Urzędzie Gminy uzyskałam informację, że całą spuściznę po profesorze przejął pan i pański przyjaciel. Interesujące mnie dokumenty trafiły właśnie do pańskich rąk. Czy byłby pan uprzejmy pozwolić mi na zapoznanie się z nimi?...

– Pisze więc pani pracę...

– Tak. Co prawda tylko magisterską, ale chciałbym to zrobić jak najdokładniej...

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym pani udostępnić dokumentów po Herakliuszu Pronobisie. Są zbyt cenne, aby mogły pozostać moją prywatną własnością. Zamierzam przekazać je do Archiwum Państwowego. Uczynię to jednak nieco później. Tymczasem sam ślęczę nad historią klasztorów cysterskich.

– O, w takim razie bardzo proszę o rozmowę. Na pewno będę mogła skorzystać z pańskiej wiedzy o cystersach.

– O dziewiętnastej więc w kawiarni „Relaks”. Nie jest pani zajęta? Doskonale. W takim razie do zobaczenia.

– Ale w jaki sposób pana rozpoznam? – zapytała pani Rychcik.

Przypomniał mi się chwyt z sensacyjnego filmu.

– Będę miał w ręku gałązkę bzu – rzekłem poważnie.

Usłyszałem jej śmiech.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, na czole czułem grube krople potu. Rozmawiała ze mną nie jakąś Ewa Rychcik, ale Czarna Milady!

Moja rozmowa z nią nie należała do szczytów dyplomacji. Usprawiedliwiał mnie jednak moment zupełnego zaskoczenia. Przecież to nie jest takie codzienne – szukać wroga, myśleć o nim prawie bez ustanku, a tymczasem on nagle dzwoni i prosi o spotkanie!

– O, dam ja jej dokumenty Pronobisa. Zobaczysz jak własne ucho! Bezczelna! Jak to ona powiedziała? „Poinformowano mnie, że Pronobis mieszka w opactwie sulejowskim, pojechałam do niego, ale on już nie żył”. Kłamiesz, kłamiesz! – wykrzyknąłem. – Wiem dobrze, że zastałaś go i pytałaś o testament Bałdaricha-Bałdrzycha. Twierdziłaś, że jesteś z rodu Bałdrzychów, a gdy Pronobis zdemaskował twe kłamstwo, uciekłaś zawstydzona. A potem?... Potem staruszek zmarł na zawał serca.

Nagle zreflektowałem się. A jeśli to nie Czarna Milady odwiedziła wówczas Herakliusza? Właściwie, na jakiej podstawie opieram swoje przekonanie? Podstawa jest bardzo krucha: interesuje się sprawami sulejowskich opatów i jest w bandzie, której przewodzi tajemniczy „szef. Lecz na dobrą sprawę w grę może wchodzić jeszcze inna kobieta! Możliwe, że do bandy należy kilka kobiet. A może mamy do czynienia z dwoma grupami: jedna to „szef”, Czarna Milady, Szczurek i Bach Majonosy, druga zaś – to dwaj oszukańczy mnisi cysterscy i kobieta, która pytała Pronobisa o testament Bałdrzycha...

Postawiłem na biurku lusterko, usiadłem naprzeciw i w duchu rozpocząłem generalną próbę rozmowy z Czarną Milady: „Posądzam panią o zamordowanie Pronobisa! Wiem, pani poszukuje skarbów Bałdrzycha, pragnie pani zdobyć jego testament”.

Ale co zrobię, jeśli po takim wstępie Milady wstanie od stolika w kawiarni i odejdzie bez słowa? Przecież nie zatrzymam jej siłą, ani też nie wybiegnę za nią na ulicę krzycząc: „Łapcie morderczynię Herakliusza Pronobisa”.

Postanowiłem zatelefonować do Nataniela, aby wzmocnić się jego radą. Mistrz szczerobliwie udzielił mi przeróżnych wskazówek:

– O, Tomaszu – zawołał – masz nie lada jaką okazję, aby zabłysnąć przymiotami rozumu i inteligencji. Wydobądź z zapomnienia spryt i dowcip, których ostatnimi czasy nie raczyłeś nadwyreżać zbyt częstym używaniem. Ja ze swej strony pomogę ci skorzystać z przestróg ewangelistów i Salomona, oni uszczknęli bowiem wiele z prawdziwej mądrości. Na okazję spotkania z Czarną Milady godzi się też zajrzeć do Talmudu i Seneki.

I mistrz na chwilę odszedł od telefonu, aby przynieść grubą księgę, gdzie zapisywał skrupulatnie mądre aforyzmy. Ujął znów za słuchawkę i sypnął nimi obficie:

– Na początek ostrzegam cię, Tomaszu, byś w rozmowie z Czarną Milady zachowywał się skromnie, pokornie, bez pychy. Napisano bowiem w Talmudzie: „Człowiek szóstego dnia

został stworzony, aby nie był pyszny, bo mucha prędzej jest stworzona niż on”. Nie znaczy to jednak, abym nakłaniał cię do łagodności czy dobroci. Powiada przysłowie baszkirskie: „Jak będziesz bardzo zły, to cię powieszają, jak będziesz bardzo dobry, to cię zjedzą.” Eklezjasta poucza: „Strzeż się, abyś się nie potknął językiem swoim”, a rozumieć to należy: Gadaj do rzeczy i ostrożnie. Tam również odnalazłem zdanie: „Strzeż się chytrej a strojnej niewiasty”. Tomasz a Kempis pisze: „Nie bądź poufałym z żadną niewiastą, ale wszystkie dobre niewiasty Bogu polecaj”. Poza tym już moja osobista rada: „Miej uszy otwarte, a usta zamknięte, to poznasz głupotę innych, a własnej im poznać nie dasz”. I jeszcze na koniec małe co nieco – jak mawiał Puchatek: „Gdzie wystarczą trzy grosze, tam nie daj pięciu, gdzie wystarczą trzy słowa, nie mów dziesięciu”.

– Ale...

– Jeszcze chwileczkę, drogi Tomaszu, wszak uzbrajam cię do walki: „Gdy cię złodziej pocałuje, licz zęby, czy ich ci nie brakuje.”

Z przykrością, ale jednak odłożyłem słuchawkę, by od aforystyki mistrza nie dostać pomieszania zmysłów.

Pograżyłem się w dość ponurych myślach o swej naiwności i nieudolności, a także o podstępności natury niektórych kobiet, gdy znów zadzwonił telefon. Zły na intruza warknąłem w słuchawkę:

– Tak!

– To ja.

Słuchawka zadrżała, mi w dłoni. Usłyszałem głos Czarnej Milady...

– Nie ma co udawać, panie Tomaszu! I tak mnie pan rozpoznał. A jeśli nawet nie, to niewiele pomogłaby mi drobna charakteryzacja, której zamierzałem się poddać przed spotkaniem z panem. Czyż nie?

– Nie myli się pani. Nie rozpoznać takiego głosu!... – zaśmiałem się, nie bez niewielkiej dumy z siebie. – Ale skoro pani sama zdecydowała się zdemaskować, to co będzie z naszym spotkaniem?

– Proszę czekać o dziewiętnastej w „Relaksie”...

Śmiech i cichy stuk odkładanej słuchawki.

Na godzinę przed umówionym terminem wyszedłem do miasta, żeby kupić gałązkę bzu. Nie była już potrzebna, ale niech tam! Niestety, bzu nigdzie nie dostałem, nie było go ani w kwaciarniach, ani też u ulicznych sprzedawców. Ci mieli na sprzedaż fiołki, zaś w kwaciarniach oferowano mi jedynie prymulki. „Do diabła; wiosna, a oni bzu nie mają!” – kłąłem w duchu pędząc z ulicy na ulicę. Wreszcie kupiłem bukiet fiołków. W kawiarni znalazłem się pięć minut po dziewiętnastej.

Był to duży lokal o wielkich oknach, które upodabniały go do dużego akwarium. Między

rafami stolików, jak egzotyczne ryby, tkwiły ładne i strojnie ubrane kobiety; ich ruchy wydawały mi się ospałe i leniwe jak powolne ruchy ryb; obicia miękkich foteli były zielonkawe, panował seledynowy półmrok.

Czarna Milady już czekała. Zobaczyłem ją pod prawą ścianą, tuż obok białej kolumny. Ukłoniłem się, położyłem na stoliku fiołki.

– To zamiast bzu – powiedziałem nieśmiało.

Uśmiechnęła się i lekko skinęła mi głową.

Podeszła kelnerka, zamówiliśmy kawę. Rozmyślałem, że w karczmie „Winodaj” i starym młynie Milady wyglądała o wiele korzystniej. Może wrażenie to sprawiał nastrój niebezpieczeństwa i tajemniczości? Teraz w centrum wielkiego miasta i w kawiarni pełnej ludzi Czarna Milady nie była ani niebezpieczna, ani groźna, ani nawet tajemnicza.

Przed dłuższą chwilę i ona obserwowała mnie w milczeniu. Zapewne rozmyślała, jak zacząć rozmowę. Nagle powiedziała ze złością:

– Pańskie zainteresowanie opactwem sulejowskim też chyba nie jest zupełnie bezinteresowne!

– O, tak! – odpowiedziałem z ironią. – Jak każdego historyka sztuki. – I dodałem gorzko:

– A także jako przyjaciela kogoś, kto przez tajemnice opactwa postradał życie.

Opuściła głowę.

– A panią cóż takiego zwabiło w te malownicze ruiny nad Pilicą? – spróbowałem ataku. – Tak naprawdę.

Odpowiedziała dopiero po chwili:

– O tym porozmawiamy później.

– Niech pani będzie szczerą – poprosiłem jak najuprzejmiej.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam obowiązku być szczerą.

Zdobyłem się na jeszcze jedno ustępstwo:

– W moim mieszkaniu są wszystkie dokumenty, jakie posiadał Pronobis. Pożyczyć ich pani nie mogę. Ale pozwalam, aby pani je u mnie przejrzała.

– Dlaczego nie może ich pan pożyczyć?

– Bo nie mam do pani zaufania.

Zaczerwieniła się i gniewnie potrząsnęła głową. Zapytała ostrożnie pomijając zupełnie kwestię zaufania:

– A pan... czytał te dokumenty?

Kiwnąłem głową.

– Wszystkie? – zapytała i aż oddech przytężała w piersi. Z takim napięciem oczekiwała mojej odpowiedzi!

– Tak, wszystkie.

Patrzyła mi ostro w oczy, jakby pragnąc wydrzeć to, co chciała wiedzieć, a co bała się, że

zechcę przed nią ukryć.

– Czy... – zająknęła się – czy wśród dokumentów jest testament rycerza Jędrzeja Baldaricha-Bałdrzycha?

Milczałem. Bawił mnie jej niepokój, bo przecież tym pytaniem zagrała ze mną w otwarte karty. Milczałem i swym milczeniem mściłem się za posądzenie mnie o podłość wobec Herakliusza.

– Pyta pani o ten testament dlatego, że jest pani ostatnią z rodu Bałdrzychów? – zaśmiałem się cicho.

Wargi jej zdrząły, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Ale nie. Przygryzła je, zacisnęła. Patrzyła na mnie z nienawiścią. Czułem tę nienawiść i na sekundę strach mnie obleciał.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – rzekła zimno.

Tym razem ja wzruszyłem ramionami. Aby ją jeszcze bardziej podrażnić, wolno sięgnąłem do pudełka z papierosami. Zapalałem papierosa z namaszczeniem, celebrując gest wyjmowania zapalki z pudełeczka, zmiękczenia papierosa, umieszczania go w szklanej cygarnicze.

– Będę z panią szczerą – rzekłem w końcu, zaciągnąwszy się dymem. – Pytanie wydaje mi się dziwne i nie na miejscu przede wszystkim dlatego, że to pani powinna wiedzieć, gdzie jest testament Bałdrzycha.

– Ja? – jej zdziwienie zdawało się być szczerą.

– Zarzuciła mi pani kłamstwo. A przecież i pani skłamała. Gdy pojechała pani do Sulejowa, Pronobis jeszcze żył. Była pani u niego, prosiła go pani o testament Bałdrzycha kłamiąc, że jest pani ostatnią z rodu Bałdrzychów...

– To prawda. Skąd pan o tym wie?

– Pronobis napisał mi o tym w ostatnim liście przed śmiercią... Jestem pewien, że był on w posiadaniu testamentu Baldaricha-Bałdrzycha. Umarł, a raczej został zamordowany. A po jego śmierci testament zginął. Tak, zginął, proszę pani... Mordercy ukradli testament i napisany dla mnie szkic o opacie Bernardzie, jednym z ostatnich sulejowskich opatów.

Sięgnęła po papierosa.

– Teraz rozumiem wszystkie pańskie uszczypliwości... tam w starym młynie. Więc pan posądza mnie o udział w morderstwie?

– Tak.

Zapaliła. Moje podejrzenie podziałało na nią o dziwo uspokajająco. Rzekła drwiąco:

– Czy słuszne jest nazywanie kogoś, kogo działanie w sposób niezamierzony powoduje atak serca u innej osoby, mordercą? Przecież oboje wiemy, że biedny staruszek zmarł właśnie na atak serca...

Odetchnąłem głęboko:

– Ja jednak będę tego kogoś nadal tak nazywał. Mogę dodać mu jeszcze miano złodzieja,

skradł bowiem z mieszkania profesora testament Jędrzeja Baldaricha-Bałdrzycha i szkic o jednym z ostatnich sulejowskich opatów, ojcu Bernardzie.

Czarna Milady popatrzyła na mnie uważnie:

– A może testamentu nie ukradł, bo go nie znalazł, a szkic?... Sądzę, że łatwo go pan odtworzy z pozostałych po panu Pronobisie notatek.

– Skoro pani wie, co i czy ukradziono, to chyba powinienem panią traktować jako co najmniej współniczkę mordercy? – zapytałem siląc się na spokój.

– Niech mi pan wierzy, nie jestem winna śmierci profesora! – wymówiła z naciskiem każde słowo. – Ani nie ukradłam szkicu!

Chciałem zapytać: „A co ma pani wspólnego z kradzieżami w Nieborowie?”. Ale pomny ostrzeżeń komisarza Kolca nie wspomniałem o nich. Powiedziałem tylko:

– Tego nie wiem. Wiem natomiast, że pani jest członkiem bandy, której przewodzi „szef”. Oprócz pani do bandy należy pewien grubas i człowiek o twarzy szczura. Widziałem was razem w karczmie „Winodaj” jesienią ubiegłego roku. Zajmujecie się bardzo podejrzanymi sprawami. Pani szuka skarbów Baldaricha-Bałdrzycha. Sądzę, że jest wiele przyczyn, dla których mogę panią łączyć ze sprawą śmierci Pronobisa.

– Proszę iść na policję z tymi informacjami. A może już pan tam był?

– Nie. Ale nie jest wykluczone, że któregoś dnia odwiedzę policję.

– Nie boję się. Z „szefem” i, jak ich pan określił, grubasem oraz tym o twarzy szczura od pewnego czasu nie mam już nic wspólnego. Oni rzeczywiście zajmują się niezbyt czystymi interesami. Przez długi czas nie wiedziałam o tym. Potem się domyśliłam i natychmiast z nimi zerwałam. I to jest wszystko, co mogę panu o nich powiedzieć. Prawdą jest, że szukam skarbów Baldaricha-Bałdrzycha. Ale nie widzę w tym niczego zdrożnego. Czy nie wolno mi szukać ukrytych przed wiekami skarbów, rozwiązywać zagadki historyczne? Ostatecznie muszę coś robić, próbować z czegoś żyć. Byłam pracownikiem Muzeum Historii Sztuki, ale zwolniono mnie z powodu „redukcji etatów”. A tak naprawdę z powodu sporu z przełożonymi. Z zamordowaniem Pronobisa naprawdę nie mam nic wspólnego, powtarzam!

Zdecydowałem się położyć wszystko na jedną szalę. Powiedziałem:

– Jeśli będę szczery, odpłaci mi pani tą samą monetą?

Może mi się wydawało, ale chyba stłumiła śmiech:

– Po co panu moja szczerość?

– Chcę wykryć zabójców Pronobisa. Był moim przyjacielem. Niestety, tak się składa, że jedynie ja i ktoś jeszcze wiemy, że Pronobis został zabity. Podkreślam: zabity! Nad grobem przyrzekliśmy sobie odnaleźć morderców. Wszystkie poszlaki wskazywały między innymi na panią... Pani mówi, że jest niewinna. Więc proszę nam pomóc w schwytaniu rzeczywistych morderców!

Przełożyła fiołki z miejsca na miejsce.

– Cóż mogę powiedzieć? Że postąpiłam wtedy bardzo głupio? – złamała kwiatek. –

Zamiast powiedzieć Pronobisowi szczerze, o co mi chodzi, dlaczego pragnę przeczytać testament Baldaricha-Bałdrzycha, zlekłam się, że on może zapragnąć skarbów dla siebie. Skłamałam o swym pochodzeniu z rodu Bałdrzychów. Gdy przychwycił mnie na kłamstwie, zawstydziłam się tak bardzo, że wybiegłam z izdebki... Wtedy prawie zupełnie zrezygnowałam z odnalezienia skarbów. Ale po tygodniu zreflektowałam się. Postanowiłam wrócić do opactwa i wytłumaczyć Pronobisowi swoje kłamstwo.

– Leczn już nie żył, prawda?

– Tak. Akurat w przeddzień jacyś dwaj jego przyjaciele pochowali go w ruinach klasztoru. To był pan i... mistrz Nataniel, jak go pan nazywa.

Postanowiłem skierować myśli Milady w innym kierunku:

– Jest pani dla mnie uosobieniem zła, które przyjęło postać ładnej kobiety. Nie znam pani imienia i nazwiska. Występuje pani w moim życiu jako... Czarna Milady.

Zaśmiała się.

– Całkiem ładna ksywka!

Nie spodobało mi się użycie przez Czarną bądź co bądź Milady tego określenia prosto ze słownika przestępców.

– A skąd to pani zna grypsere? Czyżby mąż...

Przerwała mi ostro:

– Tak, siedział w więzieniu! W stanie wojennym. Wsadzili go z kryminalistami. Nie wytrzymał. Próbował uciekać i zastrzelili go! – prawie krzyczała, aż z okolicznych stolików odwrócono się do nas. Wtedy umilkła i dokończyła już cicho: – Ale to nie ma żadnego związku z tym, czy jestem dobra, czy zła.

Tak, miała rację. Mimo to dopiero po dłuższej chwili zdobyłem się na pytanie:

– A może mi pani powiedzieć, czego szukaliście w Łękach? Kim są pozostali członkowie gangu?

Prychnęła:

– Chce pan wykorzystać moje rozczulenie? Drogi panie! – znów była Czarna Milady. – Powiem tylko o Łękach. „Szeft” miał niby pewny cynk, że tam w piwnicznych regałach poukrywane są „świnki”, czyli złote dwudziestodolarówki, jeszcze z czasów okupacji. Ale nic tam nie znaleźli, a w dodatku ktoś ich jeszcze zdrowo nastraszył.

Przemilczałem swój skromny udział w straszeniu amatorów „świnek”. Zaproponowałem jeszcze po kawie. Wybrała kieliszek winiaku.

– Wie pan – powiedziała skosztowawszy trunku – na trop skarbu Baldaricha-Bałdrzycha natrafiłam robiąc pracę zleconą dla Archiwum Państwowego. Wpadł mi w ręce list przebywającego ówczesznie w Krakowie opata Bernarda do brata Michała w Sulejowie. Zawierał on nagane, że mnisi nadal nie mogą odnaleźć skarbu Baldaricha...

– Widzę, że jest pani doskonale zorientowana co do sporu pomiędzy opatem a szlachcicem! Ja natomiast mam pewne luki w wiadomościach...

– Z wielką przyjemnością przekaze panu to, co wiem. Nie pomogła mi ta wiedza odszukać skarb, to nie pomoże i panu! – zaśmiała się złośliwie, ale opowiadała już uprzejmym głosem: – Na przełomie XVII i XVIII wieku, w miejscu, które dziś zwie się Przeklętnik, wznosił się ogromny i wspaniały dwór bardzo zamożnego szlachcica nazwiskiem Bałdrzych, który przybrał sobie imię Baldarich po przodku swoim, rycerzu Baldarichu-Bałdrzychu, przybyłym w końcu XI wieku do Polski z Francji, w otoczeniu poznańskiego biskupa Franka. Szlachcic ów był nie tylko człowiekiem bardzo zamożnym, ale i uczonym, zakochanym w starych księgach. Bibliotekę w jego wspaniałym dworze zapełniały setki przeróżnych ksiąg, w parku dworskim na małej wysepce miał Bałdrzych pracownię i wieżę, z której obserwował ruchy planet. Zajęty księgami, które zastępowały mu przyjaciół, unikał życia dworskiego i w ogóle ludzi. Nie miał krewnych, był bowiem ostatnim z możliwego rodu Bałdrzychów.

– A więc profesor miał rację... – wtrąciłem nieco uszczypliwie, ale Czarna Milady jakby nie zwróciła na to uwagi.

– Ludzie żyjący inaczej niż większość zazwyczaj budzą niechęć. Tak stało się i w wypadku Bałdrzycha. Niechętni rozsiewali o nim plotki, że trudni się alchemią. Miał też wielu wrogów, a największym z nich był opat Bernard z sulejowskiego klasztoru. Nienawiść opata Bernarda do szlachcica Bałdrzycha była tym większa, że kiedyś łączyła ich przyjaźń. W korespondencji opata Bernarda z bratem Michałem jest zdanie: „Bałdrzych, jak fałszywy pies, zyskał sobie naszą przyjaźń, pragnąc potem zdradliwie ukąsić nas i zniesławić”. Z korespondencji tej trudno jednak wywnioskować, co stało się przyczyną, dla której przyjaźń między opatem Bernardem a Bałdrzychem przekształciła się we wrogość.

Czarna Milady sięgnęła po papierosa.

– Zdobywszy u przekupionego sługi szlachcica jakoweś jego notatki opat przygotował oskarżenie Bałdrzycha o herezję, aby zawładnąć jego majątkiem. Dowiedziawszy się o tym Jędrzej Baldarich-Bałdrzych umknął z kraju – ponoć zostawiając swe kosztowności dobrze ukryte. Majątek i tak jednak otrzymało opactwo, gdyż na Trybunale Piotrkowskim opat przedstawił świadków (fałszywych oczywiście), którzy potwierdzili, że dobra swoje szlachcic miał szczerzy zamiar zapisać w testamencie cystersom, czemu przeszkodziła nagła śmierć podczas przeprawy przez Wisłę po lodzie. Ale kosztowności pozostały w ukryciu. Schowek miał być ponoć wskazany w testamencie, którego do dziś nie odnaleziono. Może jest to tylko legenda, jak i to, że Jędrzej Baldarich-Bałdrzych został za herezję spalony na stosie w Piotrkowie w 1715 roku. Aby zniechęcić ewentualnych spadkobierców szlachcica, bo tacy zawsze się mogli znaleźć, choć Jędrzej zmarł bezpotomnie, opat Bernard kazał jego dwór zrównać z ziemią, a miejsce po nim ogłosił przeklętym. I stąd mamy Przeklętnik – Czarna Milady zakończyła swą opowieść ze śmiechem.

– Czy reszta gangu też wiedziała to wszystko? – spytałem niezmiernie zaciekawiony.

Machnęła lekceważąco ręką:

– Wtajemniczyłam ich w tę historię, bo sądziłam, że mi dopomogą w odnalezieniu skarbów. Lecz, widzi pan, oni nie lubią gruszek na wierzbie. Poszukiwanie skarbów to dla nich mrzonki. Puścili się na nieuczciwe interesy i wówczas zerwałam z nimi.

– Należy ich zatem odrzucić jako ewentualnych morderców Pronobisa?

Usiadła. Zastanowiła się:

– „SzeF” bagatelizował sprawę skarbów. Kilkakrotnie żądałam, żebyśmy nareszcie zabrali się do poszukiwań. On zawsze odpowiadał: „Potem, potem, teraz musimy przede wszystkim zarobić grubszą forszę”.

– Czy oni wiedzieli o testamencie Bałdrzycha?

– Oczywiście. Testament jest kluczem do odnalezienia skarbów. Tego klucza nie miał opat Bernard i dlatego nie zdobył skarbów.

– A skąd miała pani wiadomość, że testament jest w ręku Pronobisa?

Spojrzała na mnie zdziwiona:

– Pronobis opublikował w tej sprawie artykuł w „Kwartalniku Historycznym”. Pan go nie czytał?

– Nie. Herakliusz także nic nie wspominał...

– Zapewne nie przywiązywał do tego wagi.

Znów zapaliła papierosa.

– Zakwestionował datę śmierci Bałdrzycha i w ogóle jego spalenie na stosie. W „Kwartalniku Historycznym” napisał, że będąc swojego czasu w Paryżu natrafił na Sorbonie na testament Bałdrzycha napisany przez niego na krótko przed śmiercią, która nastąpiła w końcu 1716 roku. Pronobis zaznaczył w swym artykule, że posiada dokładny odpis testamentu i że na testamencie jest data: 1716, co dowodzi, że Bałdrzycha nie spalono na rynku piotrkowskim w 1715 roku.

Nagle coś mnie podkusiło, by zapytać:

– Nie prościej było odszukać oryginał testamentu w Paryżu, niż narażać na śmierć niewinnego człowieka?

– Koszta! – syknęła. Takiej Czarnej Milady nie widziałem. – A poza tym nikt nie chciał jego śmierci! – poderwała się z krzesła.

I ja się podniosłem:

– A tak na do widzenia: czy nie strzela pani z łuku?

Aż cofnęła się:

– Z czego?

– No, może nie z łuku, tylko z kuszy?!...

Oczy kobiety zabłysły nagle:

– Jeśli już, to chybiam!

Tak wiele zważyło się na moją biedną głowę, że poczułem potrzebę odetchnięcia od otaczającego mnie hałasu wielkiego miasta – gwaru ludzkich głosów, jazgotu i warkotu

maszyn. Musiałem wyskoczyć z Warszawy choć na kilka chwil. Dokądkolwiek!

Wsiadłem do wiernego wehikułu i poturlaliśmy się Wisłostradą, o wiele za wolno jak na nerwy warszawskich kierowców, którzy obdarzali nas przekleństwami przez uchylone okienka aut i otrąbywali klaksonami. Ale mnie zupełnie co innego zaprzętało myśli niż idiotyczne wyścigi po Wisłostradzie. Wreszcie stolica była za nami i za nami była również pseudoautostrada do Katowic.

Skręciłem w pierwszą z brzegu, byle tylko wyglądającą na mało uczęszczaną, szosę i odetchnąłem z ulgą. Cisza. Podkreślana tylko przyjaznym pomrukiem silnika idącego na wolnych obrotach i, tak jak ja, zadowolonego z tego.

Powoli, jakby w rytm lekkich zakrętów i niewielkich wzniesień, myśli porządkowały się, problemy same wskazywały swe rozwiązania. Cień mijanych lasków koł zmęczone ślęczeniem nad notatkami oczy.

Aż na nieważne którym kilometrze dogonił nas zmierzch i w oknach mijanych wiosek zapaliły się przyjazne światła. Włączyłem i ja światła mijania...

Wjechałem w jakiś większy las, szosa skręciła i w blasku reflektorów ukazał się znak niestrzeżonego przejazdu kolejowego. Zwolniłem jeszcze bardziej, bo drzewa dochodziły tu prawie do samej drogi i torów, zasłaniając widok na boki. Wrzuciłem luz i z nogą na hamulcu pozwoliłem wehikułowi toczyć się ku połyskliwej wstędze szyn...

Teraz, po upływie czasu, zdaję sobie sprawę jak niedoskonała jest „najdoskonalsza” opowieść, wszystko, co tu opiszę bowiem „po kolei”, działo się jednocześnie, w sekundzie lub może jej ułamku.

Puste tory po prawej. Po lewej uchylające się w zakręt. Opodal przejazdu dwie drobne sylwetki pochylone nad szynami. Skrzynka czy pudełko między nimi. Zza zakrętu gwizd pociągu...

Hamulec! Uderzam barkiem w drzwi wozu! Bieg zatykający oddech w piersiach. Od zakrętu szyn światło. Chwytam chłopców za ręce. Kopię nogą skrzynkę. Staczymy się w rów. Tuż nad nami łoskot pociągu... I trzask miazdzonego metalu, jęk rozdieranych blach na przejeździe. Oszałamiający zgrzyt hamulców lokomotywy, pisk wagonów, kłęby pary. Płacz chłopców, których wciąż jeszcze trzymam za ręce, a obok ta skrzynka, jakieś przewody. „Zmajstrowali bombę” – myślę i puszczam małe dłonie. Od pociągu biegną kolejarze. Coś wołają. A ja idę, gdzie przejazd i dalej, dalej... gdzie rozwłózione, potrzaskane blachy...

Potykam się o coś... Kierownica. Przyklekam i kładę na niej dłonie, tak jak trzymałem ją przez tyle, tyle kilometrów... Dobrych i złych... „Biedny wehikule nawet w swą ostatnią podróż nie zabrałeś mnie na darmo...”

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

**CÓŻ MI PO MEDALACH • KWIATY DLA PRZYJACIELA • POCHWAŁY
MISTRZA I DYREKTORA • LIST ZZA GROBU • KOGO WŁAŚCIWIE
KOCHA BABIE LATO • SZCZUREK W PUŁAPCE • LIST Z AMERYKI**

– Jeszcze raz niech mi będzie wolno w imieniu uratowanych, naszej instytucji i moim własnym podziękować panu i pogratulować nadzwyczajnej odwagi! – minister transportu mocno uścisnął mi dłoń i potrząsnął nią, uśmiechając się jednocześnie w stronę kamer i błyskających fleszy fotoreporterów.

Rozległy się brawa. Przyszpilony do klapy marynarki medal kłuł mnie w pierś, a w palce kolce róż, których wielki bukiet wręczyła mi śliczna panienska. Jeszcze tylko odpowiedzi na pytania dziennikarzy...

Wreszcie byłem wolny! Odebrałem kurtkę w szatni i żegnany serdecznym uśmiechem szatniarza, rozczulonego napiwkami, wyszedłem z gmachu.

Zatrzymałem taksówkę:

– Składnica złomu na Metalowej – rzuciłem kierowcy.

Zerknął na mnie zdziwiony.

„No tak!” – uśmiechnąłem się mimo woli. – „Róże i złom!”

Pilnujący złomowiska też popatrzyli dziwnie:

– Czubek albo naprany! – usłyszałem za sobą.

Poszedłem w kąt placu, gdzie już rdza znaczyła szczątki mego wiernego wozu. Poklepałem go, jak zawsze, delikatnie na powitanie i położyłem bukiet na zmiażdżonym bloku silnika. Stałem przez chwilę milcząc, z pochyłą głową, jakby czekając, że znów odezwie się do mnie swym niskim cichym warkotem. Jeszcze raz przesunąłem dłonią po rozdartej karoserii i odszedłem.

– Drogi mój! – zakrzyknął Nataniel sadowiąc mnie w fotelu i częstując cygarem. – Moje gratulacje! Moje!...

Lekko wzruszyłem ramionami.

– Nie masz racji, Tomaszu! Po raz wtóry mówię ci, że nie masz! W czasach, gdy medale dostaje się za odbieranie ludziom życia za to tylko, że noszą inne mundury bądź mówią innym językiem, ciebie uhonorowano za uratowanie życia! Dlaczego nie cieszy cię to?!

– Ależ cieszę się, że rozbrojona przeze mnie bomba nie wykoleiła pociągu i nie zabiła jej wykonawców. Ale...

Mistrz uniósł się w fotelu:

– Jakież tu może być „ale”?

Przesunąłem ręką po czole:

– Takie, że przy tym straciłem przyjaciela...

Nataniel uśmiechnął się pobłaźliwie:

– Och, co za górnołotności! Owszem straciłeś pojazd, wóz, samochód przydatny w twojej pracy, ale nazywać rzecz, bądź co bądź martwą, przyjacielem?

Nie wytrzymałem:

– I to mówi ktoś, kto takim uczuciem darzy swego cadillaca?!

Mistrz poczerwieniał z lekka:

– Jakim uczuciem? Proszę, bierz go i jeździj na zdrowie, dopóki nie dorobisz się nowego wozu!

– Dziękuję. Nie skorzystam.

Odpowiedziało mi ciche westchnienie ulgi.

Dyrektor Marczak złożył mi telefonicznie także jak najserdeczniejsze gratulacje. Posunął się nawet do tego, że obiecał rozpocząć starania o przydział dla mnie służbowego wozu, w co chyba obaj nie wierzyliśmy. Ochrzczył mnie także mianem chluby polskiej kultury i nazwał niedoścignionym wzorem.

Tu nie wytrzymałem i chrząknąłem. Dyrektor ucichł na chwilę i zakończył rozmowę w swym zwykłym stylu:

– A ten James Bond, na którego pan czeka, jakoś nie odpowiada na naszą ofertę. Zresztą, po co panu taki supermen? Pańskie zdolności w zupełności wystarczą!

Minął czas jakiś i udało mi się otrząsnąć z przygnębienia po utracie wehikułu. Praca nad życiorysami opatów sulejowskich posuwała się rażno naprzód.

Pewnego pochmurnego dnia wbiegłem właśnie na piętro, gdzie mieszkam, gdy ujrzałem wetkniętą za framugę szarą kopertę.

„Pewno jeszcze jeden wielbiciel mego bohaterstwa!” – pomyślałem, rozrywając papier i rozkładając wydobytą kartkę...

Tomaszu!

Niespokojny, niosący nie znaną mi groźbę czas nastał w mym sulejowskim zaciszu! A ja mam tak mało sił. Biorąc więc pod uwagę zakusy tajemniczych a podłych zapewne gości, postanowiłem zabezpieczyć się przed nimi. Przy okazji, wzorem Jędrzeja Baldaricha-Baldrzycha, zakupiłem też z niemilego mi opata Bernarda.

Poznałem pismo mego przyjaciela Pronobisa!

Ostatnia litera przeciągała się rwaną kreską w dół karty, jakby piszące ją pióro wypadało już z ręki profesora...

Na dole strony dopisano na maszynie:

Pisał to do Pana w tamten tragiczny dzień. Niech więc list dotrze, choć z opóźnieniem do adresata.

Pod tymi dwoma zdaniem nikt się nie podpisał. Pomyślałem jednak o Czarnej Milady. I nie była to, o dziwo, myśl najgorsza.

Dzień i noc próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie: „W jaki sposób profesor zakupił z opata?”

Może jakieś wskazówki znalazłbym w szkicu Pronobisa o Bernardzie? Szajka ukradła go, ale nic jej nie pomógł... może gdyby dostał się w moje ręce? Ba! Gdyby!

Ranek nie przyniósł wskazówki ułatwiającej rozwiązanie zagadki, postanowiłem więc wspomóc swój mózg niepoślednim umysłem mistrza Nataniela.

Owszem, przyjął mnie nader gościnnie, ale na prośbę o pomoc uśmiechnął się jakby z żalem:

– Wątpię, drogi przyjacielu, że moja pomoc może być znacząca w sprawie przeciwko gangowi i temu czcigodnemu starcowi – wskazał portret opata. Pospekulować mogę... Jednak autorytetem jesteś tutaj ty, Tomasz!

Chcąc dopomóc mistrzowi w „spekulacjach” opowiedziałem mu historię czuwania Trzech Urwisów w Nieborowie oraz o celnych strzałach ich proc i późniejszym zdemaskowaniu moich pomocników przez kobietę z zagranicznego samochodu. Sprawę globusów oczywiście przemilczałem.

Śmiał się długo, rozbawiony do łez owym „Achtung! Achtung!” Piotra. Zgodził się też, że kobietą była najprawdopodobniej Czarna Milady, a samochodem jej volvo. O rozmowę w kawiarni nie pytał, bo skoro nie wspomniałem o niej, to nie przyniosła mi nic dobrego ani ciekawego.

– Cóż z tego może być przydatne dla nas w sprawie tajemnicy listu profesora, Tomasz? Niestety nic...

Westchnąłem smutno.

Słyszając to mistrz wyciągnął ku mnie rękę nad stolikiem:

– Wiesz, pojedźmy do Sulejowa? Może tam, na miejscu śmierci naszego przyjaciela, u jego grobu, spotka nas natchnienie? Może natrafimy na jakiś zapomniany a istotny dla sprawy szczegół? – zaśmiał się niespodziewanie radośnie.

A ja, wciąż smutny i zły nie mogłem powstrzymać się od szeptu:

– Tak ci spieszno do spotkania z grobem profesora czy z Babim Latem?...

– Ależ Tomaszu! – zdumiał się niewinnie.

Następnego ranka mknęliśmy już mistrzowskim cadillakiem do Sulejowa. Była połowa maja. Opactwo sulejowskie widniało z dala jak zielona kępa. Ponad szerokie korony drzew wystrzeliwały ostre kolce baszty opackiej i wieży krakowskiej, niżej wśród zieleni prześwitywał fragment muru obronnego. U stóp łagodnego wzniesienia, na którym mieścił się klasztor, płynęła pośród złotych mielizn Pilica. Na niskim brzegu u wodopoju brodziło bydło, a na piaszczystą łachę rybacy wyciągali sieć obwieszoną kroplami wody.

Nataniel, nie pytając o zgodę, zajechał wprost na podwórzec klasztoru i zatrzymał auto przed wejściem do mauretańskiej wieży. Zaraz też wybiegła do nas Babie Lato, a później wyszedł malarz Bogumił w kitlu zbrukanym farbami.

Mistrz opuścił oczy, jak przystało na nieco mijającego się z prawdą:

– Chcemy poszperać w starych dokumentach klasztornych. Namówiłem Tomasza, abyśmy przy sposobności wdepnęli do przyjaciół. Zawsze interesowałem się malarstwem, choć w tej tak wdzięcznej dziedzinie pozostaję jedynie laikiem.

– Po cóż ta przesadna skromność? – zawołał Bogumił. – Pański esej o Piotrze Brueglu należy do mych ulubionych lektur. Co prawda, więcej jest w nim refleksji filozoficznych niż analizy, ale to właśnie przydaje mu uroku.

– A czy można zapoznać się z ostatnimi pańskimi pracami? – uśmiechnął się nieśmiało mistrz.

– Ależ naturalnie! – Bogumił pokraśniał z dumy. – Wszystko, co ukończyłem tutaj... Proszę, proszę do pracowni!

Nataniel stał długo przed płótnami, wreszcie wyszeptał:

– Wspaniale! Formidable!

Odchodził i podchodził ku obrazom. Patrzył na nie ocieniwszy oczy dłonią. Przykucał i wspinał się na palce.

Rumieńce malarza rosły.

– No, no, Bogumile! – dodałem i ja.

– Co jest najważniejsze dla pana w sztuce? – spytał niewinnie mistrz.

– Ludzie. Przede wszystkim ludzie! – odparł dumnie Bogumił.

– Taaak? – mruknął Nataniel.

Spojrzelismy na niego pytajaco. Mistrz zastanowil sie chwile, potem wyjasnil:

– Dlaczego wiec za temat tych dzieł obral pan ruiny?

– Bo sa piekne – bronil sie Bogumil.

Mistrz wzruszil ramionami, jakby to nie on zachwycal sie przed chwila dziełami malarza:

– Odkad to, drogi panie, piekno stanowi sensowny argument? Nie wolno malowac dla samego piekna, nie nalezy uprawiac sztuki dla sztuki. Zwlaszcza, gdy sie obralo czlowieka za godlo!

Co powiedziawszy wyszedl z pracowni, a Bogumil popedzil za nim placzac sie w wyjasnieniach i zbyt obszernych spodniach.

– A ciebie co tu przynioslo? – chmurnie spojrzala na mnie Babie Lato korzystajac z chwili, gdy byliśmy sami. W jej oczach zamigotaly zle iskierki.

– Nie tyle przynioslo, co przywiozlo – wskazalem przez okno lsnajacego cadillaca. – Przywiozl mnie Nataniel, nie pytajac o zgode. Gdyby nie on, nigdy nie osmielilbym sie macic szczescia, jakiego w tak uroczym zakatku zapewne zazywasz z Bogumilem – powiedzialem ze zloscia, silac sie na wyszukany styl mistrza.

Potrzasnela lokami o zlotej barwie. Westchnela:

– Szczescie jest bardzo kapryсне...

Milczalem niegrzecznie, zapytala wiec powtornie:

– I naprawde przyjechales czytac stare papiery?

– Nie mam powodow, zeby klamac.

Znowu potrzasnela glowa. Robila to zreszta specjalnie, aby zademonstrowac swoje piekne wlosy.

– Jesteś, Tomaszu, niepoprawny. A przeciez przyjacielem twoim jest wielki znawca kobiet, mistrz Nataniel? Nie moglybys go poprosic o rade w kwestii zrecniejszego postepowania z kobietami?

– Pociesz cię chyba wiadomosc, ze Nataniel odwiedzil Sulejow nie dla szperania w starych dokumentach?

– Szkoda, ze nie chodzisz jego sladami – powiedziala i odeszla. Bogumil, pogodzony juz z mistrzem, poprosil ja, aby przygotowala jakis posilek.

Wiedziala, ze na nia patrze. Szla wolno, wyprostowana i tak samo jak wowczas, gdy Nataniel ujrzal ja w ruinach opactwa, jej przejrzysta suknie w kwiaty slonce przeswietlalo jak szklany witraz klasztorny. Widzialem zarys zgrabnych nog. A kiedy dotarla do schodow mauretańskiej wiezy – przystanela, odwrócila sie i przeslala mi usmiech, który – zamiast ucieszyc – tylko mnie zasmucil.

Odwrociłem się na pięcie i powędrowałem na ukos przez podwórzec opactwa, kierując się w stronę cmentarzyska mnichów. Chciałem posiedzieć chwilę w ciszy u grobu naszego przyjaciela.

Dawny dziedziniec zarastały krzaki dzikiej róży, za nogi chwytały kolczaste gałzki

jeżyn; rósł tu rdest i ostra szablista trawa.

Były jeszcze i brzozy. Zarastały cmentarzyk mnichów tam, gdzie w młodej zieleni traw lśnił w słońcu czarny prostokąt nagrobka. Usiadłem na ławeczce przy nim i zamyśliłem się głęboko.

– Ani tobie nie zdążyłem pomóc, profesorze – powiedziałem cicho – ani sobie pomóc nie potrafię – pomyślałem z żalem o Babim Lecie.

I po jakimś czasie zacząłem przeklinać Bogumiła:

– Co za diabeł go tutaj sprowadził! To opactwo uważa prawie za swoją własność! Oprócz mnie, Pronobisa i Nataniela nikt o nim nie wiedział, tylko my trzej rozkoszowaliśmy się jego urokami. I gdy pomyślę, że ten malarzyna rozsławi je teraz na całą Polskę, że zaczną tu zjeżdżać turyści i malarze!... Tak, Bogumile! – poderwałem się z ławeczki przygrobnej. – Zabrałaś mi Babie Lato, a teraz kradniesz opactwo! Moje! I moje Babie Lato!... – zająknąłem się – ona... ona...

Uspokoilem się nieco, ale po chwili rozgoryczenie znów wzięło górę.

– Kochała mnie – monologowałem. – Rozłączyły nas *Dzieje opatów sulejowskich*. Stwierdziła, że nie mam przed sobą przyszłości i lepszy jest malarz. Teraz przestało jej odpowiadać malarstwo, zabiera się do poezji.

– Nataniel jest pięknym mężczyzną – odpowiedziałem sam sobie.

– Tak. Tylko, że już niemłodym – rzekłem nie bez satysfakcji.

– Wielcy poeci, mimo podeszłego wieku, potrafią uszczęśliwiać nawet młode kobiety – uśmiechnąłem się do siebie przekornie.

Wzruszyłem ramionami:

– Niech się im szczęści. Chętnie zatańczę na ich weselu.

– Taak? – zdziwiły się zgodnie moje oba „ja”.

Nadeszli Nataniel i Babie Lato. Ona trzymała go za rękę, ale zobaczywszy mnie odsunęła się od mistrza.

– Zaraz nastąpi coś w rodzaju obiadu. Bogumił poszedł do miasteczka po trunki – wyjaśniła.

Rzuciłem jej niechętne spojrzenie. Powiedziałem do Nataniela z wyrzutem:

– Mieliliśmy zabrać się do pracy?

– Obrażę się – zawołała Babie Lato.

Mistrz pocałował ją w koniuszki palców.

– Skarby Baldaricha-Bałdrzycha nam nie uciekną. Największy skarb to miłość i uroda, a truizm ten, wymyślony przez starych mistrzów, przypieczętuujemy butelką dobrego wina.

– Może Urwisy wiedzą coś nowego?

– Potem, drogi Tomaszu, potem! – uśmiechnął się dobrotliwie mistrz.

Pod rosochatym dębem, naprzeciw mauretańskiej wiedzy, stał w trawie stół otoczony

ławkami. Połyskiwały na nim talerze z pieczoną kurą, sałatą i rzodkiewkami oraz butelka jarzębiaku. Wino w Sulejowie okazało się bowiem tak kiepskie, że Bogumił nie chciał nim zrazić subtelnego podniebienia mistrza Nataniela. – Natomiast wódeczką poeci nigdy nie gardzili – tłumaczył się Bogumił.

– To prawda – zaśmiał się mistrz. – Chociaż usiłuje wmówić w nas Kajetan Węgierski:

Rośliny z ziemi piją, ziemia pije z nieba.

Wszystko pije, bracia mili, więc i nam pić trzeba.

– Mnie to nie dotyczy – odwróciłem kieliszek do góry dnem. – Nie jestem poetą!

Odpowiedział mi ogólny pobłażliwy śmiech. Babie Lato była rozochociona, zawołała wskazując na mnie palcem:

– Patrzcie na Tomasza! Jakże on smutny...

Nie byłem smutny. Rozmyślałem o Bernardzie i Bałdrzychu. Ale dla Babiego Lata milczenie było zawsze oznaką smutku.

– Może byśmy tak zaśpiewali? – zaproponował malarz, już w najlepszej komitywie z mistrzem. – Jak plener, to plener!

Nataniel skinął przyzwalająco głową. Babie Lato zaprotestowała:

– Nie, nie. Najpierw niech Tomasz powie, dlaczego jest smutny.

Odeszła mi ochota do rozmowy. Jak wielu zakochanych mężczyzn na moment doznałem krótkiego olśnienia: „Ach, jakaż ta dziewczyna jest głupia i nieznośna...”

Ozwał się malarz:

– Trudno być wesołym wśród ruin i gruzów. Tym bardziej, jeśli uwierzyć temu, co słyszałem o dziwnych białych mnichach i śmierci Herakliusza Pronobisa. Na mnie opactwo również działa momentami przygnębiająco pomimo swego piękna. Nie maluję wtedy.

– Mam nadzieję, że te chwile nie zdarzają się panu często – zatroskał się Nataniel, mrugając do Babiego Lata.

Odpowiedziała mu chichotem.

Wstałem od stołu. Uroczą trójkę zdawała się tego nie dostrzegać.

Poszedłem na spacer w stronę baszty opackiej. Ongiś obok niej znajdował się wspaniały pałac i rozciągały się żyzne ogrody – jeśli wierzyć relacji księdza Mucante, sekretarza nuncjusza, który wraz z kardynałem Geatano w 1597 roku gościł w Sulejowie u opata Schenkinga. Teraz tylko niekształtna kupa gruzu, fragment muru z łupku i sklepienie kolebkowo piwnice oznaczały miejsce, gdzie mieszkali opaci sulejowscy. I być może właśnie stąd, z tej czworokątnej baszty opackiej, wysoko ponad rzeką spoglądał na drugi brzeg opat Bernard. Nie myliłem się chyba, kiedy na podstawie portretu pędzla Tretki spróbowałem przedstawić charakter Bernarda, człowieka o twarzy wychudłej od ciągłych postów i umartwień...

Usłyszałem kroki za sobą i odwróciłem się... Nie, to nie złudzenie! Prawie biegł za mną mistrz Nataniel!

Dogoniwszy odezwał się zasapany po biegu:

– Omyliłem się. Tak, omyliłem się. To nie ty ją kochasz, ale ona ciebie.

Milczałem, ciągle jeszcze będąc myślami przy wrogu rycerza Bałdrzycha.

Nataniel poklepał mnie po plecach:

– Wie, że popełniła błąd wiążąc się z malarzem Bogumiłem. Mści się za to właśnie na tobie, ale taka jest logika kobieca... O, nie będziesz z nią miał łatwego życia!

– Bo też i nie zamierzam z nią żyć – mruknąłem.

– Toteż tym bardziej powinieś wrócić do stołu! – zawołał mistrz z odcieniem ulgi w głosie i ujął mnie pod ramię.

Dogryzając kurzą nóżkę Babie Lato nie przestawała mi dokuczać:

– Tomasz jest sentymentalny. On kocha w kobietach swoje własne o nich wyobrażenie. Ukochaną kobietę zamknąby w ruinach i czytałby jej strona po stronie *Dzieje opatów sulejowskich*. To straszny człowiek, drodzy moi.

Nataniel rzekł:

– *Dzieje opatów sulejowskich* to wielkie dzieło. Nie na tym polega zło, że Tomasz pracuje nad tym dziełem, ale że mówi o nim kobietom. Zło w tym, że nie potrafi być dla kobiet pobłażliwym.

– Nie wszystkie kobiety wymagają pobłażliwości – wtrąciła Babie Lato. – A jednak z was wszystkich tylko Tomasz potrafi kobietę kochać najprawdziwiej!

I uzupełniła płaczliwie:

– Tomasz mnie nienawidzi. Wiem to. Nienawidzi z powodu Bogumiła. Ale ja rzucę Bogumiła i wrócę do Tomasza, zobaczycie.

Malarz uśmiechnął się z politowaniem. Nataniel ujął czule dłoń Babiego Lata.

– Nie martw się, dziecińko. Twoje szczęście i mnie leży na sercu. Tomasz stał się uwodzicielem. W Nieborowie, gdzie odpoczywaliśmy, uwiódł aż trzy kobiety – skłamał z głęboką satysfakcją.

Cóż było robić? Po raz drugi tego dnia wstałem od stołu, wynajdując byle pretekst. Zresztą, tym razem nikt za mną nie gonił. Mogłem swobodnie oddać się rozważaniu nad tajemnicą „listu z za grobu”. Niestety, znów bez rezultatu.

Napotkałem Babie Lato, Bogumiła i Nataniela nad rzeką. Stali na skraju piaszczystej łachy i łodygami wikliny płoszyli rybki, które zgromadziły się w małej i płytkiej zatoczce. Na mój widok Babie Lato porzuciła towarzyszy i pobięła mi naprzeciw. Dopadła mnie i zaczęła szeptać przymilnie:

– Przepraszam cię, Tomaszu. Nie gniewasz się, prawda? Oni... – obejrzała się – oni są nie dla mnie. Bogumił, cynik i nudziarz, Nataniel zaś zbyt mądry. Traktuje mnie jak nieszkodliwe

zwierzątko. Och, podrapałabym go za to...

Nagle w jej słowa wdarł się ostry, znajomy mi gwizd...

Odwróciłem się ku opactwu...

Zza sterty cegieł machał do mnie Jarek. Pobiegłem na górę:

– Co się stało? – wysapałem.

– Melduję, że dorwaliśmy jednego z szajki – służbiście wyprężył się rozradowany chłopak – tego z mordką szczura.

– Gdzie on jest? Lecimy!... – poderwałem się.

Urwis zatrzymał mnie ręką:

– Jak mówię, że dorwaliśmy, to dorwaliśmy. Bez pudła! Przecież obiecałem, że się nimi zajmiemy!

– No to trzeba zawiadomić policję! – nie przestawałem się gorączkować.

– Piotr skoczył już po nich na rowerze. Marek pilnuje klienta. Chodźmy do niego. Tylko powoli, druhu, powoli!

– Ja ci dam powoli!

– I to ma być nagroda za wierną służbę! – westchnął obłudnie Jarek.

Marka znaleźliśmy na małym placyku pod murami. Udawał wielce zajętego ścinaniem kijem niepokornych pokrzyw, ale dostrzegłem, jak zabłyśły mu oczy na mój widok.

– Czołem, druhu!

– Czołem! A gdzie jest ten Szczurek?

– Wszystko we właściwym czasie – popatrzyły na siebie Urwisy.

Obiecałem już sobie nic nie mówić, o nic nie pytać. Nie chciałem pozbawiać akcji odrobiny tajemniczości, tak miłej młodzieńczym sercom.

Zresztą słyhać już było warkot silnika i sfatygowany policyjny fiat wdrapał się na wzgórze. Wskoczył z niego Piotr, a zza kierownicy wysiadł policjant uśmiechnięty radośnie. I w ogóle wyglądający tak, jakby cały świat chciał przycisnąć do serca.

„Czy tak powinni wyglądać policjanci?” – pomyślałem. – „A może właśnie tak?”

– Aspirant Gawryłło – zasalutował, gdy mu się przedstawiłem.

– Wiem, słyszałem o panu od tych urwipolców – zaśmiał się do Urwisów. – A gdzie nasz główny bohater? – rozejrzał się z życzliwą ciekawością.

– Przepraszam, hm – chrząknął Piotr – ale właśnie pan komendant na nim stoi...

Oficer odskoczył:

– Jak to? Przecież tu pusto... tylko ta płyta.

– Właśnie, płyta – delikatnie przesunął policjanta o kilka centymetrów Marek. – No, chłopaki, odsuwamy!

Zaparli się, zasapali i wielka płyta z piaskowca odsunęła się ukazując czarny otwór.

– No, wylaż pan, panie Szczurek! – zawołał Jarek.

– Wychodzić, policja! – aspirant daremnie starał się nadać swemu głosowi groźne

brzmienie.

Ale i tak poskutkowało! W otworze coś zaszeleściło i na powierzchnię wygramolił się Szczurek. „Obciął nas” – jak to się mówi – ostrym jak brzytwa, nienawistnym spojrzeniem i już jego twarz była o ton życzliwiej uśmiechnięta do świata niż twarz aspiranta:

– Policja? – zdumiał się. – Proszę bardzo, tylko...

– Dokumenty! – policjant wyciągnął rękę.

– Proszę bardzo! – skłonił się złodziejasek i wyciągnął z kieszeni wymiętoszony dowód osobisty.

– Sójka Zenon... Warszawa... – spojrzał mu w oczy aspirant.

– Jak pan się tu znalazł?

– Ja? – odpowiedział mu Szczurek niewinnym spojrzeniem. – Fiacikiem. Stoi tam za zakrętem... Turystycznie tu jestem, panie aspirancie. Czy zrobiłem coś niewłaściwego penetrując te czcigodne ruiny?

Aspirant chrząknął i spojrzał na mnie i chłopaków.

„A żeby to!” – zakląłem w myślach. Ptaszek wymykał się nam z rąk. Jedyne pożytkiem z całego trudu Urwisów to świadomość, że szajka nie odnalazła testamentu, nie ukradła go profesorowi! Szukają na ślepo, nawet po takich dziurach!

– Sądzę – Szczurek tymczasem przeszedł do ataku – że to raczej ja mam powody, by wzywać pomocy policji, gdy mnie w ten bandycki sposób uwięziono! Nastraszone, a ja mam chore serce! – zmiotosił marynarkę na piersi.

– Zamierza pan więc wniesć oskarżenie o chuligański napad?

Nawet pogodny aspirant tracił chwilami dobry humor.

Dostrzegł to i rzezimieszek, bo cały aż rozpląnął się w uśmiechach:

– Ależ skąd, panie władzo? Oskarżać takich miłych młodzieńców? Ot, figle im jeszcze w głowie. Wszystko co robią, to przecież dziecinada – kłujące jak igła spojrzenie spod półprzymkniętych powiek uderzyło mi w oczy i zgasło. – Dziecinada...

– Oczywiście, drogi panie – przyklasnął mu aspirant – ale jestem pewien, że to, co pan robi, dziecinadą nie jest! I raczej prędzej niż później będzie pan za to nagrodzony też nie po dziecinnemu i to na długie lata! – oznajmił radośnie.

Mały Szczurek zmałał jeszcze bardziej pod wpływem tego radosnego głosu. I tak skulony podreptał w dół zbocza. Był już daleko, gdy odwrócił się i pokazał nam tak zwany „Kozakiewicza gest” czy też „jak się zgina dziób pingwina”. Ledwo jednak zdążył się odwrócić, obok mnie warknęła obracana proca...

– Łaj! – wrzasnął Szczurek chwytając się za trafiony pośladek i pomknął w dół niczym ranny jelen.

– Strzelanie z procy, choć naganne, jako czyn o znikomej szkodliwości społecznej nie podlega ściganiu przez policję! – radośnie oznajmił aspirant. Zasalutował dziarsko i wsiadł do radiowozu nucąc:

– Brunetki, blondynki...

Urwisom i mnie nie było jednak do śmiechu. W milczeniu poszliśmy nad grób profesora, by odnowić przyrzeczenie, że dopadniemy jeszcze sprawców jego śmierci.

– Innym bandziorem też nie przepuścimy – szepnął Piotr.

W drodze z Sulejowa ja prowadziłem cadillaca. Mistrz po choćby odrobinie alkoholu za nic nie dotknąłby kierownicy. Nie skąpił mi jednak zbawiennych rad, jak mam skręcać, kiedy hamować, a kiedy zmienić bieg. Za to przynajmniej przez jakiś czas miałem wolną głowę od myśli o liście profesora, a Nataniel nie wyśpiewywał mi nad uchem hymnów pochwalnych na cześć urody Babiego Lata.

Odstawiwszy wreszcie Nataniela i jego ukochany wóz, pojechałem autobusem do siebie. Wszedłem do sieni. W skrzynce na listy dostrzegłem podłużną kopertę. Otworzyłem skrzynkę i oto trzymałem w ręku list z nagłówkiem, gdzie na tle skrzyżowanych flag polskiej i amerykańskiej widniał napis: „Vox Polonus”. Pod moim imieniem i nazwiskiem był dopisek „Pan Samochodzik”.

„Widocznie ktoś chciałby jeszcze poczytać o moich perypetiach” – pomyślałem, gdy otwierając kopertę wchodziłem na schody. I na półpiętrze zatrzymałem się, czytałem bowiem:

Szanowny Panie!

Gorąco zainteresowani tym wszystkim, co przyczynia się do przywrócenia naszej Ojczyźnie nieocenionych skarbów jej dziedzictwa kulturowego oraz ich ochroną, od dawna śledzimy z wielką uwagą działalność Pana na tym polu, uwieńczoną tyłoma sukcesami.

Jak dowiedzieliśmy się, ostatnio spotkało Pana – nie wahamy się tego tak określić – wielkie nieszczęście. Ratując czyjeś życie postradał Pan swe narzędzie pracy – wyjątkowy samochód, który wielokroć przyczynił się do Pańskich zwycięstw w tak ważnej dla nas wszystkich sprawie ratowania zabytków polskości dla Polaków.

Orientujemy się, że poświęcając wyjątkowy samochód poniósł Pan stratę materialną, trudną do naprawienia w Pańskiej sytuacji finansowej, dlatego pozwalamy sobie – choćby od tej strony – stratę ową Panu zrekompensować.

Wiemy, że Pańska praca wymaga czasem specjalnego pojazdu, dlatego korzystając z naszych możliwości finansowych i talentów osiadłych tu polskich specjalistów, przygotowujemy dla Pana samochód wyposażony w najnowsze zdobycze techniki. Dołożymy starań, by był to właściwy pojazd dla właściwego Człowieka.

Z wyrazami szacunku

Andrzej Słomka
Prezes „Vox Polonus” – Chicago

PS Wszelkie formalności celne i podatkowe załatwimy w USA, a o terminie odbioru pojazdu powiadomimy Pana osobno.

A.S.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

**POLONUS-FANTASTA? • *DZIEJE OPATÓW SULEJOWSKICH* W DRUKU •
JAK PROFESOR ZAKPIŁ Z OPATA • O NIE, DROGA PANI • CUD-PAWEŁ •
URWISY I TAJEMNICA PRZEKŁĘTNIA • ZMORA OPATA BERNARDA**

Gniotąc się w warszawskim tramwaju powtarzałem dla uspokojenia mojej znękaney duszy i zmaltretowanego ciała słowa z listu pana Andrzeja Słomki z Chicago: „...by był to właściwy pojazd dla właściwego Człowieka”. Oczywiście byłem przekonany, że napisał je sympatyczny fantasta, ale czyż nie mogę pocieszyć się choć fantazją superauta, gdy pieniędzy nie starcza nawet na zakup skutera?

Nic to! Dzieje opatów sulejowskich powędrowały już do drukarni! A ja zadzwoniłem do komisarza Kolca podając mu uzyskane w Sulejowie dane z dowodu osobistego Szczurka. A nuż były prawdziwe?

Jednak złapałem się na tym, że zamiast cieszyć się wiosną i sukcesami wydawniczymi i kryminalistycznymi, odczuwałem jakiś niedosyt. Sprawiał to nierozwiązany spór między osiemnastowiecznym opatem i jego najpierw przyjacielem, a później wrogiem, bogatym szlachcicem. Sięgał przez stulecia, zabijając mego przyjaciela!

A jednak Pronobis miał, jak sądził, skuteczną broń przeciw opatowi! Tylko nie zdążył mi jej przekazać!

Co mogą znaczyć słowa niedokończonego listu: „...zakpiłem też z niemiłego mi opata Bernarda”?

I tak oto „biłem się z myślami”, siedząc w wygodnym fotelu natanielowskiej pracowni.

Mistrz raczył mnie antyczną poezją grecką w oryginale, a ja wpatrywałem się w portret opata Bernarda, mimo woli poddając się rytmowi wyszukanych strof...

I może to właśnie cudowna klarowność i jasność heksametrów jasnymi i klarownymi uczyniła moje myśli:

„Co zostało po opacie Bernardzie? Jego portret. Co miał pod ręką profesor, gdy zapragnął zakpić z opata? Jego portret.”

Wstałem i podszedłem do obrazu. Przyjrzałem mu się dokładnie, ale nic podejrzanego nie dostrzegłem. Zdjąłem portret ze ściany.

– Chyba nie zamierzasz mi go odebrać!?! – zaniepokoił się mistrz przerywając recytację.

Nie odpowiedziałem, tylko odwróciłem obraz i, przykucnąwszy, starannie obejrzałem spoinę deski, na której był wymalowany, i ciężkiej, ozdobionej ramy.

Drgnąłem.

Wyciągnąłem rękę i powolutku, chwytając paznokciami za krawędź wydobylem ze szpary wążutki pasek papieru...

Pokrywały go drobniutkie litery pisma profesora.

Wstałem; podniósł się także z fotela Nataniel.

– Prawdy nic nie zdoła zabić ani unicestwić. Prawda jest jak zasypana studnia, w której pod kamieniami i ziemią bije źródło. I źródło to kiedyś na pewno wytryśnie, gdy odwalone zostaną kamienie – odczytałem drżącym głosem.

Niżej profesor dopisał jeszcze drobniejszymi literkami:

Ist. frag. test. J. B.-B.

– Istotny fragment testamentu Jędrzeja Baldaricha-Baldrzycha... – dopowiedziałem patrząc radośnie na mistrza.

Ten wyrwał mi papier z ręki, chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Wreszcie oddał mi go wracając na swój fotel:

– Ee, jeszcze jedna złota myśl i to nie najciekawsza. Ale ze względu na autora umieszczę ją w moim zbiorze aforyzmów!

Zachnąłem się:

– To nie jest aforyzm, ale wskazówka, gdzie szukać skarbu Jędrzeja!

Nataniel uśmiechnął się:

– Jeśli tak, to może powiesz mi, jakie miejsce wskazuje?

Potarłem czoło:

– Jeszcze nie wiem. Ale będę wiedział!

Mistrz z uznaniem pokiwał głową:

– Ciesz się twoją zajadłością, Tomaszu! Może jednak, zanim wyruszymy pod twoim kierownictwem tam, gdzie wiodą nas Pronobis i Baldarich-Baldrzych, wyjdziemy do ogrodu, posiedzieć na tak miłej o zmierzchu ławeczce, bo tutaj nadymiliśmy jak w parowozowni! A na odświeżenie umysłów nie ma to jak świeże powietrze! Idziemy!...

Rozparliśmy się, jak zalecił mój nauczyciel, na wygodnej ławce pośród bzów i wdychaliśmy w zatrute nikotyną płuca zapach zwieszających się nad naszymi głowami białych i liliowych kiści mych ulubionych kwiatów.

Milczeliśmy.

Aż, może właśnie pod wpływem słodkownego zapachu przypomniałem sobie, jak to biegłem w poszukiwaniu gałązki bzu przed spotkaniem z Czarną Milady...

– O nie, droga pani! – usłyszeliśmy nagły okrzyk w zaroślach czeremchy za ogrodzeniem. Rozległ się trzask łamanych gałęzi i w alejce ukazał się wysoki brunet lat, na oko, około dwudziestu kilku. W lewej ręce trzymał połyskującą metalem kuszę, prawą natomiast obejmował może niezbyt czule, ale za to mocno, Czarną Milady! Oboje byli w dresach Adidasa, o czym świadczyły trzy prążki na rękawach i nogawkach. Ponieważ mężczyzna kierował się ze swą branką w naszą stronę, mistrz poderwał się z ławki i pobiegł otworzyć furtkę, której zazwyczaj używał do wymykania się na wyprawy, o których nie chciał, by wiedział jego wierny kamerdyner.

Czarna Milady tymczasem zaprzestała oporu i w pozornej zgodzie ze swym towarzyszem weszła do ogrodu, uśmiechając się nawet do nas:

– Witam pana, mistrzu Natanielu i oczywiście pana, panie Tomaszu!

Wstałem z ławki, dołączając swój ukłon, nader zimny, do serdecznych powitań mistrza, który już śpieszył całować smagłą dłoń kobiety.

„Czyżbyś zapomniał, że Czarna Milady jest współwinna śmierci naszego przyjaciela?!” – chciałem zawołać. Ale co by dało to wołanie wobec ogromnej wrażliwości mego mentora na kobiece wdzięki.

– Proszę, niech pani spocznie – zapraszał Nataniel. – I pan, panie... sierżancie? – zaważał się.

– Nie jestem z policji – grzecznie wyjaśnił brunet sadowiac się obok mnie z kuszą na kolanach. Ostrożnie zwolnił naciąg i podał mi ją:

– Właśnie miał pan być z tego cacka zabity – oznajmił uprzejmie. – A może pan Nataniel?

Cacko... faktycznie śmiertcionośne, o wielkiej sile rażenia, ciche i celne dzięki laserowemu celnikowi. Cacko z tworzyw sztucznych i stopu nieznanymi mi metali. Leciutkie. W sam raz dla kobiecych rąk!

– Dlaczego mnie pani oszukała, mówiąc, że już nic ją z szajką nie łączy? Może choć teraz, zanim przyjedzie po panią policja, dowiemy się czegoś więcej o „szefie” i innych?

Skrzywiła usta. Blizna nad brwią ściemniała, co było oznaką zdenerwowania:

– Skłamałam, bo mieli mnie w ręku. Na początku „szef” dał mi kilka drogocennych posążków, abym ustaliła ich autentyczność. Po wycenie odebrał. A ja dowiedziałam się, że pozostawiłam swoje odciski palców na rzeźbach, które pochodziły z kradzieży. Zapewnił mnie, że przechowa je jak najcenniejszą pamiątkę. A kim on jest? Naprawdę nie wiem. Spotykaliśmy się w wyznaczonych przez niego miejscach albo dzwonił do mnie.

– A jak to się stało, że pani poznała się z nim? – zaciekawił się Nataniel.

Czarna Milady uśmiechnęła się gorzko:

– Przyszedł do mnie do domu i powiedział że jest kolegą „spod celi” mego nieszczęsnego męża. Też polityczny, nie kryminalista. Było to tuż po śmierci Andrzeja. Nie mógł on więc zaprzeczyć ani potwierdzić. Zresztą byłam w takim kryzysie, że... – machnęła ręką.

– I ten kryzys doprowadził panią do zamachu na życie któregoś z tych panów? – zdziwił się jej pogromca.

Obejrzałem bełt. Miał jedno nacięcie na purpurowej lotce. Jeszcze więc nie tym razem!

– Drogi panie, wiele panu zawdzięczamy, ale na szczęście tym razem jeszcze nam, a tak naprawdę mnie, nic nie groziło. Ta pani miała zamiar przesłać mi nieco specyficzną korespondencję. Zabiłby mnie następny strzał. Czyż nie tak, Milady?

Pokręciła głową:

– Nie byłoby tego strzału. Kradzieże to kradzieże, ale zabójstwo? Postraszyć można było, lecz zabić? Tego nie zrobiłabym.

– Wielce ciekawi mnie postać pana – mistrz zwrócił się do gościa – ale może najpierw sprawy naszej czarnej damy. Skąd ta kusza u pani?

Czarna Milady uśmiechnęła się:

– Od dzieciństwa fascynowało mnie strzelanie z łuku. Byłam nawet w kadrze Polski junierek. Z łuczniczych zabaw pozostała mi ta blizna – przeciągnęła dłonią po brwi. – Dowiedział się o tym „szef” i w przypływie fantazji zafundował mi tę kuszę. Twierdził, że kiedyś się przyda... Po raz pierwszy użyłam jej przeciwko panu Tomaszowi. Ale chyba wierzy mi pan, że gdybym tylko chciała, to tamten pierwszy bełt uwiązłby w pańskiej piersi, nie w jakimś meblu – spojrzała na mnie spod oka tak, że nie miałem wątpliwości co do owego „gdybym tylko chciała”.

– My tu gadu, gadu – mistrz widocznie także dostrzegł zło spojrzenia Czarnej Milady, bo nagle stracił do niej sympatię – a policja nie zawiadomiona!

Zapadło ciężkie milczenie nad ławką pod bzami.

– I niech tak pozostanie – powiedziałem jakby wbrew sobie, ale wiedziałem, że to muszę powiedzieć. Że tak samo powiedziałaby mój przyjaciel, profesor Herakliusz Pronobis. – Puśćmy panią...

– A tyle wyczołgałem się, wyczałem w tych bogatych w pokrzywy krzakach! – jęknął młody człowiek.

– Ech, urodo kobieca, wielka moc w tobie! – westchnął mistrz. Ale wstał z ławki i otworzył furtkę:

– Żegnamy więc panią. Choć nie sądzę, że wymiar sprawiedliwości będzie skłonny do tak szybkiego z panią rozstania.

– Niech mnie wpierv dostanie! – Czarna Milady odrzuciła dumnie głowę i wstała z ławki.

– Żegnam panów, bo mam nadzieję już ich więcej nie spotkać. I dziękuję za wyrozumiałość!

Ruszyła w stronę furtki.

– Czarna Milady – zawołałem – jak naprawdę pani na imię?!

Odwróciła się ze śmiechem:

– Mówiłam już, ale pan mi nie uwierzył. Całkiem zwyczajnie: Ewa – i znikła za krzakami czeremchy.

– Jak w raju, jak w raju! – zrzędził Nataniel zamykając furtkę. – Tylko dlaczego durnym Adamem jest mój ukochany uczeń?

– Teraz możemy już spokojnie pogawędzić z naszym czujnym stróżem – zmieniłem temat, zwracając się w stronę gościa. Cóż pana zaplątało w tę kuszniczą aferę, panie...

– Paweł Daniec, do usług – uklonił się przybyły. – Proszę mi mówić: Paweł. A wplątało to – sięgnął do kieszeni.

I moim zdumionym oczom ukazała się tak wyśmiewana przez dyrektora Marczaka oferta pracy!

– Spełnia pan jej warunki? – Nataniel był bezlitosny.

Paweł przymknął oczy i jął recytować:

– Służba w Czerwonych Beretach. Ukończona z wyróżnieniem historia sztuki. Cztery języki, pletwonurek, zawodowe prawo jazdy, trochę szybownik, lotniarz, sternik morski, narty – bo lubię, walka wręcz – bo w wojsku...

– Ale samochodu to pan nie ma! – próbował ratować swój honor mistrz.

– Mam – Paweł na to z dumą – syrenę!

– No, lecz pensja, którą możemy... – odezwałem się nieśmiało.

– Forse mam w nosie! – oznajmił młodzian. – Liczy się przeżycie!

– A jest pan pewien, że właśnie przy moim boku czeka ono na pana? – zaciekawiał mnie coraz bardziej.

– Jeden znajomy opowiedział drugiemu znajomemu, a ten mnie o pańskich przygodach. Warto było posłuchać. A teraz wystarczyło trochę rozejrzeć się za panem i już trafiła mi się rzadkość nad rzadkościami: piękna kuszniczka! Idę na to!

Przyjrzałem mu się uważnie:

– Nie ufa mi pan? – nachmurzył się.

– Hm, właśnie przed chwilą pożegnaliśmy piękną, zdolną, inteligentną, a przecież tak złą kobietę... Schwycił i przyprowadził ją tutaj pan... A jeśli to wszystko zostało ułożone?

Paweł poderwał się.

Wyciągnąłem rękę:

– Niech pan... Siadaj, Pawle. Przepraszam. Bądź w piątek o jedenastej w ministerstwie. Woźny wskaże ci mój pokój...

– Ale najpierw niech pan wpadnie do mnie na dłuższą pogawędkę. W czwartek koło południa – uśmiechnął się zgoła niewinnie mistrz. – Ciebie też zapraszam – skinął mi łaskawie głową.

Popatrzyłem na Pawła ze współczuciem: szykowało się „przesłuchanie”!

Na razie przyszła ofiara mistrza pożegnała się z nami wielce zadowolona z siebie i z nas.

Po chwili w sąsiedniej uliczce zawarczał silnik syreny.

– Będą z niego ludzie! – zatarł ręce Nataniel. – Wierz mi, znam się na ludziach, czego najlepszym dowodem jest to, że przebywam w twoim towarzystwie... A żebyś nie przejmował

się tyle Czarną Milady, jako kurację zapisuje ci wzdychanie do Babiego Lata! Orzeźwi ci to też umysł, którego jasność będzie nam tak potrzebna podczas wyprawy do Przeklętnika, jaką planuję na jutro.

– Do Przeklętnika?

– A gdzie mamy szukać, kierowani tajemniczym zapisem Pronobisa, skarbów pozostałych po Jędrzeju, jak nie w jego posiadłości?

– Ależ tam nic nie ma!

– Tym bardziej, mój drogi Tomaszu, tym bardziej – Nataniel uniósł do góry palec wielce znaczącym gestem.

I na tym skończyło się nasze „posiedzenie” na ławce wśród bzów, w czasie którego obdarowałem przestępczynię wolnością, a niewinnego człowieka porcją nieufności.

Coś chyba nie tak, Tomaszu!

Wzmocniwszy po drodze nasze siły Urwisami, którzy – przebaczone mi, nauczyciele i kuratorzy – po prostu zwiali z lekcji, dotarliśmy wreszcie do Przeklętnika. Drżącym głosem odczytałem interesujący nas fragment testamentu Baldaricha-Bałdrzycha, a Nataniel nakazał nam wszystkim intensywne myślenie „w owym temacie”. Usiadłem nad wyschniętym prawie do dna stawkiem otaczającym wysepkę z ruinami dworu i próbowałem wcielić się w profesora Pronobisa planującego genialną kryjówkę dla skarbu Jędrzeja Baldaricha-Bałdrzycha...

Wyobrażałem sobie właśnie szczególnie dziuplaste drzewa, które i tak nie dotrwały do naszych czasów, gdy usłyszałem nad sobą chrząknięcie.

To był Piotr o czerwonych z przejęcia uszach, które nawiasem mówiąc niemile kontrastowały z niebieską punkfryzurą.

– Czyżbyś myślał o kryjówce w chlewie? – zapytałem czerwonouchego.

– Nie, druho – przykucnął obok. – Ale najpierw to sobie pomyślałem, że za dużo wszyscy dopatrujemy się w zdaniach testamentu jakiegoś szyfru. Może wziąć je dosłownie? Studnia, to studnia. A tu jest taka!

– Myślisz, myślicielu, że jej przez wieki nie przeszukano? – wyraziłem wątpliwość.

– Przeszukano, przeczerpano na pewno! Ale dopiero niedawno ukończono tu w okolicy prace melioracyjne, które tak obniżyły poziom wszelkich wód, że bydło pasie się na piasku, a nie na trawie. Czyli będziemy wsuwać piaszczyste masełko... Ale nie o tym! Wiosnę mieliśmy tego roku supersuchą, nie? No to sobie zajrzałem do tej studzienki, na którą wszyscy machnęli ręką. A tam ni milimetra wody, tylko głązy, głąziki i kamienie... A w testamencie właśnie o takiej kamienistej „krynicy” napisano...

– Chłopie, ja cię ozłocę! – usłyszałem krzyk Nataniela, który tymczasem cicho podszedłszy wysłuchał opowieści Piotra.

Popędziliśmy do studni, wołając po drodze Marka i Jarka.

Faktycznie, studnia była tak sucha, jak ją opisał Piotr, a wymarzył i przewidział nieszczęsny szlachcic.

– Urwisy, do boju! – zabrzmiał okrzyk Nataniela.

Jarek i Piotr skoczyli do studni ryzykując połamanie nóg. I już pierwsze kamienie powędrowały na brzeg cembrowiny. Zmiana za zmianą wydobywaliśmy wciąż nowe.

Krwawiliśmy sobie palce wyciągając z niej kamienie, niektóre wielkie jak głowa ludzka. Praca szła nam ciężko, bo spajał je żwir i piasek. Później zaś, gdy uporaliśmy się z wierzchnią warstwą, trzeba było dobywać kamienie z coraz głębszych miejsc. Pot zalewał nam oczy, twarze i ręce mieliśmy czarne od kurzu, piasku i brudu.

Po dwóch godzinach pracy Nataniel wylazł ze studni i położył się na trawie, oświadczając słabym głosem:

– Mój Boże, cóż ja wam uczyniłem, że skazaliście mnie na tak ciężkie roboty?

Świergotały ptaki w krzakach bzu, pachniał jaśmin; odpoczywający Nataniel postękiwał.

– Kochani. Czy nie lepiej poczekać do jutra? Jutro wynajmiemy kogoś, kto odwali kamienie.

– I rozgada wszem i wobec o znalezionych przez nas skarbach? – opierałem się przed podobnym projektem.

Nadchodził zmrok. Obok studni leżała niewysoka piramida kamieni. Na dłoniach miałem w kilku miejscach zdartą skórę i pracowałem coraz wolniej. Bolały mnie ręce i plecy, a do spoconego ciała przylgnęła koszula pobrudzona piaskiem i ziemią.

Urwisy sapały jak trzy lokomotywy.

Włosy nad czołem pot zlepił mi w grube strąki.

– Że też to ja wymyśliłem! – jęknął Piotr.

Nataniel nie przestawał zrzędzić:

– Na całym świecie tylko ty jeden, Tomaszu, i twoi młodzi koledzy, zdolny jesteś podjąć podobną ekstrawagancję. Pragniesz skarbów? Chcesz wiedzieć, co w takich razach zwykły mawiać filozof? „Nie szukaj skarbów dookoła siebie, ale w sobie. Miej serce i patrz w serce.” O, czemuż ty mnie nigdy nie słuchasz, nieszczęsny? Wygarnąłbym ci porządną reprimendę, ale mi nie wolno, albowiem poprzysiągłem sobie nie głosić już aforyzmów i mądrych cytatów.

Przerwałem robotę.

– Dopiero teraz, Natanielu, wyglądasz na wielkiego poetę. Masz zmierzwione włosy i brudną koszulę.

Lekceważąco machnął ręką. Biadolił:

– Na stare lata uczyniliście mnie nieszkodliwym wariatem, poszukującym ukrytych skarbów. Wszystko wam darowałbym, ale jednego nie mogę. Że jestem nieszkodliwy.

Mruknąłem głośno:

– Oto sprawiedliwy w tej Gomorze pełnej bezceństw.

I im więcej mistrz narzekał, tym wytrwalej pracowałem w starej studni. Tkwiłem w niej prawie po szyję. Wybierałem kamienie spod nóg, podawałem je Markowi, a ten odrzucał je na stos.

– Bzdura! – wybuchnął nagle. – Do końca świata można grzebać w tej studni i nic nie znaleźć.

– Szukajcie a znajdziecie, proście a będzie wam dane – mistrz Nataniel sypał biblijnymi cytatami. – Ech, moi kochani, cóż wam rzec na pociechę? Eklezjasta powiada: „Widziałem nieraz, że ani prędko najprędzej nie dojdzie do celu, ani mężny nie zawsze odniesie zwycięstwo, ani mądry nie zawsze znajdzie chleb, ani zmyślny łaskę, ale czas i trafunek jest we wszystkim”.

Zagryzłem wargi. Mogłem oczywiście zwrócić mu uwagę, że łamię przyrzeczenie, ale nie chciało mi się otwierać ust. Kiedy pochyliłem się, aby podnieść kamień, krew napłynęła mi do twarzy i przed oczami zrobiło mi się czerwono.

Pracowaliśmy w milczeniu, zbyt zmęczeni, aby rozmawiać. Nie wierzyłem w istnienie skarbów Baldaricha-Bałdrzycha, a ściślej – od dawna przestałem w nie wierzyć. „Tomaszu – mówiłem sobie – zło w tym, że ty nic nie potrafisz doprowadzić do końca. Czy nie tak jest w sprawach między tobą a Babim Latem? Masz teraz jedyną szansę, aby dowieść sobie, że jednak jesteś zdolny zacząć dzieło doprowadzić do końca, choćby go miało wieńczyć niepowodzenie.”

Na dworzu zapadał mrok, w studni uczyniło się zupełnie ciemno. Wyjmowałem kamienie po omacku. Nagle moje palce zamiast porowatej powierzchni głazu napotkały ostrą prostą krawędź. Zawołałem do pomocy Marka i wspólnym wysiłkiem wytaszczyliśmy wielką, oklejoną zaschłym mułem bryłę. Zanieśliśmy ją w światło reflektorów cadillaca.

– To mi wygląda na воск – mruknął Nataniel zdzierając wierzchnią warstwę. – Całkiem logiczne. Szlachciura chciał zabezpieczyć skarb przed dostaniem się doń wody... Ciekawe, co to za skarb, bo drogim kamieniom i złotu woda nie zaszkodzi... Chyba, że bał się, iż szkatułka czy coś innego, w co klejnoty włoży, rozpadnie się i szukaj skarbu między kamieniami!... Tak, szkatułka... domacałem się krawędzi!

Jednym ruchem Nataniel rozłupał bryłę wosku na pół. Zobaczyliśmy niewielką szkatułkę z czarnego dębu z mosiężnymi okuciami. Pod palcami mistrza wieko odchyliło się. Szkatułka nie miała zamka. Bo po co? Zatapiający jaw wosku i studni wiedział, że jeśli już ktoś ją wyłowi, to i poradzi sobie z najwymyślniejszym zamkiem!

Na trawę wysypały się pierścienie i brosze, zabłysły nieoprawne szafiry i szmaragdy. Wypadł wreszcie zwinięty ściśle w rulon plik kartek grubego papieru i chyba pergaminów, przewiązany czarną tasiemką.

– Owszem – rzekł w zamyśleniu mistrz – drogocенności jest tu sporo, ale za mało, by tak za nimi szalał opat bogatego klasztoru... by tak przed wodą zabezpieczał je nieszczęsny Jędrzej Baldarich-Bałdrzych... Przyjrzyjmy się zatem tym papierom! – to mówiąc rozwiązał wstążkę i przykucnął przed maską auta, podsuwając rozwinięte papiery tuż pod reflektor. Czytał przez chwilę w milczeniu, wreszcie zaśmiał się:

– O biedny Jędrzeju Baldarichu-Bałdrzychu! O przestraszony opacie Bernardzie! Mam tu

w ręku pisma, które jednego wyгнаły z kraju i pozbawiły majątku, a drugiemu spędzały aż do śmierci sen z powiek! Ale dziś te dokumenty nie mają żadnej wartości!

– Ale co tam jest, proszę pana?! – zakrzyknął chór Urwisów.

– Szczegółowy wykaz oszukańczych transakcji opata. Z podaniem ewentualnych świadków i datami wydarzeń. Nic po tych notatkach ruinom Przekłętника, nic ruinom opactwa. Najwyżej ucieszy się kilku historyków i jakieś muzeum. I te klejnoty też czeka inny los, niż ten ku jakiemu zostały stworzone. Nie przyozdobią szyi pięknych kobiet, a spoczną w nudnych gablotach – westchnął. – Smutno mi i płakać się chce. Po co nam było to wszystko? Dlaczego musiał umrzeć Herakliusz Pronobis? Piękna kobieta ryzykować wolnością?... Zgarniajcie naszą zdobycz, kochani, i jedźmy stąd! Zaprawdę to miejsce jest przeklęte! A jak jeszcze pomyślę, że przez nie poszłicie dziś na wagary! – Nataniel pogroził palcem ni to Przekłëtnikowi, ni to Urwisom.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

**MISTRZ NATANIEL „PRZESŁUCHUJE” PAWŁA VOLKSSYRENA •
POŚCIG ZA „A8” • NIEZBADANE SĄ DROGI MIŁOSIERDZIA •
OSTATNIA ROZMOWA Z PRZECIWNIKIEM • CZY JESTEM WINIEN
ŚMIERCI WALDKA • JERZY BATURA KONTRA PAWEŁ DANIEC**

Troska o to, jak wypadnie mój przyszły, a tak chętnie przeze mnie widziany, pracownik w rozmowie z Natanielem sprawiła, że zameldowałem się w „Świątyni dumania królewicza i żebraka” dużo wcześniej przed wyznaczoną godziną spotkania.

– Taak! – przywitał mnie mistrz. – Jak już mówiłem, wierzę w pana Pawła, jednak porozmawiać, tak od serca, należy przed podjęciem decyzji!...

Zadrzałem, wiedziałem bowiem dobrze, jaką to groźbę ukrywa mistrz pod niewinnymi słowami „od serca”. Ale, z pozoru obojętnie, przytaknąłem. Poplotkowaliśmy trochę o tym i owym. Wreszcie na ścieżce ukazał się wuj Konstanty i stanąwszy w drzwiach altany zaanonsował:

– Pan Paweł Daniec.

– Ależ prosić, prosić! – poderwał się Nataniel, złowrogo, tak mi się przynajmniej zdawało, zacierając ręce.

Po stosownych powitaniach mistrz spytał młodego gościa:

– Czego się pan napije? Kawa, herbata czy... – spojrzał spod oka – może kieliszeczek czegoś mocniejszego?

– Proszę o herbatę... – Paweł odpowiedział podobnym spojrzeniem – najchętniej zieloną. Wiem, że w domu takiego konesera napojów – zaakcentował ostatni wyraz – nie powinno jej zabraknąć. Bo czyż nie powiedział mistrz Lao-tsy: „Twoja wonna zieleń krzepi wątle ciało i chłodzi rozgrzany umysł”? – uśmiechnął się do poety.

Aż chciałem krzyknąć: „Brawo! Punkt dla ciebie!”

Nataniel chrząknął:

– Tak. Oczywiście. Zielona. Wuju Konstanty, czajniczek zielonej dla pana i dwie kawy

jak zwykle. Nie, ja proszę o szatana! „No, no” – pomyślałem. – „Szatan o tej porze?”

Tymczasem Nataniel wyciągnął ku Pawłowi paczkę ukochanych popularnych:

– Papierosika?

– Dziękuję, nie palę – rozłożył ręce Paweł. – To znaczy od czasu do czasu fajeczkę, to pamiątka po ojcu, pykam – uprzedził nasze podejrzenia, czy czasem nie bluffuje...

Przez chwilę rozkoszowaliśmy się wonią i smakiem po mistrzowsku przyrządzonych przez wuja Konstantego napojów, aż wreszcie się zaczęło... Mistrz uniósł w górę palec. I skupiwszy na nim naszą uwagę zaatakował! Popłynęły z jego ust kalambury, mądrości rozmaitych narodów, prościutkie na pozór pytania z rozmaitych dziedzin, prośby o rozstrzygnięcie różnych wątpliwości, wskazanie celów i sensów. To poważne, to znów żartobliwe. Zmieniał nastroje, w jakich wiodł rozmowę, oraz języki.

Usunąłem się w kąt i tylko bacznie nasłuchiwałem odpowiedzi Pawła, otoczonego wymową mistrza niczym Wołodyjowski cięciami szabli Bohuna. Nataniel przeskakiwał z tematu na temat, wznosił się ku niezbadanym wyżynom swego wyjątkowego umysłu i zawracał nagle ku pocziwej prostocie, kryjącej złote żądło ironii.

Paweł odpowiadał z rzadka. Nieco może zbyt wolno i po chwili jakby zastanowienia. Jednak jego słowo było zawsze celne, co poznawałem po zachowaniu mistrza, który coraz częściej i szybszymi łykami zwilżał gardło „szatanem”. Potem zaciągał się kolejnym papierosem, co Paweł kwitował coraz dłuższymi pauzami. Już, już Nataniel myślał, że jego pytanie pozostanie bez odpowiedzi i triumfalnie zerkał na mnie, gdy rozlegał się z lekka flegmatyczny głos Pawła i „trafiony” poeta z sapnięciem, czyżby irytacji?, podrywał się do kolejnego ataku, który, ku memu zdumieniu, coraz bardziej przypominał rozpaczliwą obronę!

Paweł dolewał sobie herbaty z podgrzewanego czajniczka. Mistrz dzwonił na wuja Konstantego po kolejną kawę, krzepił się łyżkiem ulubionej greckiej brandy, której opasła butelczyna znalazła się nie wiedzieć kiedy na stole.

Bój trwał. Aż wreszcie, po szczególnie udanej ripoście Pawła, Nataniel poderwał się z fotela:

– Ha! Przegwarzyliśmy już chyba wszystkie tematy, a nie wspomniałem nawet, jak wielkim jestem miłośnikiem motoryzacji. Może więc, tak dla odmiany, zaprezentuje mi pan, drogi Pawle, swą syrenę, która, przyznam się, bardzo mnie ciekawi. Ech, te stare auta! Ileż w nich uroku!

Zrozumiałem, że mistrz przegrał!

– Naprawdę chciałbym wreszcie zobaczyć pański, hm, pojazd – uśmiechnął się niewinnie. – Jeśli jest choć w połowie tak znakomity jak jego właściciel – skłonił się lekko – to na pewno będzie na co popatrzeć!

Paweł odetchnął głęboko:

– Obawiam się, że tak. Zapraszam więc panów na oględziny mego samochodu – zaakcentował lekko ostatnie słowo – i może małą nim przejażdżkę...

Mistrz pośpieszył otwierać furtkę i wyszliśmy z ogrodu.

Jeden zakręt ścieżki przez zarośla, drugi, już ulica i... I stanąłem jak wryty!

Bowiem ujrzałem ją!

Z lśniących karminem, lekko rozchylonych, ponętnych usteczek wybiegały kunsztownie modelowane srebrne litery, układające się w wezwanie nie do odparcia:

„Kochajcie syrenki!”

„Kochajcie” wzywała lewa połowa jej krągłych, lśniących kształtów, ta o barwie amarantu. „Syrenki!” – dopowiadała połowa prawa, biała niczym pierwszy śnieg.

Nad tajemniczo przyciemnionymi szybami rozpościerał skrzydła zrywający się do lotu orzeł w złocistej koronie. Tuż za nim lśniła w słońcu niklowana pokrywa szyberdachu, w którym mój oszołomiony wzrok rozpoznał pokrywę podwórkowego śmietnika. Tuż przy jej rączce zamontowano obrotowy reflektor-szperacz o dużej mocy...

„Kobiety czar, narodowe barwy i... śmietnik!? Czyżby ten z nieba spadający kandydat na mego współpracownika był po prostu wariatem?!” – pomyślałem z trwogą.

Podobnej myśli był chyba i Nataniel, usłyszałem bowiem jego przerażone sapnięcie:

– Nno, wwie pan!...

– Ależ bez obaw, panowie – cicho zaśmiał się Paweł. – Ona tak wygląda dopiero od tygodnia. Wyszukowałem ją – zgodnie z kanonami mody najmłodszych kierowców – na prezent dla brata. Za zdanie matury. Stąd te barwy i bajery – kopnął lekko zderzak z misternie giętych chromowanych rurek i przejechał butem po wyciętych w szprychy osłonach na felgach. – Do tego czasu była szara i cicha jak biedna myszka – poklepał z czułością połyskliwą maską syreny, zbiegającą między dwoma japońskimi superhalogenami nisko, aż za zderzak. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie widzę pod nią charakterystycznego wlotu powietrza. Wskazałem palcem miejsce, gdzie zamiast jego kratki uśmiechały się do mnie karminowe wargi:

– A nie jest ta dama zbyt gorąca? Obawiam się, że bez dopływu powietrza do chłodnicy nie będzie mogła długo cieszyć twojego brata swym urokiem. Zatarcie silnika murowane!

– Ależ silnik jest chłodzony jak należy – w oczach Pawła zamigotały iskiereki narastającego rozbawienia – tylko... – sięgnął pod maskę – tylko, że tutaj aktualnie znajduje się bagażnik...

Maska uniosła się z miękkim kłaśnięciem, ukazując naszym zdumionym oczom wyklejone białą dermą wnętrze przestronnego „kufra”. Ani śladu trzycylindrowego dwusuwu powstałego mocą umysłów polskich konstruktorów z silnika motopompy!

– A!... – jęknął król poetów blednąc z lekka.

– Zapraszam panów – wtrącił szybko Paweł – do tyłu syrenki.

Poganiani ciekawością skorzystaliśmy z zaproszenia...

I zatrzymaliśmy się jak wryci przed pokrywą dawnego bagażnika ponacinaną pracowicie w dwa rzędy ułożonych w jodełkę szczelin...

– Co pan tam wpakował?! – zakrzyknął mistrz.

– Serce najpopularniejszego samochodu świata – odparł spokojnie, lecz nie bez dumy Paweł. – Stworzonego przez genialnego niemieckiego konstruktora Ferdynanda Porsche’a samochodu dla ludu, bo tak chyba można tłumaczyć nazwę „volkswagen”!

– I to wszystko trzyma się kupy? – nie ustawał mistrz.

– A czemu miałyby się nie trzymać? – nie tracił spokoju Paweł. – Jeśli połączy się niezawodny silnik z solidnym ramowym podwoziem (czyli doda dobre do dobrego), to jaki ma być tego wynik jak nie znakomity? – odchrząknął z dumą. – Oczywiście było tu parę problemów, ale to już kwestia inwencji i – chrząknął po raz wtóry – inteligencji – spojrzał na mojego przyjaciela spod oka.

Ten wzniosł oczy ku niebu. I w tej uduchowionej pozycji sapał przez chwilę, a jego pobladłe policzki czerwieńiały z lekka, w tym kolorowo-przejściowym stadium jako żywo upodabiając się do dwubarwności zaparkowanego przed nami auta.

Paweł stał ze spuszczoną skromnie głową, ja tłumilem śmiech z wyglądu mistrza i wyjaśnień Pawła. Że też mogłem pomyśleć o nim jak o wariacie!

– Zgoda, zgoda! – głos Nataniela drżał lekko. – Poddaję się i gratuluję panu stworzenia volkssyreny! Jednak – pokręcił głową – biorąc pod uwagę jej osobliwe umaszczenie ja... ja do niej nie wsiądę! – co powiedziawszy właściciel najnowszego modelu cadillaca obrzucił raz jeszcze czerwono-biały samochodzik ponurym spojrzeniem i z dumnie podniesioną głową odmaszerował między bzy.

Spojrzałem na Pawła. Też uniósł głowę, a w jego oczach zalśnił twardy błysk uporu i wiary w swoją rację. W tej chwili przypomniałem sobie, jak przed laty stałem przy wyśmiewanym aucie, wehikule zbudowanym przez wuja... przy moim Samochodziku!

Paweł wzruszył lekko ramionami i spojrzał na mnie pytająco.

– Na co czekasz? – uśmiechnąłem się do niego. – Otwieraj wóz. Jedziemy!

– Jedziemy! – odpowiedział mi śmiechem Paweł i już szerokim gestem otwierał przede mną drzwiczki syreny.

Rozsiadliśmy się w głębokich, „lotniczych” fotelach pochodzących, jak wyjaśnił Paweł, z rajdowej hondy, a ja ciekawie rozejrzałem się po kabinie niezwykłego auta. Skóropodobną tapicerkę uzupełniał mahoniowy fornir na desce rozdzielczej, otaczający znaczną jak na tak prosty samochód ilość zegarów, wskaźników i lampek kontrolnych. Przeznaczenie nie wszystkich było dla mnie jasne, ale nie chciałem wypytywać o nie Pawła. Ostatecznie mój pojazd też miał swoje tajemnice!

– Jeśli jest panu gorąco, proszę... ten przycisk na drzwiach – zatroszczył się o mnie Paweł.

No proszę, elektryczne podnoszenie szyb w syrenie 105!

Zapięliśmy pasy i Paweł przekręcił kluczyk w stacyjce, wprawiając mnie po raz już bodaj trzeci tego dnia w zdumienie. Zamiast ciężkiego warkotu chłodzonego powietrzem silnika „garbusa” usłyszałem bowiem za plecami basowo-aksamitny pomruk.

– No, no – pokiwałem z uznaniem głową.

– To nie moja zasługa – odparł skromnie Paweł. – Wyciszenie kabiny opracował mój kumpel, spec od akustyki. A skoro jesteśmy przy dźwiękach, to może trochę muzyki, będzie się przyjemniej jechało...

– Ależ proszę.

Paweł sięgnął do radioodtworacza – dopiero teraz zauważyłem ukryte pod deską rozdzielczą dwie półeczki ze sporą liczbą kaset – i z maleńkich, ale najwyższej klasy głośniczków aparatury quasikwadrofonicznej popłynęły pierwsze takty *IX Symfonii* Ludwiga van Beethovena.

Paweł odetchnął z radością i syrena pomrukując ruszyła w górę ulicy.

„Hm, komandosi i Beethoven? Ile jeszcze takich pozornych sprzeczności kryje w sobie ten młody człowiek?” – pomyślałem. Uwielbiam *IX Symfonię*, ale postanowiłem trochę „poszperać” w upodobaniach muzycznych Pawła:

– Czy to nie za ciężka muzyka na taki wiosenny dzień?

– Za... ciężka? – myśli Pawła zdawały się wracać z daleka. – A jaka by panu pasowała?

– Mam ochotę na dobrego ostrego rocka. Coś z najświeższej produkcji! – aż uderzyłem się po udzie dłonią z udawanej ochoty do tej nie cierpianej przeze mnie muzyki.

– Ostrego i nowego?... – w głosie Pawła usłyszałem lekkie zdumienie.

Przejrzał mnie! Mimo to szybko sięgnął ku półeczce:

– Czy „Metallica” może być? To naprawdę „najnowsza produkcja”. Czy podgłośnić, dodać czadu? – teraz to już pokpiwał otwarcie!

Wjechaliśmy do śródmieścia. Im więcej przybywało samochodów wokół nas, skrzyżowań, nieoznakowanych przejść, zagapionych pieszych i zagubionych czy też niedouczonech lub chamskich kierowców, tym bardziej przekonywałem się o klasie Pawła. Prowadził wóz, jak ja to nazywam, „bezwonnie”. Żadnych szarpnięć, gwałtownych zmian biegów czy hamulców. Choć spod świateł nie ruszał na złamanie karku jak inni, w kłębach spalin i ryku przeciążanych silników, to tak się jakoś dziwnie działo, że na następnych światłach byliśmy już pierwsi!

Rozkoszowałem się w milczeniu „wyższą szkołą jazdy” Pawła, gdy poprzez hałaśliwą twórczość zespołu „Metallica” usłyszałem dźwięk syreny karetki pogotowia lub wozu policyjnego.

– Dwie syreny na jednej drodze to za dużo – mruknął Paweł i posłusznie skierował swoją do krawężnika. – Chociaż co to pomoże dzielnym wyjcom? Blokada! – wskazał na stojące w trzech rzędach na światłach przed nami samochody, których kierowcy ani myśleli, ani też mogli zjechać na bok. Objazd chodnikiem uniemożliwiały rozpięte między słupkami łańcuchy.

– Ale niech pan spojrzy! – ożywił się nagle pstrykając palcem we wsteczne lusterko.

Uniosłem się na siedzeniu, by lepiej widzieć...

Czarny samochód o zapalonych długich światłach wykręcał za nami zwariowany slalom między innymi autami. Nie miał na dachu „koguta”. Jego niebieskie błyski dostrzegłem na pędzącej śladem „czarnego” charakterystycznej sylwetce poloneza oznaczonego białym policyjnym pasem.

– Czarny audik, A8. Droższy niż merc S czy beemka serii 7 – mlasnął smakowicie Paweł.
– Ciekawe, jakiej szyszce go skradli?...

– Wiesz, że skradli? – zdziwiłem się niezbyt przytomnie, zapatrzony w lusterko.

– Może też zrobili coś gorszego! – zaśmiał się Paweł. – Czy porządny człowiek kupuje takie cacko, by nim przebijać na siłę korki w centrum Warszawy? O ile w ogóle porządnego człowieka stać na to cudo – zakończył jakże dobrze mi znanym z mych własnych ust tonem ubogiego „użytkownika dróg”.

– Fakt – szepnąłem ze zrozumieniem.

– No, ale teraz to go mają! – odzyskał humor Paweł, gdy audi wypadło na wąski szlak między dwiema ścianami samochodów, zamknięty z przodu czekającymi na zmianę światła. Nawet syrena pozostającego w tyle za ściganym poloneza zdawała się wyc triumfalnie. Ale w tejże chwili z przodu zapaliło się zielone światło! Odcinająca uciekającym drogą ława samochodów ruszyła ostro z miejsca. Audi przemknęło obok nas i, pozorując „przymiarke” do skrętu w prawo, ostro, w pełnym przechyle, skręciło w lewo, na torowisko tramwajowe. Kierowca pędzącego za nim policyjnego wozu o ułamek sekundy za późno usiłował powtórzyć ten manewr. Wyrzucony siłą odśrodkową polonez z piskiem hamulców i trzaskiem dartej blachy wyrznął w betonowy słup latarni. Syrena umilkła i znieruchomiał „kogut”, świecący teraz niczym błękitne, zdumione oko. Ale i uciekającym powiodło się niewiele lepiej. Pomimo specjalnych systemów zabezpieczeń hamulców audi wpadło w poślizg na tramwajowych szynach i, obróciwszy się dwa razy dookoła, znieruchomiło wtłoczone między dwa tramwaje.

Zobaczyłem, że drzwiczki rozbitego radiowozu odskoczyły i wytoczył się z nich policjant w czarnym mundurze oddziałów specjalnych. Poderwał się i z pistoletem w dłoni pobiegł w kierunku jakby zamarłej w ciszy i bezruchu limuzyny! Nagle jedna z bocznych szyb auta opadła na dół.

Cichy trzask strzału i sięgający klamki policjant padł twarzą na bok audi i osunął się po nim na asfalt.

Szarpałem się z klamrą pasów, ale Paweł mruknął uspokajająco:

– Gówniarze. Gazem strzelają.

Audi szarpnęło się w tył i ze słyszalnym przez hałas skrzyżowania rykiem silnika skoczyło do przodu. Jediną przeszkodą na drodze ku wolności była grupa znieruchomiłych pieszych na przejściu. Bolid błyskawicznie nabierał prędkości. Ujrzałem, jak ludzie umykają w popłochu.

Pomrukujący dotąd cicho za plecami silnik volkssyreny odezwał się pełnym głosem i wóz

wypadł na opustoszałe skrzyżowanie. Ściętym łukiem ominął nieruchomą sylwetkę policjanta. Paweł widział tylko czarne audi:

– Pyskają na Pragę! Jeśli nie odskoczą mi w Alejach, to jeszcze nic straconego!

Na nasze szczęście jezdnia była tak zatłoczona, że mimo starań swego kierowcy audi nie mogło rozwinąć pełnej prędkości. A może bandyci, pamiętając o rozbitym polonezie, nie czuli się na razie zagrożeni i dlatego wybrali inny sposób ucieczki? Limuzyna zwolniła nieco i wtopiła się w szereg innych aut, jadących niewiele wolniej, ale nie rzucających się nikomu w oczy.

– Będą chcieli jak najszybciej zjechać gdzieś w bok, w uliczki. Główne trasy policja zablokuje, o ile już tego nie zrobiła – powiedział znów spokojnym głosem Paweł i dodał, cytując srogiego wachmistrza Luśnię z Pana Wołodyjowskiego: – A wtedy oni już nasi! – i uśmiechnął się złowrogo jak ów wachmistrz. A ja, przeciwnik stosowania przemocy, przyjąłem ten uśmiech z wewnętrzną radością...

Tymczasem audi, jak najpotulniejsze auto sygnalizując kierunkowskazem już z daleka, skręciło w jedną z uliczek. Przepuściło nawet przechodzącą przez jezdnię staruszkę.

– Skurczybyki! – syknął Paweł skręcając za bolidem.

– Tylko nie za blisko. Zaraz się zorientują, że ich gonimy – denerwowałem się. – Twoja syrena jest dosyć, hm, charakterystyczna!...

– Na to już nic nie poradzę – odpowiedział mi przyszły podwładny z pewną przekorą. – O, nawet już się zorientowali!

Rzeczywiście. Audi zwolniło, a w jego tylnej szybie dostrzegłem dwie rozdziawione rechotem gęby.

– Widzą nas i, chwała Bogu, lekceważą!

W Pawła jakby zły duch wstąpił! To naciskał klakson, to trząsał przełącznikiem świateł, to przez okienko pięścią wygrażał. A limuzyna aż się zataczała po jezdni jakby ze śmiechu...

– Nie trzeba się tak denerwować, Pawle – próbowałem go uspokoić.

Ale ten mi przerwał:

– Tak trzeba, żeby oni myśleli, że się denerwuję! – i znów po klaksonie, po światłach i przez okienko się wychylił...

Na to audi jeszcze wolniej i z lewego okna pokazała się pięść z kijem baseballowym, a z prawego pistolet gazowy, o ile się Paweł nie pomylił na skrzyżowaniu.

Syrena przyspieszyła i audi to samo, my zwalnialiśmy, to i ono, a wszystko jakby płynnej i odrobinę wolniej od nas. Paweł uśmiechnął się:

– Grzeczne chłopak. I leniwe. Nie chce się im rączek męczyć, to przełączyli zmianę biegów na automatic...

– A co nam ta zmiana da? I tak w każdej chwili będą mogli odjechać od nas w siną dal! Nawet z tym silnikiem nie wyciągniemy więcej niż 150, a oni?...

– Niech się pan nie martwi! – zaśmiał się Paweł jeszcze radośniej. – Przy 250 na godzinę

automat w ich wozie odcina dopływ paliwa. Wtedy my ich...

Obruszyłem się:

– Co nam po żartach? Pomyślmy lepiej, jak ich schwytać, o ile jest to w ogóle możliwe.

– Możliwe – skinął uprzejmie głową Paweł – o ile się nie znudzą zabawą z nami.

I aby bandyci rzeczywiście nie narzekali na brak rozrywek odpiął pasy, otworzył szyberdach i stanął na fotelu. Dobrze, że chociaż poprosił mnie, abym był łaskaw przytrzymać kierownicę, zanim znad dachu obiema już rękoma zaczął wygrażać uciekającym. I tym prawie drani pokonał, bo z nagłej wesołości o mało nie wpakowali się pod nadjeżdżający z przeciwka TIR!

– No, koniec żartów – powiedział zapinając z powrotem pasy. – Są już gotowi.

– Gotowi? Do czego? – zdziwiłem się i obraziłem lekko, nie lubię bowiem tajemnic w tak ważnych momentach.

– Zaraz pan zobaczy. Na razie proszę dociągnąć pasy. O tak. A teraz niech pan sięgnie do schowka i poda mi...

– Co, maska gazowa? – patrzyłam zdumiony na przedmiot, który wyciągnąłem ze schowka. – A na cóż ci ona?

– Byle kija się nie boję – odpowiedział łagodnie Paweł nasuwając maskę na czoło – ale nie lubię, jak mi oczy łzawią, a usnąć to wolę dać się anestezjologowi. Ta maseczka już parę razy mi się przydała...

„Nie ma co, ten chłopak ma głowę!” – pomyślałem.

Tymczasem „chłopak” jeszcze raz zatrąbił, ryknął rozpaczliwie silnikiem i zaczął lekko zwalniać, jakby na znak, że biedna syrena ma już dosyć tego pościgu. Tamci odruchowo, a może chcąc dalej nabijać się z biedaczki i jej zwariowanego szofera, też zmniejszyli prędkość.

– Zaraz skończą się domki i chodniczki, a będzie ciekawy zakręcik i smakowity nasypik – niezbyt zrozumiale zamruczał Paweł i krzyknął nagle:

– Niech się pan trzyma!

Silnik volkssyreny ryknął naraz całą mocą. Kątem oka zobaczyłem, jak Paweł, cisnąc do dechy pedał gazu, redukuje jednocześnie błyskawicznie biegi z czwórki na trójkę! Wóz runął do przodu aż wcisnęło mnie w fotel. Wchodzące właśnie w zakręt audi było już tuż, tuż! Gęby za jego szybą rozdziawiało przerażenie. Tamten kierowca też próbował przyspieszyć, ale to było za wolno! Za wolno!

– Tak to człowiek triumfuje nad automatem! – krzyknął Paweł.

Trzask!

Przeszło tonę ważąca syrena całą rozpędzoną masą rąbnęła skosem w tył audi. Trafione auto przecięło oś jezdni, nadziało się reflektorem na metalowy wspornik bariery, mignęło ubłoconym spodem i bezradnie kręcącymi się w powietrzu prawymi kołami, i potoczyło w kłębach kurzu w dół nasypu w łomocie zgniatanych blach. Niewiele brakowało, abyśmy poszli jego śladem, ale dzięki refleksowi Pawła, który na moment zwolnił hamulec i zdołał w

też w chwili skierować syrenę maską w dół nasypu, zsunęliśmy się prosto po jego łagodniejszej części, co kosztowało nas „tylko” zniszczenie i tak już rozbitego ciosem w audi przodu...

Ledwo zatrzymaliśmy się, gdy Paweł już wyskoczył z syreny i pobiegł do przewróconego do góry kołami bolida, zrzucając po drodze tak zachwalaną przez siebie maskę.

– Szybko, panie Tomaszu! – krzyknął do mnie. – Trzeba ich wyciągnąć, bo jeszcze się spalą!

Niepotrzebnie wołał, bo pędziłem tuż za nim, a spalenie tamtym chyba na razie nie groziło, gdyż silnik audi zgasł.

Pogruchotana limuzyna przywitała nas chóralnym jękiem pasażerów, ale i wysuwającą się przez strzaskaną szybę ręką z pistoletem. Miłosierny dotąd Paweł kopnął ją i pistolet upadł na trawę.

– Rzeczywiście, gazowy – powiedział nie bez ulgi mój towarzysz podnosząc go i repetując. – No, wyłazić, który może! – krzyknął do wnętrza audi. – Tylko bez numerów.

Drugi raz w jego oczach zobaczyłem metaliczny blask. Jak wtedy, podczas pościgu za bandziorami, gdy mówił: „Oni już nasi!”

Kierowca audi uznał, że bezpieczniej będzie zemdleć. Trzech jego mniej lub więcej poturbowanych kumpli przycupnęło posłusznie przy wraku, nie spuszczać z Pawła pełnych nienawiści, ale i lęku oczu.

– Ech – westchnął Paweł, patrząc na swą zarytą w pół nasypu białoczerwoną piękność – nie dość, że cały przód do wymiany, to i tym głupim zrywem zatarłem silnik, jak mi to pan wykrakał rano!

– Ale przecież dopadłeś tych drani! – zdziwiłem się.

– Tak, no... niby dopadłem – uśmiechnął się swym nieco nieśmiałym uśmiechem – ale co ja teraz dam Andrzejowi za zdaną maturę? Tak się chłopisko uczy, tak stara... No nic, trzeba obejrzeć tego klienta, bo może coś mu się naprawdę stało – przyklęknął przy leżącym bandycie.

Niezbadane są drogi, którymi chadza miłosierdzie!

Tego dnia położyłem się wcześniej do łóżka, aby odespać zarwane przy pracy noce, ale sen nie nadchodził, jakby odstraszyony panującym w mej kawalerce gorącem. Nie pomagało otwarcie okna; rozpalone długim upalnym dniem mury Starego Miasta buchały żarem. Zamiast senności czułem nieokreślony lęk czy też niepokój. Zapaliłem papierosa i wstałem z łóżka. Podeszedłem do okna. Uliczka w dole była pusta. Tylko jezdnią przeszły dwa ocierające się o siebie koty. Usiadły pod latarnią i zaczęły lizać łapki.

Wtedy za moimi plecami zadzwonił telefon. Sięgając po słuchawkę zerknąłem na zegarek. Zbliżała się północ.

– Tak, słucham?

– To ja, Tomaszu... – odezwał się cichy, napływający z wielkiej oddali, głos.

– Przepraszam, ale nie poznaję. Kto?

„Jakiemuś idiocie na żarty się zebrało!” – pomyślałem ze złością, przysuwając popielniczkę.

– Waldek. Waldek Batura. Kojarzysz? – zaszemrała ni to z ironią, ni to z lekką pretensją słuchawka.

– Przepraszam, ale głos tak ci się zmienił. Do niczego te nasze telefony. Co cię, a raczej twój głos, sprowadza o tak dziwnej porze? – przyznaję, że telefon od przeciwnika zaintrygował mnie.

– Każda pora jest dobra, by się pożegnać. Zwłaszcza, gdy się żegna na długo...

Ciekawe! Batura zapragnął się ze mną pożegnać?! Czyżby chciał uspić moją czujność, bo szykuje jakiś superskok? No, porozmawiajmy sobie! Może się z czegoś niechcący wygada!

– Uciekasz z kraju, przenosisz gdzie indziej swoją złodziejską robotę czy cię przymknęli na parę lat? Ale o tym to bym wiedział. Zresztą trudno telefonować zza krat.

– Może i to bym potrafił – usłyszałem urwany śmiech. – Przecież wiesz, że dużo potrafię... potrafiłem...

– Więc? – zaciągnąłem się aresem.

– Nie zamykają mnie, Tomaszu... i nie uciekam, bo przed tym nikt uciec nie może. Idę na wielką wolność...

– Jeśli to naprawdę wielka wolność, to czemu przed nią chciałbyś uciec? – rozparłem się w fotelu.

– Ja... umieram.

– Głupie żarty!

„Sprawdzę, jak to naprawdę z twoim umieraniem!”

– Ech, Tomaszu, niewierny jak twój patron... – kpinę w głosie tłumił smutek. – Myślisz teraz, co ten Batura kombinuje. Że trzeba będzie go sprawdzić, otoczyć „specjalną opieką”...

Poczułem, że ogarnia mnie wstyd. Ten cichy, daleki głos... Zrozumiałem nagle, że nie kłamie. Ale walczyłem z nim dalej, na przekór sobie:

– Umierasz? Dzwonisz więc chyba do mnie po to, aby się swoiście wypowiedzieć, zdradzić kontakty, współpracowników...

– Drogi mój! Zapominasz, z kim rozmawiasz! – głos nabrał nieoczekiwanej mocy. – Wciąż jeszcze jestem Waldemar Batura. Najlepszy w tym kraju, a może i jeden z lepszych w Europie specjalista od kradzieży dzieł sztuki!

– Który to spec dostał parę razy po łapach od skromnego urzędnika! – mimo woli też podniosłem głos. – Czego więc teraz chce od niego?

Waldek milczał przez chwilę. Gdy się odezwał, mówił jeszcze ciszej:

– Pożegnać się... – pauza. – A może też i przyznać mu, że naprawdę jest dobry w swoim fachu... – milczenie jeszcze dłuższe. – I... – głos walczył sam ze sobą – niech takim zostanie...

Szkoda tylko, że już nigdy...

– Waldek, co się stało?! – drżącą ręką sięgnąłem po nowego papierosa.

– Tak mało miejsca jest na naszym kochanym świecie... – cichy głos mówił ni to do mnie, ni to do siebie. – Jeśli jedno miejsce będą chciały naraz zająć dwa samochody, to wypadek; jeśli góra lodowa i „Titanic”, to katastrofa, o której pamiętają ludzie przez stulecia; jeśli pocisk i Waldemar Batura, to ten drugi powinien ustąpić... wyprzedzić... Nie zdążyłem. Już nie ten refleks. To smutne poczuć się przed śmiercią powolnym, starym; nie odejść w pełni młodości, jak wybrańcy bogów...

– Nie błaznuj... – powiedziałem, aby powiedzieć cokolwiek i zagłuszyć nagłą ciszę.

– Zatrzymałem się w biegu... – znów zabrzmiały powolne słowa – a ona biegnie... nie, już nie biegnie, a tylko pełźnie, aż...

– Jaka: ona?

– Kula, którą wystrzelił jakiś bydlak. Nawet nie wiem, kto... Żebym wiedział, już ja bym... – usłyszałem złość dawnego, w pełni sił, mego przeciwnika. – No dobrze, nie ma co się mazać czy wściekać. Jest jak jest! Czyli, tłumacząc najprościej, to draństwo ugrzęzło mi gdzieś w kręgosłupie i pozwala uprzejmie jeszcze żyć przez jakiś czas. Krótki czas.

– Nie przesadzasz? – próbowałem, chciałem być twardy. – Przecież dzwonisz do mnie, rozmawiasz... Co na to lekarze? Czyżby ciebie, zawsze bogatego, w tej najważniejszej chwili nie stać było na porządnego fachowca?

– Ależ stać mnie, stać... – cichy śmiech – klinika na Szaserów to nie byle szpitalik, a jej neurochirurdzy to nie byle łapiduchy! Leczą właśnie oni powiedzieli mi to, co ja tobie przed chwilą: krótki czas. W sam raz, by pogadać. Chyba, że panna Ela, która była uprzejma wykrecić twój numer i trzyma mi słuchawkę, straci cierpliwość...

– To straszne... – zająknąłem się – nigdy nie myślałem, że tak będziemy się... rozstawać...

Znów zaśmiał się Waldek sprzed lat:

– Marzyłeś, że odprowadzisz mnie za kratki, co?

Żachnąłem się:

– Głupiś! Zawsze mogłeś zmienić swoje życie!

– Harcerzyku! Harcerzyku! – śmiech. – Wybacz, ale nigdy o takiej zmianie, o jaką ci chodzi, nie myślałem... – ranny przerwał, słyszałem, jak raz i drugi przetyka ślinę, bierze głęboki oddech. – No... jednak będę, muszę być szczery... – głos brzmiał chropawo. – Czasem... tak... żeby tak cofnąć to wszystko...

Trzeci papieros złamał mi się w palcach.

– Bądź... – ciężki oddech w słuchawce. – Ja już...

Cisza. Kobięcy głos:

– Pan Batura musi odpocząć. Dobranoc.

Dobra noc. Dla kogo? Dźwignąłem się z fotela i podszedłem do okna. Koty pod latarnią siedziały ciche, znieruchomiałe jak posążki egipskich bóstw.

Niewiele spałem tej nocy. Mijała godzina za godziną. Świtało.

Jednak dopiero koło południa zadzwoniłem na Szaserów:

– Czy mogę prosić o połączenie z panem Batura?

– A kto prosi?

Milczałem przez chwilę, wreszcie zdobyłem się na to słowo:

– Przyjaciel.

– Przykro mi, proszę pana, ale pan Batura zmarł dziś w nocy.

Dłoń bezwiednie zacisnęła się na słuchawce.

– Przepraszam – ożywił się nagle dziewczęcy głos. – Czy może ma pan na imię Tomasz?

– Tak.

– Jest informacja dla pana: „Pogrzeb w środę, o dziesiątej. Cmentarz bródnowski.”

– Kto ją zostawił?

– Nie wiem. Kartkę przekazała mi koleżanka. Acha, tu podpisano: „Rodzina”.

– Dziękuję pani.

Rodzina?

Nic nie wiedziałem o rodzinie Waldka. Skąd ona mogła wiedzieć o mnie?

We wtorek zadzwoniłem do Pawła:

– Słyszałeś o moim wieloletnim przeciwniku nazwiskiem Waldemar Batura?

– Jasne. Nieźle daje się panu we znaki, jak wieść gminna niesie – zaśmiał się Paweł. – Co znów wykombinował?

– Swoją śmierć.

Śmiech w słuchawce umilkł.

– Chciałbym, żebyś poszedł ze mną na jego pogrzeb. Bądź jutro u mnie o dziewiątej...

Środa przywitała Warszawę nagłym zimnem i deszczem podcinanym ostrym wiatrem.

Układając mi skromną wiązaną panienka w kwaciarni zapytała:

– Czy życzy pan sobie szarfę z napisem. Tu są wzory. Drukujemy też dowolne napisy na poczekaniu...

Zawahałem się:

– Cóż... Dobrze. Proszę napisać „Gloria victis”.

– „Chwała zwyciężonym”? – spojrzał na mnie spod oka Paweł.

– Czy nie słuszniej by było „Vae victis” – „Biada zwyciężonym”?

– Jesteś jeszcze bardzo młodym człowiekiem – odpowiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu.

Jak na złość taksówka, którą jechaliśmy na Bródno, uwięzła w korku i na miejscu byliśmy dopiero piętnaście po dziesiątej. Dom pogrzebowy był już zamknięty, na szczęście wskazano nam kwaterę, gdzie Waldek miał być pochowany. Jednak sporo czasu minęło, zanim ją znaleźliśmy.

– Ciekawie wyglądamy pędząc i szamocząc się z parasolami! – jeszcze próbował zaśmiać się Paweł, ale i on był już myślą tam, gdzie pod starym rozłożystym klonem czterej grabarze kończyli uklepywać świeżą mogiłę, przed którą stał samotny młody mężczyzna z rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie czarnego płaszcza. Wysoki, barczysty blondyn o krótko obciętych włosach, przemoczonych tak jak i jego płaszcz strugami deszczu. Odwrócony do nas tyłem nie widział, jak podchodziliśmy.

– To chyba ta „rodzina” – szepnął Paweł. – Ciekawe, że nie ma nikogo z koleśków czy wspólników świętej pamięci Batury... Wpadł z gry.

– Daj spokój! – odszepnąłem. – Boją się po prostu. Policja czasem lubi popatrzeć na pogrzeby ludzi z ich branży.

Jeszcze tylko wbicie krzyża w piach...

Grabarze odczekali chwilę, nie tyle z szacunku dla zmarłego, co licząc na napiwek. Odeszli wreszcie klnąc pod nosem.

Wydało mi się, że blondyn pochyła się lekko nad grobem, ale nie wyjął rąk z kieszeni, nie położył choćby marnego kwiatka.

„Ciekawy gość” – pomyślałem, podchodząc za jego plecami do mogiły. Paweł pozostał przy klonie.

Byłem o krok za stojącym, gdy usłyszałem ostry, choć wyciszony prawie do szeptu głos:

– Jednak pan przyszedł.

Mężczyzna odwrócił ku mnie głowę. Przyznam, że zatrzymałem się na ułamek sekundy. Takich lodowatych, prawie białych, oczu nie widziałem, jak żyję! Ale zdobyłem się, by odpowiedzieć równie cicho:

– Najpierw zmarli.

Położyłem kwiaty u stóp krzyża. Przez chwilęostałem w milczeniu, starając się nie myśleć o zabitym jako o złodzieju dzieł sztuki – tak jak myślałem przez wiele lat – ale jako o znakomitym fachowcu, który byłby teraz może jednym z najwybitniejszych historyków sztuki, gdyby nie... Właśnie, gdyby! Ech, Waldku!

Odwróciłem się ku wciąż nieruchomemu blondynowi:

– To pan mnie zawiadomił? Skąd pan...

Przerwał mi, wyciągając rękę gestem powitania i prezentacji:

– Nazywam się Jerzy Batura.

Uścisnąłem zimną, ciężką dłoń.

Podszedł do krzyża i nagle, jakby w chwili słabości, oparł się o niego. Białe oczy ściemnił smutek:

– Tu leży mój ojciec.

Odetchnąłem głęboko:

– Ojciec? Przecież nigdy Waldek...

Batura skrzywił wąskie wargi:

– Czyżby odmawiał mu pan prawa do prywatnego życia?

– Ależ skąd... – przez chwilę szarpałem się z wyłamywanym przez wiatr parasolem. Wreszcie złożyłem go ze złością. – Chociaż przyznam się, że nie rozumiem powodów ukrywania istnienia swego dziecka. Może nie tyle nie rozumiem, co nie podzielam. Chyba... – udało mi się powstrzymać słowa, które musiałyby zranić tego młodego człowieka...

Ale ten śmiał się!

– Niech się pan nie kępuje! Chciał pan powiedzieć: „Chyba, że się je przygotowuje albo już ono pracuje w branży niecnego tatusia!”

– A jeśli nawet chciałem tak powiedzieć – podjąłem wyzwanie – to czy pan powie mi, jak to jest z tym przygotowaniem czy „pracą”?

– Jestem od niedawna w kraju – odpowiedział wymijająco obojętnym głosem. Ale gdy podniósł na mnie wzrok, zobaczyłem, jak rozpalają się w nim lodowate iskry:

– Poprosiłem pana tutaj, aby przy nim, przy ojcu, powiedzie, że gra się z jego śmiercią nie skończyła, tyle że odtąd grać pan będzie nie z Waldemarem, lecz z Jerzym Baturą, a to już zupełnie inne klocki! I niech się pan dowie, już niejako urzędas, ale człowiek, że nienawidzę pana, a wielu już ludzi nauczyłem moją nienawiść szanować.

– I ja nauczyłem paru, aby mnie szanowali – odparłem równie zimno, tłumiąc złość – może więc lepiej będzie, gdy poprzestanie pan na tej jednej pogroźce? Skądinąd ciekawi mnie, czym to zasłużyłem sobie na pańską nienawiść?

Dosłownie poczułem na twarzy ciężar jego spojrzenia.

– Jest pan winien śmierci mego ojca.

– Ja?... – przyznaję, że mnie zaskoczył!

– Przecież pańskiego ojca ktoś zastrzelił! Sam mi mówił przed śmiercią, że nawet nie wie kto?

Oddychałem ciężko.

– A może myśli pan, że wynająłem płatnego mordercę?!

– Nie, nie myślę – odpowiedział powoli. – Jest pan powodem śmierci ojca może nie w dosłownym znaczeniu. Ale wystarczy, że ja pana tak osądzam. A przywykłem, że to co sądzę jest, a nawet musi być, rzeczywistością. A rzeczywistości nie można lekceważyć, drogi panie. Do widzenia – odwrócił się.

Nie wytrzymałem. Skoczyłem i szarpałem go za rękę:

– Zaraz!

Lodowate oczy wyglądały z bliska jak martwe.

Nagle poczułem, że Paweł wciska się między nas:

– Ależ panowie, panowie! – usłyszałem jego flegmatyczny głos. – Czy wypada tak zachowywać się nad ledwo co zasypaną mogiłą? Nie sądzę, żeby świętej pamięci pan Waldemar Batura był z was zadowolony.

Ochłonąłem. A i oczy mojego nowego wroga przygasły. Odpowiedział spokojnie:

– Byłby pan uprzejmy nie wtrącać się. To są sprawy między panem Tomaszem a mną. Prywatnie.

– Na pewno? – udał szczera ciekawość Paweł. – Nigdy nie zmierzy się pan z nim na niwie, że tak powiem, zawodowej?

Batura uśmiechnął się lekko:

– Tego nie wykluczam.

– A ja jestem tego pewien! – Paweł pokiwał palcem.

Jego przeciwnik wzruszył ramionami:

– A cóż mnie obchodzi, czego jest pewien ten czy ów wielbiciel Pana Samochodzika.

Paweł spojrzał na niego spod oka:

– Ale może, a nawet powinno interesować pana, czego jest pewien jego podwładny?

Podwładny! Nie było to w zupełności prawdą, jako że dyrektor Marczak wciąż jeszcze bawił poza stolicą, ale niech tam! Grunt, że Batura drgnął lekko.

Paweł wyciągnął do niego rękę:

– Paweł Daniec.

– Jerzy Batura.

Ściskali sobie dłonie chyba odrobinę dłużej niż tego wymaga grzeczność.

– Tak więc druh Tomasz chowa się za zucha Pawła... – wycedził Baturą, chowając rękę do kieszeni.

Ale tym razem przesadził. Parsknął śmiechem. Paweł zaś skłonił się uprzejmie:

– Cóż, czyż nie na płótkach powinni się uczyć swego zawodu początkujący rybacy? Tak... Co innego, gdyby żył jeszcze pański świętej pamięci ojciec... Od niego to jeszcze długo trzymałbym się z dala...

Oczy Batury zbiegły:

– I ode mnie też proszę się trzymać daleko. Bo inaczej...

– Bo inaczej co? – zainteresował się życzliwie Paweł. – Pobawimy się ze sobą, tak?

Ze zdumieniem dostrzegłem, że blask złości w lodowatych oczach przesłonił na moment cień żalu:

– Pobawimy? Tak, kiedyś marzyły mi się zabawy...

Syn Waldka wydał mi się nagle starszy niż na początku spotkania.

– Ale byłem jeszcze mały, kiedy życie nauczyło mnie, że trzeba brać je serio – podniósł kołnierz płaszcza. – Do widzenia panom.

Patrzyliśmy za nim, jak odchodzi... Kilka kroków... Gdy nagle obrócił się. Błysk stali. Świsł. Sprężynowy nóż dźwięcznie wbił się w korę klonu obok głowy Pawła. Ten popatrzył na niego przez ramię.

Białe oczy zabłysły:

– Coś wolno pan reaguje, panie Pawle!

Paweł wytrzymał spojrzenie. Ziewnął:

– Po co mam reagować, skoro widzę, że mierzy pan obok mnie? A tak nawiasem mówiąc, coś za długo pan celuje przed rzutem. Przeciwnika trzeba zaskoczyć, panie Jerzy!

Tym razem w białych oczach błysnęło niechętnie uznanie. Batura uklonił się bez słowa i ruszył alejką schylony pod wiatr, z rękoma głęboko w kieszeniach.

Nie wiem, co mi się stało, ale pobiegłem za nim. Odwrócił powoli głowę. Powieki w pół przesłaniały jasne oczy. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, jak bardzo jest zmęczony.

– O co jeszcze chodzi?

– Panie Jerzy... nie chciałbym, żeby pan myślał, że się pana boję. Ale też nie chcę, żeby uważał mnie pan za sprawcę śmierci ojca... Przecież to nieprawda!

– Niestety – przymknął oczy jeszcze bardziej – to prawda. Ojca od czasu do czasu coś napadało i wtedy mówił dużo o panu. Niby kpił, ale gdy się wsłuchałem w jego opowieści, rozumiałem, że pana wychwala, stawia za wzór i po prostu panu zazdrości. Może nawet w tych momentach pragnął, bym naśladował w życiu pana, a nie jego? Na szczęście takie przemiany ojca trwały krótko i były coraz rzadsze.

Nagle miałem znów naprzeciw siebie dwa białe ognie.

– Ale to właśnie tuż po jednej z takich rozmów ojciec... zasłonił sobą kobietę... zakładniczkę jakiegoś zbira uciekającego po napadzie... Zrobił to, bo przez chwilę, choć naigrywając się, myślał pana kategoriami! Jest pan więc winien, panie Tomaszu!

Pokręciłem głową:

– Myli się pan. I zbyt mi pochlebia. Pański ojciec zginął postępując tak, jak dyktowało mu jego sumienie. Nikt inny, tylko ono!

– Sumienie? – białe oczy zwięzły się – Tym słowem pan mnie nie przestraszy, panie Tomaszu... Ani pan, ani pański podwładny. Jeszcze się spotkamy!

ZAKOŃCZENIE

Siedziałem właśnie nad korektą mojego dziełka o opatach sulejowskich, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Proszę, otwarte! – zawołałem.

Na progu stanął komisarz Kolec. Zgnieciony prochowiec a la Colombo zastąpił nieco zbyt obszerny garnitur.

Serdecznie zaprosiłem komisarza do środka, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś ważnego o nieborowskich kradzieżach.

– Czego się pan napije? – spytałem. – Nie dysponuję wprawdzie trunkami, ale mam dość duży wybór herbat.

Oficer ożywił się:

– Naprawdę ma pan duży wybór? To może i znajdzie się chińska zielona? To moja ulubiona...

Chińska zielona napełniła pokój swym delikatnym aromatem, którym rozkoszowaliśmy się przez chwilę w milczeniu.

Wreszcie Kolec powiedział swym jak zwykle smutnym głosem:

– Mamy ich.

– Tych z Nieborowa?

– A skąd mieliby być? – nieco zdziwił się komisarz. – Acha, jest jeszcze Sulejów i te ich próby wyłudzenia...

– Zabili mi przyjaciela!

– Niestety – smutek oficera był tam razem zupełnie na miejscu. – Nawet pod nieumyślne spowodowanie śmierci trudno to byłoby podciągnąć...

W uszach zabrzmiały mi przekleństwa, którymi Nataniel obrzucał „sulejowskich mnichów”.

– Niech więc pan chociaż powie, kim oni są i jak wpadli – mruknąłem z rezygnacją. – Bądź co bądź, jadałem przy jednym stole ze złodziejem... Kto się nim okazał?

Komisarz z wielką przyjemnością łyknął herbaty:

– Redaktor naczelny „Horyzontów Filozofii”, Krupa, a właściwie Antoni Drzyzga, bo takie jest jego prawdziwe nazwisko. Został schwytany, gdy wróciwszy po pewnym czasie do

Nieborowa zabrał się za opróżnianie globusów.

– Filozof złodziejem?

Policjant spróbował się uśmiechnąć:

– Filozof? Trzy klasy budowlanki skończone.

– Jak więc?...

– Prościutko. Teraz każdy może wydawać pismo. Filozoficzne, proszę bardzo! Filozofowie o niczym innym nie marzą, bo rzadko kto chce ich, jako niedochodowych, drukować. Jeśli więc ma się wystarczająco dużo pieniędzy, to zamawia się u kilku znanych filozofów artykuły, eseje, szkice... A za pana chętnie napiszą biedni filozofowie, a takich jest większość, albo też studenci, czyli tak zwani „murzyni”. A że jest pan redaktorem naczelnym i dobrze płacącym, to nikt pana o wykształcenie nie zapyta, bo to równałoby się utracie sympatycznego źródła dochodów.

– Ale po co to było Krupie czy też Drzydze?

– Aby mieć wstęp do bogatych domów, do towarzystwa. Przecież i pan, i mistrz Nataniel jadaliście i mieszkaliście wraz z nim – uśmiech komisarza stał się jakby nieco złośliwy – pomagaliście mu zdemaskować malarza Borówko...

Spuściłem głowę.

– A pozostali dwaj nie interesują pana? – zatroszczył się Kolec. – Nawet ten Sójka prawie pogrzebany żywcem przez Urwisów?

Machnąłem ręką.

– Była też w szajce kobieta... – zawiesił głos oficer.

Musiałem drgnąć na tę wiadomość, bo mój gość odchrząknął, jakby tłumiąc śmiech. Tak przecież dlań niezwykajny!

– A co z nią? – prawie wykrzyknąłem.

– Buja na wolności – smutek wrócił do normy – na razie, ponieważ... ale to już zupełnie inna historia.

Mimo woli odetchnąłem z ulgą, ale zapytałem gniewnie:

– Nie ma pan zamiaru jej darować?

– Taki już mój zawód – komisarz Kolec dopił herbaty, pożegnał się życząc mi nowych dzieł historycznych i wyszedł.

A ja, pomny rady Nataniela, wy dobyłem z szuflady zdjęcie Babiego Lata i jałem wpatrywać się w nie usilnie, tłumacząc sobie, że to jest właśnie miłość.

– Nie, ja chyba śnię! – wołał dyrektor Marczak, podczas gdy Paweł wykladał na jego biurko zaświadczenia, dyplomy, legitymacje i inne dowody swych niebywałych umiejętności.
– Pan jest za dobry!

– Nie zatrudni mnie pan?...

– Ależ, drogi panie, natychmiast zatrudniam pana! I od razu niech się pan szykuje do

roboty! Otrzymaliśmy bowiem informację, drogi panie Pawle i drogi panie Tomaszu, że w antykwariatach i sklepach jubilerskich, zwłaszcza Wybrzeża, pojawiło się wiele siedemnastowiecznej biżuterii, najprawdopodobniej szwedzkiej. Natomiast w kasynach Trójmiasta szaleje nasz dobry znajomy Waldemar Batura. I co pan na to, panie Tomaszu?

Uśmiechnąłem się niewesoło:

– To nieprawda, że Waldek szaleje w kasynach...

– A od kiedy to pan mówi na tego złodzieja i oszusta: Waldek? – przerwał mi dyrektor.

– Czy nie pamięta pan, że był on moim kolegą na studiach? A jeśli on szaleje, to już chyba w innym wymiarze, panie dyrektorze. Waldemar Batura nie żyje.

Marczak uderzył ręką w stół:

– Nie żyje? Dał się pan nabrać na kolejny podstęp drania!

– Panie dyrektorze...

Wzruszył ramionami:

– Nigdy bym nie pomyślał, że to pan będzie obrońcą Batury!

– Nie takim znów obrońcą – mówiłem spokojnie – bo wcale nie wykluczam jego udziału w tym nagłym rozmnożeniu się szwedzkiej biżuterii. Ale Waldek, jak sam to nazwał, „zatrzymał się w biegu”. Jego miejsce zajął nasz nowy, równie groźny przeciwnik...

– Kto?! – poderwał się dyrektor.

– Jerzy Batura. Jego syn.

– Syn? – zdumiał się Marczak.

– Przynajmniej za takiego się podaje. Zresztą nieważne, jest czy nie jest synem Waldka. Ważne, że – jak się wydaje – wiele umie i już wypowiedział nam wojnę.

– Skąd pan to wie? A zresztą, o tym potem – zaczął gorączkowo Marczak. – Jakie ma pan plany w związku z tą sprawą, nazwijmy ją „szwedzką”?

– Popytam wśród archiwistów i historyków, specjalistów od okresu „potopu”. Może coś wiedzą o zaginięciu wtedy jakiegoś znacznego „skarbu”. Paweł, jak tylko dopełni formalności związanych z zatrudnieniem, skoczy na Wybrzeże, spenetruje antykwariaty, sklepy jubilerskie i zajrzy do kasyn. To na początek. Poza tam sądzę, że powinniśmy otrzymać, i to wkrótce, jakiś sygnał, może próbujący nas zmylić, od syna Waldka. O ile oczywiście ma coś wspólnego z tą sprawą. A wydaje mi się, że tak.

– Sygnał? Nawet oszukańczy? Przed zakończeniem roboty? – powątpiewał dyrektor. – To jakoś nie w złodziejskim stylu... Zwłaszcza, że ten gość ma być, według pana, świetnym fachowcem...

– A jeśli to dla Jerzego Batury nie tylko wykonywanie „zawodu”, ale i sprawa osobista?... – zapytałem cicho.